

VLADIMIR WOLFF

Operacja Pętla

• Odległe Rubieże •



Copyright © Vladimir Wolff, 2012
Copyright © ENDER Sławomir Brudny, 2012
www.Wolff.warbook.pl

Redakcja i korekta:

Dobry Book
dobrybook@dobrybook.pl

Ilustracje:

Grzegorz Nawrocki

ISBN 978-83-62730-31-5

Wydawca:

ENDER Sławomir Brudny
ul. Bładnicka 65, 43-450 Ustroń
www.enderbook.pl

Redakcja techniczna, plik ePub:

Du Châteaux

Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux
atelier@duchateaux.pl

PROLOG

– Peryskopowa – komandor podporucznik Władysław Salamon, czterdziestoparoletni szczupły mężczyzna, poczekał, aż komenda zostanie powtórzona przez oficera wachtowego.

– Jest peryskopowa – do uszu komandora doszła odpowiedź marynarza obsługującego stery głębokości.

Salamon postąpił krok naprzód, gdy rura peryskopu wyjechała w górę. Przesunął granatową czapkę na tył głowy i chwycił boczne uchwyty w dłonie, jednocześnie przybliżając oczy do osłony okularu. Skierował wizjer najpierw w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w lewo, dokonując tym razem pełnego obrotu. Niczego nie zobaczył. Horyzont wydawał się pusty, nie licząc białych postrzępionych chmur odbijających blask zachodzącego słońca i paru mew pikujących za zdobyczą.

– Do wynurzenia.

Po dwunastu godzinach spędzonych w stalowej trumnie załoga potrzebowała łyku świeżego powietrza. Należało przewietrzyć pomieszczenia i podładować akumulatory. Komandor nie lubił nic pozostawiać przypadkowi. W końcu dowodził jednym z dwóch największych okrętów podwodnych, jakimi dysponowała Marynarka Wojenna Rzeczypospolitej Polskiej.

ORP „Sęp” był jednostką bardzo młodą. Do służby wszedł w 1939 roku, zaraz po zwodowaniu w holenderskiej stoczni De Schelde. Długi na 84 metry, szeroki na 6,7 metra, stanowił chlubę eskadry okrętów podwodnych.

Wraz z niemal bliźniaczym ORP „Orzeł” potrafił sparaliżować żeglugę na Bałtyku, pod warunkiem oczywiście, że znajdował się w dobrych rękach. Władysław Salamon uważał zatem, że okrętowi się poszczęściło – na lepszego specjalistę nie mógł trafić.

„Sęp” łagodnie wypłynął na powierzchnię, tylko nieznacznie mącąc spokojne wody przy wejściu do Zatoki Fińskiej. Parę mil na południowy wschód stąd znajdowało się wybrzeże sojuszniczej Estonii. Znacznie dalej na północ – Finlandia, a na wprost przed dziobem...

Przez plecy komandora przebiegł dreszcz. Nie wiedział, czy to z chłodu, czy na myśl o przeciwniku przyczajonym na końcu długiego worka, jakim była zatoka. Jak do tej pory intensywne działania wojenne prowadzono jedynie na lądzie – tutaj na morzu wciąż panował złudny spokój.

Od kiedy decyzją Kierownictwa Marynarki Wojennej został wysłany w ten daleki patrol, a nastąpiło to 7 lipca, Salamon był pełen najgorszych przeczuć. Spodziewał się wszystkiego, nawet setek wypływających z Kronsztadu okrętów otoczonych chmurą samolotów. A tu jak do tej pory nic takiego nie nastąpiło. Spokój. Pełen napięcia i fałszywych alarmów, ale jednak spokój. Teoretycznie tylko pozazdrościć. Aktywność Sowietów sprowadzała się do paru patroli powietrznych. Większość floty handlowej podążyła do bezpiecznych portów jeszcze przed wybuchem wojny. Bałtyk przemierzały obecnie tylko nieliczne statki – albo prowadzone przez desperatów, i to bardzo dobrze opłaconych, albo z nie całkiem cywilnymi misjami.

Nawet kiedy tak stał na szczycie potężnego kiosku „Sępa”, gdzie z przodu w kazamacie tkwiło 105-

milimetrowe działo, otoczony wachtą z morskimi lornetami przepatrującymi niebo, nie potrafił pozbyć się dławiącego gardło uczucia niepewności. Czekanie nie wiadomo na co wykańczało nie tylko jego. Dotyczyło to całej załogi – od oficerów po zwykłych marynarzy.

– Dym na horyzoncie.

Dłonie same zacisnęły się na lornetce. Spojrzał we wskazanym kierunku. Na tle granatowego nieba smużka dymu ledwie odcinała się ciemniejszą barwą.

– Idzie na zachód.

Jakim cudem wachtowy potrafił to wyczytać, skoro wypatrzył jednostkę zaledwie parę sekund wcześniej?

Kapitan marynarki Justyn Karpiński, zastępca Salamona, przeszedł z prawej strony komandora na lewą, jakby te kilkadziesiąt centymetrów miało jakieś znaczenie. Najwidoczniej jednak miało, bo zaraz orzekł:

– Trochę ponad dwie mile od nas. Trudno powiedzieć, ale nie wygląda na wojenny – Karpiński chrząknął, oczyszczając gardło. – Podejdziemy bliżej?

Skierowane wprost do komandora pytanie zawisło w powietrzu.

Zmrużył oczy i spojrzął ponownie. Dowódca wciąż niewiele widział. Jedynie dym był bardziej intensywny. Niewyraźny kształt pojawił się na chwilę i zaraz znikł. Wyglądało na to, że Karpiński miał rację – to najprawdopodobniej jakiś przybrzeżny tramp. Tylko co robił w takim miejscu, gdzie wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo? Salamon co prawda nie słyszał jak do tej pory o zatopieniu jakiegokolwiek jednostki, jednakże to mogło się bardzo szybko zmienić. Jeśli nie podpłyną bliżej, nigdy się nie dowiedzą, kto zaczął.

– Kurs zero-sześć-pięć. Dziesięć węzłów.

Kiedy silniki zwiększyły obroty, dało się odczuć drgania przechodzące przez kadłub „Sępa”. Okręt obrał nowy kierunek łagodnym łukiem, z działem skierowanym w przeciwnika jak grot włóczni. Dziesięć węzłów to ledwie połowa z tego, co potrafił osiągnąć na powierzchni. Jedyne ograniczenie, jakie komandor musiał brać pod uwagę, to konieczność oszczędzania paliwa. Co prawda w razie potrzeby mogli wpłynąć do któregoś z sojuszniczych portów – Helsinek, Tallina czy Rygi – i pewnie nie odmówiono by im pomocy, lecz zdecydowanie wołał tego nie robić. Każde przycumowanie do nabrzeża wystawiało ich na niebezpieczeństwa, którym potrafił stawić czoła. Sytuacja polityczna mogła prędko ulec zmianie. Do tego unieruchomiony stawał się łatwym celem dla bombowców. Nie. Zdecydowanie wołał pozostać, gdzie był, i oszczędnie gospodarować zapasami.

– Przyśpieszył – w głosie Karpińskiego dało się wyczuć napięcie.

Zostali zauważeni, a tramp podjął próbę ucieczki. Szanse miał duże. Jeżeli tylko był szybszy, a to prawdopodobne, mógł się wymknąć i skryć w zapadających ciemnościach.

– Piętnaście węzłów – rzucił Salamon. Nie chciał pozwolić, by mu uszli. Jeśli mają czyste sumienie, nic im nie grozi.

Napięcie udzieliło się wszystkim.

– Zająć stanowiska bojowe – zastępca wyręczył komandora w kolejnym rozkazie.

Z tyłu kiosku ze specjalnej rury wyjechały dwa sprzężone przeciwlotnicze działka kalibru 40 mm. Zawsze to lepsze od karabinów maszynowych i w każdej chwili pozwala dać do zrozumienia, że żarty już dawno się

skończyły.

Sylwetka ściganego statku teraz była wyraźnie widoczna. Niewiele dłuższy od „Sępa”. Najwyżej o dwadzieścia metrów. Niskie burty z wyższą dziobnicą i nadbudówką. Mocno przecenili osiągi frachtowca. Płynął najwyżej z prędkością 12 węzłów, odchodząc stopniowo na północ. W końcu ich kursy się przetną, chyba że tamten zatoczy koło i popłynie kursem powrotnym.

– Cała naprzód.

Nie chciał bezsensownie spalać paliwa, ale przy zbyt wolnym podchodzeniu zużyją go o wiele więcej. Pruli teraz gładkie jak stół morze, doganiając uciekiniera.

Salamon w zasadzie nie odrywał wzroku od jednostki. Widział rufę i część lewej burty. Komin frachtowca wyrzucał w powietrze o wiele więcej dymu niż poprzednio. Widać wyciskali z maszyn wszystko.

– Nie ma bandery – zauważył Karpiński.

Faktycznie, nad poobijaną rufą nie powiewała żadna flaga. Nazwę też ciężko było dostrzec spod rdzawych zacieków. Zresztą patrzyli pod dużym kątem, więc i tak stanowiłoby to problem.

– Wejdziemy na pokład? – spytał zastępca.

– Zobaczymy – komandor czemuś nie chciał podejmować decyzji już teraz.

Kolejne minuty upływały w milczeniu. Ucieczka tego cholernika tylko utrudniała sprawę. Zamiast zastopować maszyny i poddać się kontroli, uciekał, niepotrzebnie wymuszając pościg. No chyba że ma coś do ukrycia, wtedy będzie uciekał do upadłego, ale to oznacza tylko jedno – konfrontację.

Byli już całkiem blisko. Można było dostrzec detale konstrukcji. Brakowało natomiast jednego – ludzi.

- Statek widmo – powiedział wachtowy.
 - Zauważyłem – odparł Salamon, zły na siebie.
- Brak bandery, brak załogi i zapadające ciemności.

Wszystko sprzysięgło się przeciw nim.

- Nadać sygnał. Mają wyłączyć maszyny.
- Nic. Sygnał świetlny został zignorowany.
- Nie odpowiadają.
- Powtórzyć.

Kolejna sekwencja dłuższych i krótszych znaków nie spotkała się z żadnym odzewem. W tej sytuacji pozostawało niewiele możliwości.

– Wystrzelcie z działa sto metrów przed dziobem i nadajcie komunikat, że jak nie staną, to ich zatopimy.

– Rozkaz.

– Zaraz... – jakaś postać wybiegła ze środka podejrzanego frachtowca i skierowała się w stronę sterówki. Dosłownie sekundy później parę kolejnych osób rozbiegło się po całym pokładzie.

Pozostawało mieć nadzieję, że ich nieźle wystraszył, chociaż... Nie ogarniał wszystkiego, ale nie wyglądało to na chęć opuszczenia statku. Kiedy w końcu znikł jeden z pokrowców przysłaniających dwa sprzężone Maximy i pierwsza seria pocisków poszła w ich stronę, stracił wszelką nadzieję.

Komandor odruchowo przykucnął i skrył się za szybą stanowiącą górną krawędź kiosku. Przeszło obok. Chciał wyprostować plecy i spojrzeć do tyłu. Jeden z wachtowych, skulony, szeroko otwartymi ustami gwałtownie chwycił powietrze. Salamon nie usłyszał nawet odgłosu padającego ciała. Po upiornej chwili ciszy wydał rozkaz.

– Ognia!

Marynarz przy działku tylko czekał na komendę. Za pierwszym razem ze zdenerwowania przestrzelił. Obniżył celownik wprost w stanowisko cekaemów. Tym razem wszystko odbyło się zgodnie z założeniami. Maxymy i ich obsługa zostali zdmuchnięci. Ogień z ich strony urwał się tak samo niespodziewanie, jak się zaczął.

– Wal w sterówkę.

Marynarzowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Salamon nawet bez lornetki widział, jak z drewnianej nadbudówki przyskały drzazgi. Wszyscy w środku musieli zginąć. Pociski z działek bez problemu rozprułyby pancierz czołgu, a tamtych chroniły tylko deski i farba.

– Komandorze... – Karpiński, który znikł przed chwilą, stał obok, chowając głowę w ramionach. – Ten sukinsyn nadaje wezwanie o pomoc. Radio dopiero teraz złapało ich pasmo. Zaraz możemy spodziewać się towarzystwa.

Przeoczenie tak oczywistego zagrożenia nie świadczyło o nim najlepiej. Pozostawały najwyżej minuty do pojawienia się sowieckich samolotów, a wtedy to oni będą tak bezbronni jak ten wywiadowczy stateczek.

– Do zanurzenia.

Działo jeszcze parę sekund prowadziło ostrzał, zanim umilkło na dobre.

– A co z nim? – kapitan Karpiński wskazał na wciąż wolno płynącego trampa. – Na taki wrak szkoda torped.

– Ma pan rację – Salamon klepnął w ramię zastępcę i skierował się ku zejściu do wnętrza okrętu.

Pierwszy granat „Sępa” trafił tuż nad linią wodną, wybijając sporych rozmiarów dziurę w poszyciu. Drugi już na stałe uciszył wzywającą pomocy radiostację, uśmiercając operatora i kilku marynarzy w pobliżu. Trzeci

ekspłodował w maszynowni, którą zaczęły zalewać tony wody. Następnym był czysta formalność.

Po niecałych dziesięciu minutach stateczek przechylił się na burtę i zsunął w głąb morza. Z całej 35-osobowej załogi przeżyło dziewięciu marynarzy, którzy w porę opuścili tonącą łajbę na ostatniej sprawnej szalupie.

„Sęp” zszedł pod wodę na pięć minut przed tym, jak para Iliuszynów DB-3 Floty Bałtyckiej przeleciała nad miejscem zdarzenia. Obserwatorzy dostrzegli jedynie łodzie z rozbitkami i trochę pływających szczątków. Informacja o utracie „Komunarda” nie wpłynęła dobrze na samopoczucie dowództwa floty. W końcu to ta jednostka została wysłana z zadaniem monitorowania szlaków żeglugowych przy wyjściu z zatoki oraz sprawdzenia, jak wygląda sytuacja na Wyspach Alandzkich. Głupi przypadek sprawił, że spoczęła na dnie, nie wypełniwszy tego zadania.

CZEŚĆ 1

Operacja Pętla



• Odległe Rubieże •

Rozdział 1

WARSZAWA

Nikt nie potrafił dać jednoznacznej odpowiedzi, jak długo to potrwa. To znaczy – kiedy oba skrzydła sowieckiej ofensywy zacisną się na podobieństwo kleszczy, definitywnie zgniatając wycofujące się krok po kroku oddziały Armii „Wilno” i Armii „Podole”.

Za każdym razem podczas odpraw u naczelnego wodza rozpatrywano najróżniejsze warianty postępowania – od dalszego odwrotu na zachód po przystąpienie do kontrofensywy. Pomiedzy tymi skrajnościami rozpościerał się cały wachlarz najróżniejszych pomysłów, z których prosta idea jak najdłuższego wytrwania na dotychczasowych pozycjach miała najwięcej zwolenników.

Główna linia obrony wciąż nie została sforsowana. Co prawda na północy Sowieci dochodzili do Obozu Warownego „Wilno”, a na południu widziano ich pod Stryjem, jednak to jeszcze nie był powód, by wpadać w panikę. Najważniejsze, że w pasie działania Armii „Baranowicze” i „Wołyń” sytuacja wyglądała na ustabilizowaną. Przynajmniej na razie.

Niepokój Pełczyńskiego budziło natomiast parę innych spraw – informacje o stopniowym przesuwaniu drugiego rzutu strategicznego napływały ze wszystkich stron i nie ograniczały się wyłącznie do terenów Ukrainy. Tyle samo eszelonów Sowieci skierowali na Smoleńsk

i Mińsk, a to oznaczało, że zwiększy się nacisk na skrzydła. Z tego, co wiedział, równie potężne siły rzucono na północ, aby pokonać Finów i odblokować wyjście z Zatoki Fińskiej na szerokie wody Bałtyku.

Wypuszczenie Floty Bałtyckiej to gwarancja odcięcia sojuszników od najszybszej formy pomocy oraz, no właśnie... Brytyjczycy i Francuzi gwarantowali pomoc Polsce tylko pod jednym warunkiem – zabezpieczenia swobodnej żeglugi do Gdyni. Kiedy na horyzoncie pojawiają się okręty z czerwoną gwiazdą, transporty z bronią ustaną błyskawicznie. Ani Londyn, ani Paryż nie będą chciały ryzykować utraty cennych statków i porzucą Warszawę już bez żadnych skrupułów. Po drugie, dwuznaczna była postawa Berlina. Niby Niemcy pozostawali na uboczu i deklarowali neutralność wobec tego konfliktu, lecz Pełczyński był pewien, że tylko czekają na okazję. Czy zaatakują w porozumieniu z Sowietami, czy wbrew nim, zależało wyłącznie od rozwoju sytuacji, nie od pryncypiów. Dla generała jedni i drudzy nie odróżniali się od siebie niczym istotnym, co najwyżej paroma drugorzędnymi szczegółami. Jedni głosili walkę klasową, drudzy wojnę rasową i głównie to ich różniło. Kiedy czytał te sterty opracowań, nie potrafił wyjść ze zdumienia, jak można wszystko skomplikować i jak wiele bzdur da się o tym napisać. Intelktualiści, psia ich mać, salonowi wyjadacze. Jak przyjdzie co do czego, to nie uświadczysz takiego w okopie z karabinem czy w ułańskim siodle.

Wysiłkiem woli stłumił przemożną chęć ziewnięcia. Zawsze tak reagował, ilekroć odprawa przeciągała się ponad godzinę. Za to szef Sztabu Głównego generał Wacław Stachewicz był w swoim żywiole.

– Jestem umiarkowanym optymistą – usłyszał

Pełczyński podsumowujące zdanie Stachiewicza. – Jeżeli, podkreślam: jeżeli nie znajdzie nic takiego, co zasadniczo odwróci bieg spraw, to jestem dobrej myśli – podkreślił wcześniejszą opinię.

– A z czego wysuwa pan podobny wniosek? – zapytał naczelny wódz. – Z tego, co wiem, poszczególni dowódcy armii raportują o dramatycznej sytuacji. Już wcześniej sam pan powiedział, że każda nasza wielka jednostka musi sprostać dwóm lub trzem podobnym sowieckim. Generał Pełczyński mówił o znacznie większym nasyceniu bronią maszynową i artylerią dywizji strzeleckich w porównaniu do naszych, a o oddziałach motorowych w ogóle nie ma co wspominać. Zdaje się, że górują nad nami w każdym rodzaju broni oraz liczebnością. Czyż nie tak? – Śmigły popatrzył na szefa II Oddziału.

– Powiem więcej. Nasze kalkulacje okazały się... hm... mocno niedoszacowane. Wiedzieliśmy w ogólnym zarysie, jakie siły są w stanie wystawić. Tymczasem już na chwilę obecną doliczyliśmy się prawie trzysta pięćdziesiąt sformowanych dywizji strzeleckich. W bezpośredniej walce z nami i Finami zaangażowali sto dwadzieścia, sto trzydzieści dywizji, z rezerwą 25–30%. Czyli zaledwie połowę tego, co do tej pory zmobilizowano.

– A jakie ponieśliśmy straty?

– Rozbiliśmy lub zdziesiątkowaliśmy około dwudziestu dywizji lub brygad. Sami straciliśmy o połowę mniej, ale przy takiej dysproporcji sił nie wiem, jak długo jesteśmy w stanie prowadzić działania – powiedział pułkownik Józef Jaklicz, zastępca szefa sztabu.

– Strategia, jaką opracowaliśmy – odparł Stachiewicz – wynika z innych przesłanek. W ostatnim tygodniu widzieliśmy wyraźnie, do czego dążą Sowieci:

do jak najszybszego opanowania terenu. Rzucają na przeciwnika masę wojsk, żeby go zmiażdżyć. Panowie, przecież wiecie nie od dziś, że wojny nie da się wygrać w tydzień bądź dwa. Zobaczymy, co będzie się działo za trzy miesiące, jesienią. Przed wojną nasze zasoby określaliśmy jako wystarczające na pół roku prowadzenia działań bojowych. Wiem, że obecnie zużywamy je o wiele szybciej, ale i tak co najmniej do początku października nie musimy się zanadto ograniczać. Przez te cztery miesiące może się wiele wydarzyć.

– Oby miał pan rację – Śmigły przesunął dłonią po łysej, jajowatej głowie. – W takim razie, co z punktu widzenia sztabu jest rzeczą najważniejszą?

– Utrzymanie statyczno-manewrowego charakteru walk. Bronimy się do upadłego i kontratakujemy przy każdej nadarzającej się sposobności z wykorzystaniem związków szybkich.

– Jeżeli mogę... – Pełczyńskiemu nie dawała spokoju myśl o zupełnie odsłoniętej północnej flance. Państwa nadbałtyckie nie zostały jeszcze wciągnięte w wir prowadzonych działań, co dla niego stanowiło zupełne kuriozum – jaki problem przy pomocy niewielkich przecież sił zająć te trzy niewielkie kraje? Wtedy Polacy musieliby się wycofać z otoczonego z trzech stron występu litewskiego. Zagrożone stawały się Suwałki, Augustów i Grodno. Linia frontu przebiegałaby wzdłuż Szczary i Niemna. Przepadało Wilno i wszystko, co na północ od Nowogródka. Zgroza ogarniała go na myśl, jak blisko jest z Grodna do Białegostoku.

– Słuchamy, generale.

– Nie zastanowiło panów, dlaczego Sowieci są tak mało aktywni na północy?

- Wiążą ich Finowie.
- To tylko część wytłumaczenia.
- Sugestie? – poprosił Śmigły.
- No właśnie żadnych. Bardzo nad tym boję.
- Jeżeli to będzie możliwe, proszę się temu przyjrzeć bliżej.

Przyjrzeć bliżej. Ba, tylko jak? Może i był szefem wywiadu, ale nie cudotwórcą. Referat „Wschód” miał w Leningradzie swoich ludzi, lecz kontakt – i tak bardzo trudny w warunkach wojennych – teraz zanikł zupełnie.

Drugie co do wielkości miasto Rosji aż kusiło bliskością, ale równie dobrze mogło znajdować się na księżycu. Niby na wyciągnięcie ręki, a kompletnie nieosiągalne. Przynajmniej metodami, jakie preferował do tej pory.

Śmigły nie trzymał ich dłużej. Sam wyglądał na zmęczonego. Oficerowie rozeszli się do własnych zajęć. Mieli ich tyle, że nie wiedzieli, w co ręce włożyć. Na dobrą sprawę nie opuszczali pomieszczeń Pałacu Saskiego. Tylko czasami, jadąc do domu, widział, jak Warszawa przygotowuje się do obrony, ale też, że ruch na ulicach chyba się nie zmienił, otwarta była większość lokali i kin. Do stolicy dopiero zaczynała docierać rzesza uchodźców ze wschodu, co powoli przekładało się na jakość życia, w dodatku ceny w sklepach osiągnęły już niebotyczne wysokości. Rząd oczywiście zapowiedział walkę ze spekulantstwem i wszelkiego rodzaju nadużyciami, policja wypisywała mandaty. To wszystko każdy mógł zauważyć. On zaś dodatkowo zdawał sobie sprawę z drugiego krwiobiegu, tętniącego pod powierzchnią normalnego życia. Sam wiedział o kilku siatkach szpiegowskich, jakie w ostatnich tygodniach uaktywniły się

w stolicy. Zresztą nie tylko tutaj, bo również i w innych miastach. Pewnie o co najmniej takiej samej liczbie nie wiedział. Do tego dochodzili różnego rodzaju niezadowoleni – nacjonalistycznie nastawieni Ukraińcy, reszta niewyłapanych wcześniej członków Komunistycznej Partii Polski i Kominternu, no i jeszcze jedno... W samej Warszawie mieszkało przeszło trzysta tysięcy Żydów, w przeważającej części lojalnych obywateli, ale ile spośród nich, gnębionych nieustannymi szykanami ONR-u, pójdzie za głosem głoszącym wolność klasową i internacjonalizm? No właśnie, ilu? Kilkuset czy kilka tysięcy zdecyduje się na ruchawkę zainicjowaną przez komunistów? W tej sytuacji wieloetniczne państwo to szczęście i przekleństwo w jednym.

Sporą część czerwonych agitatorów udało się pochwyć. Przejęto tysiące ulotek i setki plakatów wzywających do obywatelskiego nieposłuszeństwa. Policja i kontrwywiad dwoiły się i troiły, rozbijając kolejne grupy i grupki, ale nie łudził się – przez te sieci przechodziły nawet grube ryby, a co dopiero płotki.

Nie poszedł do siebie. W dyżurce zażądał samochodu i wyszedł przed gmach. Zapalił papierosa. Wysoko na niebie przemknęła para Hurricane'ów i pognąła na wschód. Nie ogłoszono alarmu, co jeszcze wcale nie znaczyło, że kilka maszyn bombowych nie przerwało blokady i nie rzuci ładunków gdzieś na przedmieściach. Na razie panował spokój.

Wsiadł do podstawionego Citroëna. Szofer, młody podporucznik w cywilnym ubraniu, ruszył z piskiem opon. Jechali w stronę Piaseczna, gdzie przebywał jeden z więźniów Brześcia. W znośnych warunkach, bo czy był to jeszcze więzień, czy już współpracownik – tego

Pełczyński wciąż nie był pewien. Wszystko zależało od uzgodnienia wspólnego zdania. Wiedział, że zarówno on, jak i Rosjanin będą musieli pójść na ustępstwa w wielu kwestiach. Jeżeli zaangażuje się wystarczająco mocno, to w dalszej perspektywie cały układ może ulec zmianie.

Przytrzymał się przedniego fotela, kiedy samochód brał gwałtowny wiraż. Już chciał skarcić kierowcę, ale w końcu machnął ręką. Jeśli jest wolny przejazd, trzeba korzystać. Na miejsce dotarli szybciej, niż się spodziewał. Z szosy skręcili w iglasty las, gdzie w cieniu drzew rozrzucone były poszczególne posesje. Ta, do której zdążali, znajdowała się dobre sto pięćdziesiąt metrów od drogi, ukryta za solidnym murem.

Citroën skręcił i zatrąbił. Bramę otwarto z cichym zgrzytem zawiasów. Dwukondygnacyjny budynek stał w głębi. Zamiast wybrukowanego podjazdu wiódł ku niemu szutrowy trakt.

Wkoło nie widać było ludzi, co Pełczyńskiego ucieszyło. W tłumie zawsze ktoś mógł zwrócić na niego uwagę, a w jego fachu to niepotrzebne. Wysiadł. Dopiero wtedy z wnętrza wyszedł dowodzący placówką oficer.

– Czołem.

– Dzień dobry, panie generale. Proszę – wskazał drzwi do środka.

Pełczyński ruszył długimi krokami. Po schodach wszedł na piętro i skierował się w prawo. Minął krótki korytarz i przystanął dopiero w sporych rozmiarów salonie. Siedzący w fotelu tyłem do niego mężczyzna drgnął i powoli wstał. Przez głowę szefa II Oddziału przeszła myśl, że bardziej pasował do grupy zawodowych zapaśników niż pracowników Głównego Zarządu Wywiadowczego Armii Czerwonej.

Siemion Jefremowicz Tychenko faktycznie znacznie odbiegał wyglądem od obiegowego wizerunku agenta. Był potężny. Do tego łysa, owalna głowa i gładko wygolona twarz z malującym się na niej nieuchwytnym rysem okrucieństwa już na wstępie mówiły o osobowości przywykłej do przemocy. Nawet teraz, ubrany w przykrótką białą koszulę i szare flanelowe spodnie na szelkach, wyglądał na człowieka, który w żadnych okolicznościach nie rozmawia z byle kim. Tyle tylko, że Pełczyńskiego trudno było nazwać byle kim.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. W końcu Tychenko rozciągnął usta w uśmiechu i przyjacielsko skinął głową.

– Prawdę mówiąc, nie jesteście mi tak obcy, jak się wam może wydawać – w przeciwieństwie do sylwetki głos miał miły i melodyjny.

– Doprawdy?

– Widziałem was na zdjęciach w czasie odpraw dla wyższych oficerów.

– Czym sobie zasłużyłem na taki zaszczyt?

– Przecież sami wiecie najlepiej – dopiero teraz Rosjanin przysunął się bliżej generała, ale jak do tej pory żaden nie zdecydował się wyciągnąć dłoni na powitanie.

– Usiądźmy – zaproponował Pełczyński.

Spojrzeli na siebie jak dwaj starzy znajomi.

– Doskonale wiecie, w jakim celu się tutaj pofatygowałem...

Tychenko milczał.

– W szkicu, jaki sporządziliście w Brześciu, twierdzicie, że niezadowolenie w szeregach RKKa osiągnęło niespotykane wcześniej rozmiary – sondował Pełczyński.

Tychenko ponownie kiwnął głową, jakby ze wstydem.

– Z tego wysuwacie następny wniosek o słabych fundamentach władzy naczelnej zbudowanej na przymusie, a nie na poczuciu obowiązku – ubrał to w słowa najlepiej, jak potrafił. Nie chciał zrażać pułkownika ostrymi osądami, chociaż same cisnęły mu się na usta.

– Komunizm... – zaczął Rosjanin, międląc przez chwilę słowa – to oszustwo.

– Dobrze powiedziane, tylko jak dotąd nic z tego nie wynika.

– Wiecie, czym się zajmowałem?

Pełczyński przytaknął.

– Jestem w stanie zrobić to samo na Ukrainie czy gdziekolwiek chcecie.

– Jakoś u nas niczym szczególnym się nie wykazaliście – powiedział, patrząc Tychence prosto w oczy.

Ten wytrzymał spojrzenie, tylko jego policzki pokrył delikatny rumieniec.

– Wypadek przy pracy – stwierdził wreszcie.

– Ach tak. A teraz chcecie, byśmy wam zawierzyli i odesłali z powrotem jedynie z mglistymi propozycjami walki partyzanckiej na zapleczu. Sami przyznajcie, że nie wygląda to najlepiej. Wy, wzorowy bolszewik, członek partii, i to nie pierwszy lepszy łach. Chlubna i zaszczytna służba, a na koniec co? – zadał retoryczne pytanie.

– Zawsze najpierw byłem Rosjaninem, dopiero później komunistą.

– Słyszałem to już tyle razy w najróżniejszych wersjach.

– Nie wierzycie mi?

– A wy byście uwierzyli?

Pięść Tychenki z głuchym łomotem wylądowała na blacie stołu, a on sam odpowiedział radosnym śmiechem.

– Zostaliście ujęci podczas nielegalnego przekroczenia granicy jako przywódca grupy zbrojnej mającej na celu... no, mniejsza z tym. Za takie postępowanie jest tylko jedna kara. Sami wiecie, jaka.

– Jakoś nie spieszyliście się z wykonaniem wyroku.

– Nasze państwo nie mści się na biernych wykonawcach czyichś poleceń. Wolelibyśmy uderzyć gdzieś wyżej.

– To jednak mamy wspólne cele – Tychenko założył kciuki za szelki i przekrzywił głowę. – Doskonale nadają się na narzędzie zemsty.

– W to nie wątpię – wpadł mu w słowo Pełczyński.

– Pozwólcie mi działać. Efekty przerosną najśmielsze marzenia.

– Albo rozwalą was już pierwszego dnia.

– Ryzyko zawodowe.

Generał ściągnął usta w wąską kreskę. Poszło łatwiej, niż się spodziewał. W tej sytuacji ryzykował niewiele. Takich lub podobnych do Tychenki pojмали już kilku. Jeden pułkownik więcej lub mniej nie stanowi różnicy. Nawet jeśli zaraz po przekroczeniu frontu zgłosi się do NKWD czy swoich, najprawdopodobniej zapłaci głową. W najlepszym razie zostanie kolejny raz „nawrócony” i Sowieci spróbują podjąć grę wywiadowczą, ale na zbyt daleko idący udział polskiego wywiadu w tym przedsięwzięciu Pełczyński nie chciał pozwolić. Tychenko i jego ludzie zostaną wyposażeni jedynie w minimalnym stopniu. Na resztę będą musieli zapracować sami. W razie

powodzenia zyski zrekompensują jakiegokolwiek ewentualne straty.

– Czego będziecie potrzebowali? – zapytał z pozornie znudzoną miną.

– Paru dni i większej swobody.

– Może i dobijemy targu.

Rozmawiali jeszcze godzinę, uzgadniając szczegóły. Plan, który wyłuszczył mu Tychenko, brzmiał bardzo podobnie do tego, który przeczytał w raporcie, ale co innego przeczytać, a co innego usłyszeć.

Na pożegnanie w końcu uściśli sobie dłonie.

– Wydam odpowiednie dyspozycje – Pełczyński przebiegł w myślach listę oficerów, którzy nadawali się do tego zadania, starając się szybko znaleźć najbardziej odpowiedniego. W końcu postanowił zrzucić to na swojego adiutanta. W razie czego będzie miał do niego szybki dostęp. – Nie wiem, czy się jeszcze zobaczymy, więc zawczasu życzę powodzenia.

– *Spasiba*.

Pełczyński wyszedł z salonu i zszedł na dół, gdzie obsada placówki w osobach pięciu wywiadowców poderwała się na jego widok.

– Spocznij.

Skinął na szefa, kierując się jednocześnie w stronę wyjścia.

– Miejcie na niego oko, kapitanie.

– Oczywiście, panie generale.

– Jeżeli cokolwiek wzbudzi waszą podejrzliwość, proszę meldować – podkreślił na odchodnym. – Niedługo dostaniecie kilku ludzi do pomocy. Macie gdzie ich zakwaterować?

– Poradzimy sobie.

– To dobrze.

Pełczyński wszedł do samochodu, zerkając na zegarek. Zdecydowanie zmitrężył zbyt dużo czasu. Już powinien być w Warszawie. Zaraz zaczną go szukać, zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością. Niestety, pewnych rzeczy nie dawało się przeskoczyć.

Powrócił w myślach do rozmowy z Tychenką. Czyżby to wszystko sprowadzało się do tak prostej sprawy jak kolektywizacja? Wystarczy rzucić hasło powszechnego uwłaszczenia i już? Chłopi pójdą za każdym, kto odda ziemię zrabowaną przez kołchozy, a robotnicy przejmą fabryki? Żywił co do tego wątpliwości, ale nie zaszkodzi spróbować, zwłaszcza że całą robotę odwalą sami Rosjanie.

Na koniec została ostatnia niewiadoma w tej układance – co porabia Flota Bałtycka i jak się do niej dostać w razie konieczności. Nad Bałtyk i z powrotem to kawał drogi, a on chciał wszystko wiedzieć natychmiast. Jedyne rozwiązanie to samolot. Szybki zwiad. Teraz wylot, a za parę godzin raport i zdjęcia na biurku. Będzie musiał pomówić z Kalkusem. Sukces pod Kijowem nie przeszedł bez echa, chociaż zrobiono wiele, by go nie nagłaśniać. Mosquito okazały się idealną bronią odwetową – szybkie i o ogromnym zasięgu – dlatego dowództwo lotnictwa nie będzie chyba miało obiekcji przed wypożyczeniem jednej lub dwóch maszyn na planowaną akcję. Idealne rozwiązanie to takie, w którym nie musiałby nikogo prosić i sam dysponował odpowiednimi środkami.

Jak okoliczności pozwolą, pomyśli i o tym.



Rozdział 2

MOSKWA

Josif Wissarionowicz nabił fajkę starannymi, oszczędnymi ruchami i w końcu pstryknął zapalką, którą niespiesznie przytknął do cybucha. Wciągnął dym do płuc i wypuścił otwartymi ustami. Kiwnął dłonią raz i drugi, chcąc zgasić zapalkę. Cholerstwo jak na złość paliło się dalej. Ponowił próbę. Wreszcie wciąż płonące drewnienko wylądowało w popielniczce.

Kto zrobił to dziadostwo i kogo trzeba będzie ukarać – ministra przemysłu czy wystarczy tego kmiotka zajmującego się lasami? A może bezpośredniego winowajcę: dyrektora zakładów zapalczanych? Ich przyszłość zawisała na cieniutkim włosku. Na szczęście nikt z zasiadających przy stole narkomów nie zdobył się nawet na cień uśmiechu. Wszyscy mieli miny jak na pogrzebie. Tym szczególnym, bo własnym.

– No, Siemionie, co macie do powiedzenia?

Ludowy komisarz obrony Siemion Konstantynowicz Timoszenko nieznacznie unióśł głowę do góry.

– Dysponujemy jakimś planem, który przełamie impas i pchnie nasze dywizje do przodu? – ciągnął niezrażony. Nie lubił tchórzy, więc lepiej jak Timoszenko nie da pretekstu do zdjęcia go ze stanowiska i wysłania na pierwszą linię w celu odpokutowania przewin. Narkoma ratowało jedno – w poprzedniej wojnie był dowódcą

dywizji w Armii Konnej, co zostawiało mu pewne pole manewru. Niewielkie, ale jednak.

Ludowy komisarz wyglądał na spokojnego, ba – wręcz rozluźnionego.

– Myślałem nad tym od dawna, towarzyszu Stalin – zaczął z delikatnym patosem. – Nie widzę potrzeby przebijania się przez linie umocnień Polaków, skoro dysponujemy wystarczającymi siłami nie tylko do obejścia obrony, ale również do ataku na głębokim zapleczu. Pytaniem pozostaje skala operacji, jaką chcemy zrealizować.

Stalin wypuścił dym przez nos dwoma strumieniami, przez co wyglądał jak rozwścieczony byk. Prawą rękę z fajką oparł o podłokietnik i wbił nieruchome spojrzenie w Timoszenkę.

– Czym teraz nas zaskoczyć?

Wszyscy jeszcze mieli świeżo w pamięci fiasko operacji powietrznodesantowej. Stracili cały korpus. Pal go licho, było takich kilka, ale przy okazji długo przygotowywana ofensywa poniosła sromotną klęskę. Wytracono najlepsze jednostki i wiele sprzętu. Efekt okazał się katastrofalny. Zamiast atakować Lwów, RKKA została odepchnięta na wschód. Jeżeli teraz Timoszenko wyjedzie z czymś podobnym, skończy jak ten od zapalek.

– Słuchamy uważnie.

– Konsultowałem sprawę z admirałem Władimirem Tribucem. Otóż twierdzi on, że przy obecnym układzie sił jesteśmy w stanie wyprowadzić flotę z Zatoki Fińskiej i wraz z silnym konwojem doprowadzić ją... hmm – w tym momencie narkom zakrzuszył się śliną.

– Chcecie wylądować na polskim wybrzeżu – Stalin był pod wrażeniem. – Odważne.

– Myśleliśmy raczej o Windawie lub Lipawie. Atakując od tyłu, zmusimy Polaków do cofnięcia się i skrócenia frontu. Już samo ryzyko takiego uderzenia skłoni Warszawę do większej ostrożności. W końcu i tak Litwa czy Łotwa nie przetrzymają długo bez ich pomocy. Estonię zgniemy w jeden, góra dwa dni.

Prawdę mówiąc, plan nie był nowy. Jaki pożytek z floty, która rdzewiała przy nabrzeżu. Należało znaleźć dla jakiejś uzasadnienie dla jej istnienia. Timoszenko wiedział, że uderzył w czuły punkt Stalina. Nakłady i środki, jakie przeznaczano na marynarkę wojenną, przedstawiały się jak zwykle imponująco. No, przecież tysiące pojazdów pancernych i samolotów to tylko część tego, co chciano wystawić. W siłach morskich i oceanicznych widziano miejsce dla dwóch lotniskowców (a co!), szesnastu pancerników z artylerią główną 406 mm typu Sawietskij Sajuz oraz kolejnych szesnastu krążowników liniowych, dwudziestu ośmiu krążowników, dwudziestu dużych niszczycieli, zwanych liderami i stu czterdziestu zwykłych niszczycieli. Wspomóc je miało przeszło czterysta okrętów podwodnych. To wszystko chciano wodować jeszcze przed 1946 rokiem. Wcześniej po prostu nie było takiej konieczności, ale kiedy chce się zanieść płomień rewolucji w najdalsze zakątki globu, to najlepiej tam wygodnie dopłynąć, a dopiero później stoczyć bitwę, jeżeli to w ogóle będzie konieczne.

Nawet to, czym dysponowali już obecnie, nie wyglądało źle. Przy odpowiednim kierownictwie zrobią swoje. Od polskiego wybrzeża dzieliła ich odległość około pięciuset mil. Do Kłajpedy czy Rygi było znacznie bliżej. Żadne z państw nadbałtyckich, a nawet Finlandia, nie dysponowało dużym potencjałem morskim. Ich siły

przedstawiały się symbolicznie, a tych parę polskich okręcików potopią pułki lotnicze Floty Bałtyckiej. Marynarze też w końcu muszą przejść chrzest bojowy. Nie mogą ciągle siedzieć zamknięci pod pokładami, bo wszystko skończy się podobnie jak podczas ostatniej wojny w marynarce Niemiec. Zresztą, co tam buntujący się Niemcy. Przykład Kronsztadu z 1921 roku działał na wyobraźnię do dziś. Co tu dużo mówić, plan wyglądał na śmiały i zarazem prosty. Nie szkodzi spróbować.

– Kiedy chcecie zacząć?

– Potrzebujemy jeszcze tylko paru dni na uzgodnienie ostatnich szczegółów – odparł Timoszenko pewnym siebie głosem.

Stalin wycelował w niego ustnik fajki.

– Lepiej, jak tym razem wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Rozdział 3

FLOTYLLA PIŃSKA

Nie lubił takich zadań, ale jak rozkaz to rozkaz. Właściwie wszystko poszłoby o wiele sprawniej, gdyby zajęła się tym eskadra wywiadowcza, przecież w tym właśnie celu ją zorganizowano. Niestety, jak często bywa, wodnosamoloty przebazowano gdzie indziej i teraz wykonują zadania na rzecz zupełnie innego zgrupowania. Przecież w pasie obrony Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” nic się nie działo. Tkwili tu – jako wysunięty na wschód występ obrony – nieatakowani i pozostawieni sami sobie. Nie było to aż takie dziwne, bo drogi wiodące w głąb Polski w tym rejonie ograniczały się wyłącznie do dwóch szlaków – kolejowego z węzłem w miejscowości Łuniec, gdzie przecinały się tory wiodące z zachodu na wschód i z północy na południe – oraz drogi wodnej, jaką właśnie była rzeka Pina.

Rozkaz dostarczenia pakietów otrzymał w Pińsku w dowództwie flotylli, przeszło sto kilometrów od granicy, a właściwie przygranicznego jeziora Zobot, gdzie zajął stanowiska I Dywizjon Monitorów. Parę kilometrów za nim, w bazie wysuniętej Nyrcza, u ujścia rzek Łań i Horyń do Prypeci stacjonował II Dywizjon. III Dywizjon bronił Mostów Wolańskich.

Oprócz flotylli rzecznej w linii stała 30 Dywizja Piechoty i rezerwowa 32 Dywizja Piechoty. Więcej nie dawało się wyskrobać na ten zapomniany przez Boga rejon

kraju.

Podchorąży Mieczysław Arenfeld, świeżo zmobilizowany absolwent Zakładu Geografii Uniwersytetu Warszawskiego, zszedł po stromej skarpie w stronę przystani. Buty uwalął błotem, przy okazji ochlapując sobie nogawki spodni. Głowa wciśnięta w hełm piechoty i plecy objuczone wyposażeniem, do tego karabinek Mausera dawały przedsmak tego, co go czeka. Co chwila odruchowo sprawdzał, czy raportówka przypięta z boku jest na swoim miejscu. Całą resztę pał diabli, ale pakiety schował właśnie tam. A może lepiej przełożyć pakunek do kieszeni kurtki? Przynajmniej nie wyląduje w odmetach Piny. Chyba że on sam wpadnie do wody, co wcale nie wyglądało na niewykonalne.

Arenfeld poślizgnął się, ale w porę złapał równowagę. Nie będzie łatwo. Poszukał wzrokiem okrętu, który mu przydzielono. Bez rezultatów. Po chwili się zreflektował. To musi być łódka, przed którą właśnie stał. Ciekawe, czy jego pancernik ma silnik, czy przyjdzie mu wiosłować?

Kuter KS, długa na 12 metrów łódź z cekaemem i pancernem bocznym, wyglądała na przerośniętą motorówkę, którą w zasadzie była.

Poszedł na geografię, by podróżować i odkrywać dalekie lądy. Zamiast egzotycznych wypraw szykował się do wyjazdu w najbardziej dziką część własnej ojczyzny. Kiedy w końcu stanął na deskach pomostu, pierwszy odcinek ekspedycji mógł uznać za zaliczony. Pewnym krokiem podszedł do kutra.

Podoficer i trzech marynarzy stanowiących obsadę jednostki spojrzęło na młodego podchorążego.

– Bosmanie?

– Tak jest.

– Rozkazem dowódcy flotylli mam przejąć...

– Tak jest – podoficer nie pozwolił skończyć Arenfeldowi. – Zapraszamy do nas.

Wszyscy wyglądali na starszych od niego, a już na pewno sierżant. Przynajmniej dziesięć lat różnicy, chyba że praca na wodzie tak postarza. Ostrożnie stawiając kroki, zszedł na pokład.

– Bosman Morgała. Zaraz ruszamy. Otrzymałem stosowne rozkazy.

Może nie będzie tak źle, jak myślał. Odłożył karabinek, plecak i hełm we wskazanym miejscu. Na głowę wsunął furażerkę. Zdecydowanie lepiej.

Jeden z marynarzy zapuścił silnik, drugi odcumował krypę. Morgała stał przy sterze, wydając polecenia. On sam nie bardzo wiedział, gdzie ma się podziać. Poszedł w końcu na sam tył i przysiadł na ławeczce. Trzeci z załogi, zręcznie manewrując bosakiem, odepchnął ich od pomostu. W końcu ruszyli, a zabudowania Pińska z błotnistymi uliczkami zaczęły stopniowo znikać z horyzontu.

Rozpiął górny guzik munduru. Na razie było całkiem przyjemnie. Około południa zrobi się za to gorąco, żeby nie powiedzieć – parno. Zupełnie nieregulaminowo za pierwszym guzikiem poszły następne. Kto go tutaj zobaczy? Już teraz marynarze paradowali w samych koszulach, tylko bosman stał przy sterze w pełnym rynsztunku jak pomnik marynarza.

Jak obliczył, późnym popołudniem osiągną rejon Mostów Wolańskich. Tam zda pierwszy z pakietów. Jeden problem mniej. Z resztą nie pójdzie tak szybko. Sprawę zakończy najprędzej jutro rano. Później doba na powrót lub nowe wytyczne. Całe zadanie coraz bardziej kojarzyło mu

się z wyprawą Amazonką. Zamiast Indian tutejsi Poleszucy, zresztą wcale tak bardzo nieodbiegający od tamtych stylem i sposobem życia. Widział ich nawet teraz, jak przepływają w długich łodziach, a zamiast wiosł używają długich drągów do odpychania się od dna.

Wolna przestrzeń po jednej i drugiej stronie szybko ustąpiła leśnej gęstwinie. Brzeg całkiem stracił zarys, przechodząc w grząskie bagnisko. Pierwotna puszcza rozciągała się z obu stron rzeki. Otaczający Arenfelda ludzie i krypa, na której płynął, stanowili ostatnie ogniwo łączące go z cywilizacją. A przecież wiedział, że dalej będzie gorzej. Nadbrzeżne wioseczki znikną, podobnie jak inne świadectwa ludzkiej bytności. To nie to samo, co wskoczyć do tramwaju i pojechać z placu Unii Lubelskiej na Marymont. Nawet nie miał z kim pogadać. Morgała sterował i nie wypadało mu przeszkadzać. Marynarze zajęli się własnymi sprawami. Wszyscy mieli zajęcie oprócz niego. Zdaje się, że to będą bardzo długie dni.

Rozdział 4

LUBLIN

– Dostał... O, właśnie w tym miejscu. Poszły przekładnie... – mechanik wskazał uszkodzenie. – Wytoczenie nowych potrwa, bo oczywiście części nie ma.

– Te od Fairey Battle nie będą pasowały?

– No, coś pan – oburzenie mechanika nie miało granic.

– Chciałem pomóc.

– To idź pan, panie Marku, do kantyny i nie przeszkadzaj.

Podporucznik Marek Bagiński poklepał krawędź skrzydła czułym gestem. Oberwali i nic na to nie poradzi. Jeszcze w powietrzu czuł, że silnik szwankuje. Nie dawał pełnej mocy, najwyżej połowę, co go bardzo irytowało. Jeżeli teraz ten DH.98 trafi do naprawy, to w eskadrze zostaną raptem dwie maszyny, bo właśnie wczoraj stracili tę prowadzoną przez porucznika Fereta. Marek nawet nie wiedział dokładnie, co się stało. Po prostu Mosquito skrzydłowego dowódcy eskadry nagle znikł z pola widzenia lecącego nieco dalej Bagińskiego. Przy nawrocie zobaczył jedynie dymiące szczątki i ogon samolotu wbity w ziemię.

Jak do tego doszło? Mieli tylko ostrzelać kolumnę pancerną pod Tarnopolem. Podczas nalotu na węzeł kolejowy zginął Jaś Puławski. Teraz jedna maszyna została

zniszczona, a druga, pilotowana przez niego, uszkodzona. Jak na cztery dni prowadzonych działań to sporo. Dowodzący zespołem major Alfred Peszke na pewno nie będzie zachwycony.

Marek krok po kroku powlókł się w stronę zabudowań. Chciał to mieć za sobą. Majora nie musiał długo szukać. Z daleka słyszał jego głos, dochodzący z pokoju, gdzie zamontowano telefon. Z tonu wywnioskował, że dowódca sili się na spokój, choć wewnątrz aż kipi od gniewu.

– Tak... tak... – po chwili kolejne – tak.

Ołówek bębnił po książce lotów.

– Tak. Ja to rozumiem. Oczywiście, że tak.

Może i rozumiał, ale niekoniecznie się z tym zgadzał.

– Jeżeli takie są polecenia, to nie mam innego wyjścia.

Tym razem cisza trwała nieco dłużej.

– Nie mam pełnego wglądu, ale... Dobrze.

– Właśnie miałem po was posłać – powiedział na widok Marka. Odłożył słuchawkę zdecydowanym ruchem. Ledwo pohamował przekleństwa cisnące się na usta. Nie wypadalo mu się pieklić jak pierwszemu lepszemu cholerykowi.

– Tak?

– Zostaliście oddelegowani na czas nieokreślony.

Przez ostatnie parę miesięcy Marek zdążył się do tego przyzwyczać. Gdzie on to nie był? Warszawa, Grodno, Moskwa, Londyn, teraz Lublin. Podświadomie już oczekiwał czegoś podobnego. Nigdzie nie mógł zagrzeć miejsca. Ciekawe, z czego wynikały przenosiny – istotnie był taki dobry czy też brakowało chętnych?

– Ja oczywiście nie wiem, o co chodzi – zastrzegł Peszke. – Telefonowali w waszej sprawie z Warszawy. Pewnie jakaś ekstrakcja.

Aż bał się zapytać, gdzie ma się zgłosić.

– Więc tak: wy i podchorąży Szymański najpóźniej w ciągu paru godzin macie odlecieć do Pucka.

O ile pamiętał, Puck to miejsce najbardziej oddalone od obecnie prowadzonych działań wojennych. Na razie nie musiał wiedzieć, co ma tam robić. Ważniejsze, jak się tam dostać.

– Mam uszkodzony silnik. Z tego, co mówią mechanicy, naprawa potrwa jakiś czas.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?

– To świeża sprawa.

Major Alfred Peszke wstał i założył ręce do tyłu.

– W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak zameldować o wszystkim Warszawie. Na razie wybierzcie sobie maszynę z tych, które mamy do dyspozycji. Dowolną.

Pozostał wyłącznie Mosquito jeden i cztery. Wybór niewielki, wzięwszy pod uwagę, że jedynka należała do majora, a czwórka do skrzydłowego Marka.

– Wezmę czwórkę.

– Jak chcecie – Peszke obrzucił Marka uważnym spojrzeniem. – Powodzenia.

Major usiadł i ponownie chwycił za słuchawkę telefonu.

– Połączcie mnie z Warszawą. Z biurem generała... Proszę.

•

Baza Morskiego Dywizjonu Lotniczego w Pucku przywitała ich wakacyjną pogodą. Zeszli gładko nad prawie opustoszałe lotnisko i przysiedli mniej więcej w połowie pasa. Z prawej strony stało parę RWD i patrolowa Mewa. Chciał do nich podkołować, kiedy zauważył podjeżdżającego Łazika i wyskakującego ze środka sierżanta.

Zamachał do nich. Wskazali mu, żeby zjechał na lewo. Merliny zawyły na zwiększonych obrotach i Mosquito podjechał do skraju pasa, gdzie przystanął. Ledwo zdążyli wysiąść, gdy obsługa naziemna odtoczyła samolot w stronę rozpiętej siatki maskującej.

Bagiński rozpiął lotniczą kurtkę. Na ziemi panowała temperatura trudna do wytrzymania. Nie zdążył nawet dobrze rozprostować kości, bo od razu zostali skierowani do murowanego budynku stanowiącego siedzibę dowództwa dywizjonu.

Już raz tu był, zaledwie parę dni wcześniej, gdy przyproceedził eskadrę z Anglii. Nic się nie zmieniło. Wkoło wciąż te same widoczki – umocnione workami z piaskiem stanowiska dział przeciwlotniczych i karabinów maszynowych. Ostatnim razem było chyba więcej maszyn, ale mógł się mylić.

Wraz z Szymańskim minęli wartę przy otwartych na oścież szerokich drzwiach i weszli do środka. Teraz tylko znaleźć jakiegoś oficera.

– Podporucznik Bagiński? – usłyszał od strony dyżurki.

– Tak jest.

– Proszę za mną, a wy, chorąży, możecie poczekać.

Władek Szymański, kolejny drugi pilot Marka po MacDonalddie i Puławskim, zdążył już przywyknąć do myśli, że jest dopiero materiałem na pełnowartościowego oficera. Jako lotnik równie utalentowany co Bagiński, nie podzielał jego zamiłowania do sportu, a przynajmniej do tego sprowadzającego się do wzajemnego okładania się pięściami po twarzy. Wolał podręcznik mechaniki i instrukcje obsługi silników. Z zapamiętaniem studiował tabliczki znamionowe i broszury reklamowe urządzeń elektrycznych.

– Nie zawracajcie sobą mną głowy – powiedział i odszedł w stronę, skąd dochodził zapach przypalonej kaszy i kawy zbożowej.

– Skoro już nic nie stoi na przeszkodzie, to chodźmy – ponaglił dyżurny.

Zeszli kondygnację w dół. Z jednej strony schron, z drugiej pomieszczenia dowództwa. Ponury nastrój piwnicy aż nadto kontrastował z piękną, słoneczną pogodą, z drugiej strony chłód podziemia na pewno działał ożywczo po skwarze na zewnątrz.

Pokój, do którego go zaprowadzono, był większy, niż się spodziewał. W kącie dostrzegł nawet umywalkę za białym parawanem i polowe łóżko. Właśnie nad umywalką stał niewysoki, korpulentny mężczyzna bez kurtki mundurowej, w samej tylko koszuli, i mył ręce.

– Podporucznik...

– Wiem, kim jesteście – gospodarz przejechał wilgotną dłonią po karku, a następnie opłukał twarz. W końcu sięgnął po czysty biały ręcznik i przyłożył go do czoła.

– Bardzo was chwala.

– Nie wiedziałem – bąknął.

– No, to już wiecie.

Przez oparcie krzesła przewieszono górę munduru. Marek dostrzegł gwiazdki i belki na pagonach.

– Czasowo zostaliście oddelegowani pod moją komendę – pułkownik w końcu przeszedł do sedna. – Już się zapewne domyślacie, że dowodzę całym tym cyrkiem tutaj.

– Tak...

– Pozwólcie mi skończyć – nowy przełożony wykonał uspokajający ruch ręką. – Podobno jesteście jedną z niewielu osób w naszej armii mającą odpowiednie doświadczenie w wykonywaniu takich misji.

Tego się spodziewał. Nie kazano by mu przecież lecieć na drugi koniec Polski bez wyraźnego powodu. Jest zadanie i musi je wykonać. Pytanie tylko, czy wyniesie z tego głowę cało. Bez mrugnięcia okiem wpatrywał się w pułkownika.

– W ogólnym zarysie... Zaraz, gdzie ja to mam... – pułkownik poszukał wśród papierów leżącej na stoliku morskiej mapy, jak się zdawało, dość szczegółowo odzwierciedlającej wszelkie geograficzne detale zatoki głęboko wcinającej się w ląd.

– O, widzicie? Tutaj. O to nam chodzi – wskazał palcem dość rozległy rejon u ujścia jakiejś rzeki. – Podejdźcie bliżej. Stamtąd chyba nic nie widać.

Czegóż teraz od niego chcą? Zobaczmy.

Zrobił parę kroków i pochylił się nad płachtą. W natłoku poziomicy i cyferek trudno mu było się nawet zorientować, gdzie jest ląd, a gdzie morze. Zresztą sam zarys linii brzegowej nic by mu nie powiedział, żeglarstwo to nie jego pasja. Zaraz, zaraz...

– Dobrze widzicie, poruczniku, to Kronsztad.

– Co ja niby mam zrobić? – zapytał, chociaż już się domyślał, czego od niego oczekują. Równie dobrze mogliby go wysłać wprost w lwią paszczę.

– Polecicie, zrobicie kilka fotek i wróćcie – pułkownik nie silił się na frazesy, bo doskonale wiedział, z jakim ryzykiem przyjdzie zmierzyć się załodze. Dlatego dodał po chwili: – Dobrze was rozumiem. Możecie odmówić. Polecą kto inny.

– Chwileczkę, nie powiedziałem przecież: nie.

– To dla nas bardzo istotne. Naprawdę. Przy poprzedniej generacji samolotów o takiej operacji w ogóle nie dałoby się pomyśleć. Dopiero Mosquito, o ile jest tak dobry, jak słyszałem, przedrze się przez obronę. To jak?

Swoje szanse szacował jako pół na pół. Tam pewnie aż roi się od myśliwców obrony i dział przeciwlotniczych. DH.98 był szybki, owszem, ale nie tak, by wyprzedzić pocisk wystrzelony w jego kierunku.

– Ile przelotów?

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Tyle, ile będzie konieczne. Zainstalujemy wam kamery, więc myślę, że wystarczy jeden, góra dwa. Lotnisko zapasowe w Tallinie bądź Rydze.

– Co potem?

– Zobaczymy.

Właściwie i tak wszystko już zostało zorganizowane. Czy poleci on, czy ktoś inny, nie miało większego znaczenia.

•

Trasę zaplanował tak, aby w sowieckiej przestrzeni powietrznej przebywać jak najkrócej. Kurs wykreślony

na mapie wiódł nad Lipawą, przecinał Zatokę Ryską, dalej prowadził na Dorpad i jezioro Pejpus. Stamtąd już tylko jeden skok do celu. Ogółem trochę ponad 800 kilometrów w jedną stronę. Trzy i pół godziny bez specjalnego żyłowania silników.

Zaplanowany na godzinę 17.00 wylot opóźnił się przez kamery, które nie mieściły się w podkadłubowym stelażu. Przeróbka zajęła więcej czasu niż sam montaż. W desperacji wycięto w poszyciu nieco większy otwór na obiektyw.

Bagińskiego najbardziej irytowało co innego – że całe to cholerne ustrojstwo poddane przeciążeniom zaczęło żyć własnym życiem i ostatecznie odpadnie, nie daj Boże, uszkadzając idące tuż obok ciężna sterowania lotkami. Jak mu na koniec powiedziano, obiektywy udało się ustawić pod takim kątem, że powinny pokrywać też znaczny obszar przed samolotem, tak żeby nie musiał przelatywać nad każdym obiektem. Miał zamiar dla pewności zrobić pętlę lub dwie, jednak świadomość, że nie jest to bezwzględnie konieczne, jakoś pomagała.

Wystartowali z czterdziestominutowym opóźnieniem, więc od razu ostro nabrał wysokości. Żadnych subtelności. Szybka akcja i równie szybki powrót do bazy.

– Pytałem o tego pułkownika – powiedział Szymański. – Podobno równy chłop. Bardzo go tutaj chwala.

– Taaa...

– Za parę tygodni zostanie generałem.

– Jeszcze jeden?

– Jesteś uprzedzony.

– Lepiej sprawdź temperaturę oleju.

– Wciąż na takim samym poziomie – podchorąży dotknął palcami wskaźnika, jakby w ten sposób chciał namacalnie się o tym przekonać.

– Jak podskoczy, powiedz.

– Nie omieszkam, a wracając... – Szymański nie przestawał mleć ozorem.

– Władek, litości.

Marek najbardziej lubił latać sam. Niestety, DH.98 zaprojektowano jako maszynę dwuosobową. Kłopot ze współzałogantami polegał jeszcze na tym, że bardzo często się zmieniali. Nim zdążył przywyknąć do jednego, zaraz pojawiał się kolejny i wszystko zaczynało się od początku.

Z informacji zasięgniętych przed wylotem wyłaniał się obraz umiarkowanej aktywności Sowietów nad rejonem polskiego wybrzeża. Raz myśliwce eskadry pościgowej rozpedziły wyprawę bombową ciągnącą nad Gdynię. Parę bomb poszło nawet w doki, uszkodzając przy okazji kilka handlowców. Taka akcja już się nie powtórzyła, za to parę razy widziano samoloty zwiadowcze. Osobna sprawa to kilka nalotów na idącego ze Sztokholmu „Robura VII”. W końcu kapitan zawrócił do Szwecji, mając na pokładzie poturbowaną sporą część załogi. Wiadomością z ostatniej chwili była plotka o zatopieniu rosyjskiego frachtowca, który w rzeczywistości okazał się czymś zgoła innym. Jeżeli to prawda, to jeden zero dla Polaków.

Niedługo potem rwali pełną mocą silników nad jeziorem stanowiącym granicę Estonii z komunistycznym molochem. Gdyby nie miejsce i okazja, ten krajobraz w miękkim świetle wczesnego wieczoru zupełnie rozkleiłby Bagińskiego.

– Obiekt na trzeciej – po raz pierwszy od godziny

usłyszał w słuchawkach interkomu głos podchorążego.

Szybko zerknął we wskazanym kierunku. Ledwo dostrzegł jednosilnikową maszynę dobre tysiąc pięćset metrów niżej. Sokół mógł pozazdrościć wzroku Szymańskiemu. Na tle ciemnozielonego lasu sylwetka samolotu stanowiła prawie niezauważalną plamę.

Delikatnie obrał kurs bardziej na wschód. Nic się nie stanie, jak wlecą nad ujście Newy od południa. Parę chwil później dokonał korekty. Wystarczy. Marka zupełnie nie interesował Leningrad. Jakoś nie czuł potrzeby oglądać stolicy postawionej na bagnach przez cara Piotra I, za to bazę floty jak najbardziej.

Zamazany kontur lądu przechodził w szarogranatową taflę wody. Miejscowość na dole to prawdopodobnie Peterhof, chociaż nie, to Oranienbaum leżący naprzeciwko wydłużonego kawałka lądu, wprost u ujścia rzeki do zatoki.

– Kamery – warknął na Szymańskiego, przesuwając manetkę gazu w przód.

Mosquito drżał, lecąc z maksymalną prędkością. Teraz rzucał się w oczy podłużny, nieznacznie wygięty kształt wyspy Kotlin, na której wschodnim cyplu zlokalizowano forty Floty Bałtyckiej, a przy nich port marynarki wojennej.

Pochylił nos maszyny. Zaczęli schodzić w dół płytkim ślizgiem. Nawet jeżeli kamery szlag trafi, to i tak już wiedział, co zameldować – na jego oko Sowievi szykowali niegorszą operację, bo przed wzrokiem Marka roztaczał się widok na co najmniej kilkadziesiąt jednostek różnej wielkości.

– Widzisz to, widzisz?! – podchorąży nie potrafił ukryć emocji.

– Jest gorzej, niż myślałem.

Dłonie zacisnął na drążku sterowym tak mocno, jakby od tego zależało jego życie. Zwrot przez prawe skrzydło i przed nimi w odległej perspektywie zamajaczył Siestroneck po drugiej stronie ujścia Newy. Począł, aż miasto przesunie się na lewo od nich, i gwałtownie skręcił w drugą stronę. Właśnie tego, że takie manewry zwróca w końcu czyjąś uwagę, bał się najbardziej.

Zatoczyli prawie pełne koło, kiedy na zbieżnym kursie dostrzegł punkcik.

– To ten sam drań co przed chwilą. Nie odpuścił – w głosie Szymańskiego usłyszał całkowitą pewność, pozostało mu się zgodzić.

Już myślał, że przeszli niezauważeni, a tu taka niespodzianka. Kciuk mimowolnie podważył blokadę spustu działek i karabinów maszynowych. Dysponował dostateczną siłą ognia, by zdmuchnąć z nieba każdą wrogą maszynę. W ostateczności. Przecież nie przyleciał się tu bić. Wystarczy nieznaczne uszkodzenie Mosquito, przygodne lądowanie i wszystko trzeba będzie zaczynać od początku. Ci z II Oddziału dostaną piany na ustach. Już mieli to, czego chcieli. Wystarczy dowieźć cało głowę do domu i po zabawie.

Pilot sowieckiego samolotu miał inne wytyczne lub podobny temperament. Nabierał wysokości, kierując się dokładnie na DH.98. Tylko patrzeć, jak pojawi się więcej jego koleśi. Jeden pocisk z działka – taka pokusa i obawa jednocześnie nie dawała spokoju Markowi.

Lecieli teraz z szybkością 600 kilometrów na godzinę. Więcej nie da rady. W normalnych warunkach Rosjanin zobaczyłby co najwyżej szybko oddalający się ogon z białą-czerwoną szachownicą, ale jak na złość akurat

ten nadciągał z naprzeciwka, również pędząc z ogromną prędkością.

Skoro tak chce... Marek pchnął drążek sterowy minimalnie w lewo, ustawiając wrogi samolot w przeciwnikowym celowniku. Zawsze miał niezłą parę w ramionach, dodatkowo wspartą ćwiczeniami, ale teraz czuł fizyczny ból promieniujący z pleców ku palcom zaciśniętym na wyprofilowanym uchwycie drążka.

Rosjaninowi pierwszemu puściły nerwy. Krawędzie natarcia skrzydeł rozjarzyły się białymi ognikami.

Nic z tego, przyjacielu. Za wcześnie.

Za optymalne uznawano krzyżowanie serii jakieś 200 metrów przed samolotem. Marek nie wiedział, jak przeciwnik ma wyregulowane karabiny. Może tak jak wszyscy, a może inaczej. Nieistotne. Obaj wiedzieli, że każdy z nich ma tylko jedną szansę.

W momencie, kiedy tamten przestał strzelać, nacisnął spust i przytrzymał przez trzy sekundy.

Zwrot.

Przez ułamek sekundy zobaczył boczną sylwetkę tamtego. Już wiedział, dlaczego sowiecki pilot tak szarżował. Ił-2 zdecydowanie nie nadawał się do walki manewrowej. To nie leżało w jego naturze. Przeznaczono go do zupełnie innych zadań.

Nie wyglądało, by któryś z nich doznał uszkodzeń. Marek, zbyt zajęty manewrowaniem, już nie zdołał zobaczyć, jak szturmowiec po dłuższej chwili przechodzi w coraz bardziej strome pikowanie i w końcu roztrzaskuje się niedaleko jednego z trałowców. To wszystko zostało gdzieś za nim, a tymczasem rwał na południe, stopniowo nabierając wysokości. Nie mógł wiedzieć, że on i Szymański nie są jedynymi polskimi żołnierzami na tym

obszarze.

•

Kapitan marynarki Bogusław Krawczyk, dowódca podwodnego stawiacza min ORP „Wilk”, stał na pomoście bojowym i odmierzał czas. Równo co dziesięć sekund z rufowych aparatów jednostki schodziła jedna z trzydziestu ośmiu wypełniających ładownię min typu SM-5. Trzydzieści osiem sztuk mogło wyglądać na niewiele, ale „Wilk” nie był sam. Półtorej mili za nim operował ORP „Ryś”. Trzecia z jednostek, „Żbik”, jak na razie pozostawała w rezerwie i Krawczyk nie wiedział, kiedy wejdzie do akcji.

Płynęli z prędkością dwóch węzłów, więc chwilami wydawało się, że stoją w miejscu. Dopiero co zaczęli, a 54-osobowej załozce czas już dłużyl się niemiłosiernie, dowódcy zresztą również. Stan techniczny okrętu budził wiele wątpliwości. „Wilk” miał już swoje lata – zwodowany w 1929 roku, przez wszystkie te lata wytrwale pełnił służbę. Kiedy już należało raczej myśleć o zastąpieniu go przez nowocześniejszą jednostkę niż o remontach, przyszedł rozkaz wykonania zadania bojowego, do którego został stworzony.

– Ster lewo piętnaście – wydał polecenie kapitan.

Pierwsza partia min już znalazła się na torze wodnym wiodącym do Kronsztadu. Teraz zwrot i kolejna wylądjuje za burtą zaledwie pięć mil morskich od największej na Bałtyku sowieckiej bazy morskiej.

– Ster zero.

Pora rozpocząć wszystko od początku.

Krawczyk przyłożył usta do końcówki rury

głosowej.

– Przedział minowy zaczynać.

Ponownie spojrzął na stoper, odliczając czas do końca. Jak pozbędzie się min, zostanie mu ostatni argument – sześć wyrzutni torpedowych kalibru 550 mm. To całkiem sporo. Jedna salwa wystarczyłaby na któryś z liniowców bądź krążowników, jeżeli takowy bezpiecznie przeszedłby przez zagrody i wszedł mu na celownik.

Mimo wszystkich wad okrętu Krawczyk uważał go za szczęśliwy, a właściwie wierzył, że taki niebawem się stanie.

Rozdział 5

WARSZAWA

– Przecież mówię wyraźnie: jak najszybciej. Tak. Łącznie z opisem, nie jestem specjalistą.

Tak to jest, jak próbuje się złapać trzy sroki za ogon jednocześnie. Właściwie to nie powinien mieć żalu do nikogo – chciał wiedzieć, to pewnie zaraz się dowie. Chodziło wyłącznie o to, że informacje nie były tego rodzaju, jakich by sobie życzył. Zaraz otrzyma potwierdzenie i pozostanie mu jedynie nadzieja, że ci, którym ją przekaze, staną na wysokości zadania.

Marynarka Wojenna realizowała własny program, którego celem było niewypuszczenie Sowieców z saka. Jeśli dostarczone przez Bagińskiego fotografie chociaż w części wykażą wzrost aktywności Floty Bałtyckiej, to czeka ich niezła jazda. Na działaniach morskich znał się słabo, jedynie tyle, by wiedzieć, jak taka operacja może wyglądać – sieć zagród minowych rozciągnięta przez podwodne stawiacze min. Jeżeli to nie zniechęci przeciwnika, pozostawał ORP „Gryf”, największy ofensywny okręt polskiej marynarki. Na jego pokładzie składowano dość ładunków, by postawić gęstą zaporę przy wyjściu z Zatoki Fińskiej.

Trudno powiedzieć, jak zdesperowany będzie dowodzący operacją admirał – jeżeli zdecyduje się kontynuować akcję, to torpedy i lotnicze bomby powinny

dokończyć dzieła, ale jak wiadomo na wojnie, jak to na wojnie, wszystko może się wydarzyć. Jeśli przejdą i to, pozostanie im tradycyjna bitwa morska na podejściach do Zatoki Gdańskiej.

Blokada wybrzeża to koniec jakiegokolwiek pomocy z zewnątrz. Konwoje z Anglii i Francji ustaną całkowicie, chociaż i tak zaopatrzenie płynęło wąską strużką. Rejsy naokoło, przez Morze Śródziemne i Czarne do Konstancy w Rumunii, wydłużą czas dostaw. W dodatku ten szlak funkcjonowałyby tylko dopóty, dopóki Sowieci nie zdecydowaliby się zablokować czarnomorskich portów, co przyszyłoby im zdecydowanie łatwiej niż na Bałtyku.

Zwykle porównanie sił nic tu nie dawało. Obecnie wszelkie atuty były po ich stronie. Chciałoby się powiedzieć, że w tej konkretnej sytuacji trzymali Rosjan za gardło. Niemniej jak już przeciwnicy przystąpią do działania i z uporem zaczną przebijać się w kierunku zachodnim, dysproporcja sił będzie wyraźnie widoczna.

Adiutant delikatnie zapukał do drzwi.

– Tak?

– Jest pan proszony na dół.

– Już idę.

Szybciej, niż zamierzał, zbiegł po schodach. Sala projekcyjna na parterze jeszcze świeciła pustkami. Przynajmniej tak się zdawało generałowi.

– Nie wiedziałem, że pan jest w Warszawie.

Konradmirał Jerzy Świrski, szef Kierownictwa Marynarki Wojennej, sztywno odkłonił się Pełczyńskiemu.

– To panu zawdzięczam ten pokaz?

– Poniekąd – wymijająco odparł szef II Oddziału. – Pan nie jest ciekaw, co też szykują nasi przyjaciele? – dodał złośliwie.

Świrski, pięćdziesięcioletni mężczyzna o nijakiej twarzy, jakby nie zauważył przytyku. Najwyczajniej w świecie usiadł w pierwszym rzędzie foteli i założył nogę na nogę.

Pełczyński stanął przed wyborem – szybki papieros czy towarzystwo mrukliwego kontradmirała.

Wyjrzał na korytarz. Dylemat rozwiązał się sam, bo od strony głównego holu zbliżał się marszałek Śmigły-Rydz w towarzystwie gwardii przybocznej – szefa sztabu generała Wacława Stachewicza i jego zastępcy, pułkownika Józefa Jaklicza.

– Zawsze pierwszy – powiedział naczelny wódz przy powitaniu.

– Tym razem jednak nie.

Na widok Śmigłego Świrski wstał, wyprężył sylwetkę, lecz nic nie powiedział.

– Właśnie chciałem po pana posłać.

– W takim razie zaczynamy – Stachewicz zamknął drzwi i pstryknął palcami.

Przygasły światła, a projektor rozpoczął pracę. Zaczęło się jak zwykle – cyfry odliczające czas do rozpoczęcia filmu, puste klatki i w końcu to, o co chodziło.

– Nasi technicy zmontowali całość z nagrań pochodzących z dwóch kamer – wyjaśnił operator. – Panowie zobaczą końcowy efekt.

Pełczyński, zamiast wygodnie rozwalić się w fotelu jak Stachewicz czy zachować powściągliwy umiar jak Śmigły, najchętniej przyłożyłby nos do samego ekranu, analizując każdy szczegół.

Z początku wszystko drgało, nie pozwalając dojrzeć detali. Tu ziemia, tu morze, a tu niebo – wszystko

w najróżniejszych odcieniach szarości. Obraz ustabilizował się dopiero po dłuższej chwili. Wyświetlany pod kątem, dawał znakomitą perspektywę. Na dole ujście Newy widziane na wschód. Na wodzie w większości sama drobnica. Głowy nie da, ale dwadzieścia kilometrów dalej rozpościerał się Leningrad. Po chwili to samo, tylko z drugiej strony. Ten materiał zdecydowanie nadawał się do szczegółowego zbadania.

Uwagę zwracały pancerniki „Marat” i „Oktiabrskaja Rewolucja” zacumowane przy pirsach. Oba jeszcze sprzed poprzedniej wojny. Coś tam przy nich robiono – próbowano modernizować, ale ponoć bez większego efektu. Co innego krążownik „Kirow”. Ten był znacznie nowszy, bo wybudowany w 1938 roku. Dziewięć dział kalibru 180 mm przedstawiało pokaźną siłę ognia. Również duże niszczyciele „Leningrad” i „Mińsk” nie odstawały tak bardzo od „Groma”. Siły lekkie z tego, co wiedział Pełczyński, to niszczyciele typu Gniewnyj oraz typu Nowik. Tych jednostek zupełnie nie potrafił wskazać, ale już widział dyskusję, gdy specjaliści dorwą się w końcu do filmu. Równie niewiele wiedział o sowieckich okrętach podwodnych, oprócz tego, że było ich dużo. Znacznie więcej, niż mogli wystawić oni. Szacunki mówiły o jakiejś czterdziestce, i to na samym Bałtyku. Ogólnie we wszystkich flotach pełniło służbę sto sześćdziesiąt pięć okrętów wszystkich typów i rodzajów – od małych przybrzeżnych M, po typ L jak Leniniec – lub, jak kto woli, po typ SZCZ jak Szczuka i pełnomorskie K i B.

Wartość tej całej zbieraniny określano różnie, w zależności od tego, kto sporządzał konkretną analizę: od mało przydatnej po w pełni sprawną siłę bojową.

Obejrzeni jeszcze raz to samo, z tym że widok

zabudowań wyspy Kotlin był tym razem dużo wyraźniejszy. Baza aż kipiała od ludzi i sprzętu, co nikomu nie poprawiło humoru. W końcu szarość na ekranie obwieściła koniec projekcji. Zapalono światła.

– Co panowie o tym myślą? – pierwszy przerwał ciszę marszałek.

– Moim zdaniem zagrożenie z tej strony jest przesadzone – obwieścił Stachiewicz.

– Jest pan pewien? – zapytał Śmigły.

– To czysta dezinformacja. Chcą odwrócić naszą uwagę od naprawdę ważnego terenu, a ten, jak wiemy, znajduje się w pasie działania Armii „Podole” i „Wołyń”.

– Pan się zgadza z tą opinią? – naczelny wódz popatrzył na Świrskiego.

– Flota wykonuje zadania zgodnie z założonym planem – odparł, jakby czytał z kartki.

– Co jeszcze nie zwalnia z obowiązku myślenia – dorzucił swoje Pełczyński.

– Panie generale, wypraszam sobie.

– Panowie... – Śmigły podniósł głos o oktawę. – Mamy podjąć decyzję, co z tym zrobić, a nie kto ma rację.

– Materiał, jaki obejrzelśmy, należy poddać obróbce. Sam nie czuję się upoważniony do wysuwania daleko idących wniosków, które powinny zależeć od opinii fachowców – szef sztabu wymownie spojrzął na szefa wywiadu.

– Akurat z tym jestem w stanie się zgodzić. Brakuje nam doświadczenia.

– Właśnie. Widzieliśmy same jednostki bojowe. Do próby wyjścia z Kronsztadu to wystarczy. Panowie zgadzają się ze mną? – Stachiewicz przerwał wywód, ale nikt nie powiedział ani słowa. – Nie widzieliśmy

za to motorowców z desantem ani tym bardziej próby ich załadowania. Nic z tych rzeczy. Zwykły ruch w porcie, że tak powiem.

– Zapytam wprost – Śmigły oparł podbródek na pięściach. – Czy nasze szlaki żeglugowe są zagrożone? Panowie wiedzą, że przez Sund idą kolejne transportowce i nie chciałbym zostać zaskoczony informacją o ich powrocie.

– Z całą mocą mogę stwierdzić, że na obecnym etapie nasze interesy na morzu nie są zagrożone – odparł szef Kierownictwa Marynarki Wojennej. – Mniej więcej od wysokości Kolbergu staramy się tworzyć pas ochronny. Na razie zdaje egzamin.

– Jeżeli mogę zapytać, co to za siły?

– „Wicher” i „Grom”, a na podejściach do niemieckiej bazy w Swinemünde „Orzeł”.

– Czy to nie zbyt ryzykowne?

– Komandor Kłoczkowski jest doskonałym dowódcą.

– Nie o to pytałem.

– Panie marszałku, ryzyko istnieje zawsze. O wiele ważniejszy jest bilans naszych zysków i strat.

O misji „Orła” Pelczyński nie wiedział zgoła nic, a oświadczenie Świrskiego zupełnie go zaskoczyło. Chyba za bardzo skupił się na wrogu, ignorując własne podwórko, a przecież rejs okrętu podwodnego w tamte okolice to niezrównany materiał wywiadowczy weryfikujący informacje napływające z pozostałych źródeł. Musiał przyznać, że nie mieli tego za wiele. Polska komórka wywiadowcza Bombaj, zainstalowana w Stettinie, nie obejmowała tak ważnego punktu, jakim był port i baza Kriegsmarine w nieodległym Swinemünde. Niby coś tam

wiedzieli. Nic nie jest zupełnie szczelne, ale to mało. Postawa Świrskiego rozczarowywała. Czy on aby zdaje sobie sprawę z niewykorzystanej możliwości? Na usta Pełczyńskiemu cisnęły się ostre słowa, kiedy zupełnie nic niewyrażająca twarz kontradmirała obróciła w stronę, gdzie siedział generał.

– Zapewne jest pan zainteresowany tym, co zostało przez nas zdobyte. Z wiadomych względów jednostka nie komunikuje się z nami, tego jest pan świadom, mam nadzieję.

Pełczyński nie chciał wyjść na dumia, więc jedynie przytaknął.

– Odpowiednie materiały zostaną panu przedstawione. W swoim czasie, oczywiście, ale z tego, co widzę, i bez naszej pomocy radzi pan sobie doskonale – Świrski wskazał na projektor.

– Proponuje pan powtórkę nad Swinemünde?

– Doskonale pan wie, że to nie jest możliwe. Nie zajrzemy tam, gdzie oni nie pozwolą.

– Co nam pozostaje?

– Przypilnujemy Sowietów. Niemców nie do końca – powiedział kontradmirał z rozbrajającą szczerością. – Dalej czas pokaże.

Rozdział 6

KRONSZTAD

Admirał Władimir Tribuc, z pewnym zadowoleniem na okrągłym obliczu, stał i kontemplował. A miał co. Z gabinetu w bazie w Kronsztadzie widział więcej niż z okna gmachu Admiralicji w Piotrogradzie, o przepraszam: w Leningradzie. Nazwę zmieniono jeszcze w 1924 roku, a on wciąż nie potrafił się przestawić. Miasto cara, Lenina i kolebka rewolucji. Wszystko w jednym. Piękna tradycja. Piękna i wymagająca godnej kontynuacji.

Przesunął wzrok z przysłoniętego ołowianymi chmurami nieba na port. Poprawa pogody była chwilowa, bo znowu zapowiadano jej pogorszenie. Z boku widział spiętrzone maszty „Marata” z powiewającą na wietrze biało-niebieską banderą z sierpem i młotem. Krążownik robił wrażenie. Problem w tym, że tylko na laikach. Na paradach wypadał nad wyraz korzystnie, i owszem. Przy salwie z dział kalibru 305 mm publiczność szalała ze szczęścia. Jako monitor lub pływająca bateria sprawdzi się bez zastrzeżeń. Problem leżał w czym innym. Wyciągnięcie pancernika z portu i rejs bojowy to zupełnie inna para kaloszy.

Gotowość bojową ogłoszono wraz z rozpoczęciem działań wojennych. Flota nie stanowiła tu wyjątku. Lotnictwo należące do Bałtyckiego Zgrupowania Morskiego nie pozostawało bezczynne. Prowadziło

działania, i to całkiem intensywne, głównie przeciwko Finom i ich portom. Od strefy działań bojowych dzieliło ich bardzo niewiele, w zasadzie tyle co nic. Ze strony generałów wciąż podnosiły się głosy: dlaczego nasza dumna i wspaniała flota wciąż pozostaje bezczynna? Już brakowało śliny w gębie, by wszystko bez końca tłumaczyć. I tak niewiele rozumieją. Ale w konsekwencji nic nie stało na przeszkodzie, by tak czekać bez końca. Z błógiego letargu wyrwała admirała dopiero rozmowa z Timoszenką. Tribuc przedstawił fakty i swoje obawy. Nic nie pomogło. Zgrupowanie ma wyjść w morze – odblokować Zatokę Fińską i przeciąć linie komunikacyjne na Bałtyku. Wszystko według założeń poczynionych grubo przed wojną. Do nich dołożono zadanie dodatkowe – operację desantową, co w istotny sposób komplikowało pierwotne plany. Wojska Frontu Północno-Zachodniego przecież w zupełności powinny wystarczyć do zajęcia trzech niewielkich państweczek. Desant morski na tyłach mający zdeorganizować obronę i przechwycić uchodzące władze, żeby nie utworzyły jakichś rzekomo legalnych struktur na emigracji, wydawał się admirałowi absolutnie zbędny. W dodatku nazwano to wszystko operacją „Pętla” – ci skazańcy mieli sami w nią wsunąć głowę.

Desantem wypełnione po brzegi były nie tylko wszystkie dostępne transportowce, ale także inne jednostki pływające, które udało się oderwać od mniej pilnych zadań, a więc kabotażowce, barki, nawet wolne kontrtorpedowce. Dla Tribuca wszystko to było gigantyczną improwizacją, ale na szczęście on odpowiadał tylko za działania floty.

Cała ta wielka zbieranina stała na razie w porcie, operacja miała się bowiem rozpocząć dopiero po tym, jak trałowce sprawdzą podejścia do i tak ciasnej zatoki. Akurat

na tym etapie admirał nie przewidywał kłopotów. Nie tak blisko Kronsztadu. To jak pchanie głowy w paszczę lwa – pomyślał ze złośliwością. Kto przy zdrowych zmysłach zaryzykowałby podobną akcję? Finowie? – ci jechali ostatkiem sił. Z rozpoznania wiedział, że ich okrętom udało się uniknąć bomb w portach, a potem czym prędzej odplynęły na zachód, jak najdalej od Tupolewów i Petliakowów. Marynarka Estonii najzwyczajniej w świecie nie sprostałaby zadaniu. Na Szwedów dopiero przyjdzie kolej. Ostatniego z zainteresowanych państw – Polski – może nawet mającej siły i środki, w ostatecznym rozrachunku nie brał pod uwagę. Co niby mieli robić pod samym jego nosem? Na otwartych wodach Bałtyku owszem. W zamkniętej kiszce zatoki – nie. Z czego to wynikało, nie potrafił powiedzieć. Raz spróbował postawić się na miejscu dowodzącego polską flotą kontradmirała i jakoś nie potrafił sobie tego wyobrazić, bo i niby jak? Raptem pięć dużych jednostek przeciw kilkakrotnej przewadze. Przeciwnik nie miał nawet porządných małych jednostek, takich jak brytyjskie kutry CMB zdolne wystrzelić torpedy i uciec na pełnej prędkości w bezpieczny zasięg własnej ciężkiej artylerii. Zresztą, co tu dużo dywagować, polaczki to nie ci aroganccy angole. Pomijając wszystko inne, brakowało im jednego – tradycji, czyli właśnie tej siły, z której pełnymi garściami czerpała Royal Navy.

Tribuc znudzony postąpił w tył. Wszystko powinno pójść gładko.



W 2012

Rozdział 7

PUCK

– Panie majorze! Panie majorze!

Marek wyskoczył spod skrzydła Mosquito, gdzie dokonywał oględzin, i popędził za jeszcze widoczną sylwetką.

Nieświadom niczego oficer w lotniczym mundurze oddalał się szybkim krokiem. Mimo sprężystego chodu widać było po nim zmęczenie.

– Panie majorze! – Bagiński krzyknął jeszcze raz.

Najwyraźniej tym razem krzyk dotarł do lotnika, bo ten przystanął i spojrzał za siebie.

– No proszę, proszę... Góra z górą, jak mówią...

– Tak się cieszę!

Major Witold Urbanowicz przejechał wzrokiem po Marku od góry do dołu niczym handlarz oceniający wartość towaru.

– Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie tego, że spotkam pana właśnie tutaj.

– Co zrobić...

Zapewne oględziny wypadły pozytywnie, bo majorowi czas przestał dreptać po piętach. Nie wykręcał się pilną sprawą ani nagłym wezwaniem do telefonu.

Już kiedyś los zetknął obu pilotów. Przez krótką chwilę Bagiński podlegał Urbanowiczowi podczas służby w eskadrze wywiadowczej. Jak często bywa w takich przypadkach, zostali rozdzieleni równie szybko, jak się

poznali. Jeden powędrował do Anglii po odbiór nowej partii samolotów, a drugi wykonywał loty wzdłuż całej wschodniej granicy.

– Wy tutaj na długo, poruczniku?

– Trudno powiedzieć – stojący w słońcu Bagiński zmrużył oczy. – Na początku miałem odbyć jeden lot, ale wygląda na to, że utknąłem tutaj na dłużej. Nikt mi nic nie chce powiedzieć. Zupełnie jak w Toruniu.

– Nie wiedziałem, że było ci tam tak źle – zaśmiał się major.

– Chciałbym na front.

– Tu też jest front. Nieprawdaż?

– Więcej dobrego mogę zrobić, latając w brygadzie pościgowej.

Marek spojrzał na Urbanowicza, żeby sprawdzić, czy zrozumiał.

– Powoli poruczniku, powoli – w oczach majora zatańczył figlarny ognek. – Jak myślicie, po co tu jestem?

Powinien sam wpaść na rozwiązanie. Nie ciągnięto by na koniec Polski tak doświadczonego pilota z błędnego powodu. Lot nad Kronsztad to jedynie część tej układanki. To, co zostało sfilmowane, musiało stanowić prawdziwą bombę. Dosłownie i w przenośni. Przecież widział na własne oczy – sowiecka flota szykowała się do wyjścia z portu. Dodając dwa do dwóch, czyli Sowietów i Urbanowicza, zyskiwał pewność szybkiej akcji. Takiej na granicy samobójstwa.

– Pan i ja?

– Nie, przyjacielu – powiedział major. – My oraz dywizjon bombowy, myśliwski i łącznikowy. Przynajmniej tak słyszałem. Nie martwcie się, Peszke też weźmie w tym udział.

Markowi zabrakło tchu jak po długim biegu. Ściągano najlepszych. A jeżeli tak, to w Warszawie komuś zapaliło się ostrzegawcze czerwone światelko. Lepiej uderzyć wcześniej, niż czekać, aż sytuacja rozwinie się sama, skoro mogła pójść tylko w niezbyt dla nich dobrym kierunku.

– Po waszej minie, poruczniku, widzę, że jesteście szczęśliwi.

Markowi zrobiło się głupio.

– No, no, bez fałszywej skromności – przyjacielskie klepięcie wylądowało na ramieniu Bagińskiego. – Muszę już iść. Sami wiecie.

– Oczywiście. Przepraszam, że przeszkadzam.

Ostatnią uwagę Urbanowicz zbył machnięciem.

– Od dzisiaj widzimy się regularnie. Bez taryfy ulgowej. Rozumiecie... Ja latam tylko z najlepszymi – major puścił do Marka oko.

– Nigdy o tym nie zapomniałem.

– I tak trzymać.

Urbanowicz odszedł w stronę murowanego budynku dowództwa. Pewnie na naradę z pułkownikiem Dąbkim, odpowiedzialnym za Lądową Obronę Wybrzeża. To właśnie jego nie mógł się nachwalić Szymański.

Bagiński zawrócił tam, gdzie stał jego DH.98. Przegląd silnika przed kolejnym wylotem to podstawa. Lepiej, jak dopilnuje wszystkiego osobiście.

Mosquito ze zdjętymi blachami osłaniającymi Merliny wyglądał żałośnie. Znikł bojowy wygląd, został negliż mechanicznych instalacji. Stojący na skrzydle zbrojmistrze sprawdzali działka, a pod nimi Szymański komenderował całością, jednocześnie dokręcając coś przy instalacji elektrycznej. Obrazek jak z podręcznika

przyszłych absolwentów szkółki w Dęblinie.

– Władek!

Podchorąży nie zwrócił na Marka uwagi.

– Cholera mnie weźmie – usłyszał, kiedy śrubokręt ponownie zsunął się z nakrętki. – No nie, to trzeba zrobić inaczej, rozmontować i wymienić od podstaw – Szymański spróbował ponownie, z takim samym skutkiem, tym razem jednak kalecząc palec. – O cholera...

– Władek!

– No?

– Chodźże.

– Powiedz mi tylko, jak to jest – zagadnął Szymański, odchodząc w końcu od maszyny. – Podobno jesteśmy objęci wszelkimi priorytetami, jeżeli chodzi o części zamienne, a ja nie potrafię uporać się z głupim stykiem.

– Daj już spokój.

– Wolałbym to wymienić przed następnym wylotem.

– To wymień.

– Mogę połączyć. Brak oryginalnych części. O tym mówię – w trzech krótkich zdaniach drugi pilot zawarł wszystko, co go gnębiło.

– Zrób, co jesteś w stanie – powiedział Marek. – Nie wiem jeszcze kiedy, ale szykuje się powtórka.

– Mamy wracać nad... – słowa Szymańskiego zabrzmiały głośniejsz, niż powinny. Głowy mechaników i zbrojmistrzów obróciły się w ich kierunku.

– Ciszej, na litość...

– Zupełnie mnie zaskoczyłeś.

– To podobnie jak mnie Urbanowicz przed chwilą.

Popatrzyli sobie w oczy.

– Ach, więc o to chodzi... – powoli powiedział podchorąży.

– Nie wiem, co sobie wyobrażasz.

– Ty już wiesz co. Może to i lepiej. Przynajmniej nie musimy wracać do tej zapyziałej dziury.

– Nie lubisz Lublina?

– Lublin to ja widziałem jedynie z półtora tysiąca metrów. Zresztą po ostatnich nalotach i tak niewiele było do oglądania.

Marek nie mógł się z nim nie zgodzić. Czerwone lotnictwo jakby upatrzyło sobie miasto na ofiarę, powtarzając ataki nawet kilka razy na dobę, a już na pewno rano i wieczorem. W związku z tym Peszke chciał prosić o przebazowanie. W końcu ktoś niepowołany znajdzie lotnisko, z którego startowały Mosquito, i spróbuje im zrobić krzywdę. Wystarczyło dorwać DH.98 na ziemi lub podczas startu bądź lądowania, i po kłopotcie. Jaki czy MiG-i znakomicie się nadawały do takiej szybkiej akcji.

Na razie los decydował za nich.

Gdzieś nisko nad konarami nadmorskich sosen i jodeł zawył silnik. Pilot pierwszego z przebazowywanych P.46 Sum wykonał efektowny zwrot, gdy już zobaczył lotnisko, i bez dalszych ceregieli siadł na pasie do lądowania. Pięć dalszych Sumów z większą lub mniejszą gracją zrobiło to samo. Zaledwie minutę wcześniej panował spokój i cisza – teraz od jazgotu motorów mogła rozboleć głowa. Cała wolna część obsługi naziemnej pognąła w ich stronę, chcąc jak najszybciej rozśrodkować samoloty i ustawić każdy z nich na osobnej stojance.

Bagiński włożył ręce do kieszeni spodni. Paczka egipskich przednich uwierała go w pachwinę tekturowym

opakowaniem. Schował je odruchowo zaraz po tym, jak kupił papierosy w bufecie i poczęstował Szymańskiego. Wygrzebał następnego i przyłożył do ust. Kaszlnął. Parszywy nałóg. Do niedawna palił okazjonalnie – jeden na tydzień w towarzystwie kumpli lub pań na dansingu, a teraz w zasadzie odpalał jednego od drugiego. Paczka, dwie dziennie to norma, tym bardziej że Szymański sam nie kupował, bez obiekcji wyciągając z jego zapasów. Ciekawe, co by o tym powiedział mistrz Czang? Podopieczny zszedł na psy – ot, co.

Jak w porę nie rzuci, jego kariera sportowa legnie w gruzach. Na razie przyglądał się bombowcom i naszyły go wątpliwości. P.46 to świetna maszyna frontowa. Działania na morzu stanowiły inną parę kaloszy. Nie stworzono ich przecież z myślą o takim wykorzystaniu. Akurat w tych zagadnieniach żaden z niego specjalista, ale potrafił odróżnić jedno od drugiego. Co oni tym razem chcą ze sobą pożenić? Wszystko, co się da – odpowiedź przyszła jak na zawołanie. Mosquito, Sumy, CANT-y, Wilki. Jak zajdzie potrzeba, to i całą resztę, bo świat i tak stał już na głowie.

Rozdział 8

ZATOKA FIŃSKA

Najbardziej odpowiedzialna część zadania w pierwszej kolejności spadła na trałowce – czyli trialszczyki, jak o nich mówiono. Spracowane jednostki odbiły od nabrzeży i przystąpiły do pracy z bolesną świadomością, że wystarczy jeden błąd i szybko dołączą do towarzyszy już spoczywających pod gładką powierzchnią wody, jak ci z zatopionego „Andrieja Piereszwanego” czy z „Pamięci Azowa”.

Pogoda znów psuła się w ekspresowym tempie, chociaż właściwie trudno mówić o jej poprawie, skoro łało niemal bez przerwy. Krótkie roz pogodzenia nie trwały długo, pół dnia co najwyżej, a czasami jeszcze krócej. Dobrze, jak nie siało przez trzy godziny.

Dla admirała Władimira Tribuca nie stanowiło to wielkiej przeszkody. Może i tak lepiej. Nikt nie zobaczy, jak wychodzą z portu. Trochę niepokoił go ten szturmowy 11, który zarył w morze przedwczoraj. Obserwatorzy meldowali o jakimś tajemniczym obiekcie, który pojawił się na niebie i szybko znikł. Akurat dyżurne myśliwce pognały bardziej na północ, w stronę fińskiej granicy, gdzie bez efektu wypruły parę serii w dwupłatowe Gladiatory tych upierdliwych Skandynawów. Brońcie się, brońcie, nic wam to nie da. Chwilowa przewaga nie potrafiła przyćmić siły bojowej Armii Czerwonej. Pękną szybciej, niż ten cały

ich przywódca Mannerheim zdąży zaskomleć o pomoc. Szlag ich...

Na Dworcu Fińskim transporty z rannymi z frontu przerzucanymi do miejskich szpitali mieszały się z tymi, które docierały z głębi kraju. Fabryki pracowały na maksymalnych obrotach. Nowe KW czy tony amunicji ekspediowano w przyśpieszonym tempie na front, który, jak się zdawało, zastygł na podobieństwo wulkanicznej lawy. W głębi jeszcze buzował, z zewnątrz był twardy jak skała. Samo myślenie o tym denerwowało Tribuca jak mało co. Przypadek, czysty przypadek ściągnął ten niż atmosferyczny akurat, kiedy RKKA wyruszyła do boju.

Kolej na nich. Jak tylko zaatakuje Front Północno-Zachodni, wszystko wróci do normy.

Nerwowo podrapał swędzącą lewą dłoń. Nic nie pomogło. Zrobił to bardziej energicznie, aż poczuł ból. Do tego wszystkiego doszło nadchodzące falami łupanie w głowie, aż zbierało mu się na mdłości. Nie teraz. Odetchnął głębiej i przyłożył zimną szklanekę z wodą do pulsującej skroni. Odrobinę pomogło, ale gdy ją odsunął, ból powrócił.

Nie dowodził osobiście, co to, to nie. Ten zaszczyt rzucił na zastępcę, kontradmirała Jurija Pantelejewa. Sam wolał doglądać wszystkiego właśnie z tego miejsca. Oczywiście nie dosłownie, nie chodziło o konkretny widok. Już wiedział, co go tak wykańcza: to wiatr zwiastujący zmianę pogody. Zawsze był wrażliwy na takie zmiany. Wskazówka barometru leciała na pysk albo się podnosiła – on dostawał migreny.

Mimo ciężkiej głowy nabrał pewności siebie. W tym przypadku zmiana stawała się bardzo pożądana. Ciemne chmury zostaną przegnane. Słońce zdziała cuda. Ofensywa

ruszy pełną parą. Wróg nie skryje się za kurtyną wody. Więc jednak rację miał towarzysz Stalin – zwycięstwo na pewno będzie ich. No bo niby czyje?

•

Jako pierwszy szedł T 204 „Fugas”. Zaraz za nim T 201 „Zariad” i T 212 „Sztag”. Wszystkie trzy jednostki stanowiły niejako czołówkę i dowódcy każdej z nich wytyczono do wytrałowania określony rejon na zachód od Kronsztadu. Już pierwsza godzina przyniosła prawdziwą niespodziankę: „Zariad” znalazł jedną minę, chwilę potem drugą i trzecią. Odpowiednia informacja zaraz pomknęła na brzeg.

Zdziwienie Tribuca nie miało granic. Nie wyszli jeszcze poza redę, a już są kłopoty. Zaraz nasunęło się pierwsze pytanie – czyje to są miny? Fińskie? A może należą do kogoś innego? No i w jaki sposób je postawiono? Raczej nie z samolotu. Przy takim podejściu na pewno wykryliby agresora, podobnie jak pływający po powierzchni minowiec. Pozostawał ostatni sposób. Kiedy oni tkwili w bazie, ktoś zakradł się na tyle blisko, by uprzykrzyć im życie.

Admirał zmiął kartkę papieru w dłoni i cisnął do kosza. Wychodzi na to, że gdzieś niedaleko czają się okręty podwodne. To nie Atlantyk ani nawet Bałtyk, zatoka jest tak wąska, że muszą się na nie natknąć.

No dobrze, tylko spokojnie. Wiedział o obecności tych żalosnych burzujów, a to coś. Muszą zachować większą ostrożność. Podwoić liczbę obserwatorów i dalej robić swoje. Przecież nie zamelduje towarzyszom w Moskwie o sytuacji. Wyśmieją go, a potem wyślą

zaufanych ludzi. Obowiązki przejmie komisarz polityczny. Będzie tyle wiedział o marynarce, ile wyczytał z dzieł towarzyszy Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, czyli nic, bo niestety nasi Wielcy Przewodnicy słowem o niej nie wspomnieli. Za to wygłosi płomienną mowę i wedle rozkazu flota pójdzie wyznaczonym kursem i z maksymalną prędkością. Wizja komisarza, a w konsekwencji oplakanych losów admirała przepełniła jego umysł, choć próbował się mitygować, że to już nie 1937 rok. No i nic złego się przecież nie stało – uspokajał sam siebie, chociaż nieprzyjemny wrzód wątpliwości zaczął rozrastać się gdzieś na końcu przelyku.

Kolejne godziny upływały Tribucowi na nerwowym oczekiwaniu, a załogom trałowców na wytężonej pracy. Po T 201 przyszła kolej na „Fugasa”, którego trał wyciągnął ładunek postawiony przez „Rysia”. Zwłoka wkurzała admirała, ale nic nie mógł na to poradzić. Musiał czekać jeszcze kolejną dobę, aż po znalezieniu pięćdziesięciu ośmiu min stwierdzono, że więcej ich nie ma. Tor wodny w końcu był wolny.

Bandery na masztach we wciąż siąpiącym deszczu nie wyglądały imponująco, ale cały konwój mógł wreszcie ruszyć ku swemu przeznaczeniu.

•

„Wilk” położył się w leniwym zwrocie. Strzałka na żyroskopie wskazywała wartość graniczną, co zmuszało ich do zmiany kursu. Dobrnęli do końca wyznaczonego sektora i pora ku temu była najwyższa.

Zastępujący Krawczyka pierwszy oficer Borys Karnicki poruszył lewym barkiem, jakby chciał sprawdzić,

czy jest na miejscu. Nieprzyjemne ukłucie pod żebrami przypomniało mu, jak zawadził obcasem buta o wodoszczelną gródź i boleśnie rąbnął plecami o wystające pokrętko. Kiedy stał nieruchomo, nie bolało. Nie mógł tylko leżeć ani wykonywać gwałtownych ruchów. Łapiduch nic nie poradzi. Niedługo kończą patrol i wrócą do Gdyni, wtedy odpocznie. Jak nie przejdzie samo, w ostateczności pójdzie do jakiegoś specjalisty.

– Peryskop w górę – odłożył na bok prywatne problemy, przywierając do osłony szkieł.

Przy panującej pogodzie i późnym wieczorem nie spodziewał się rewelacji. Widoczność najwyżej na cztery, pięć kabli, i to maksimum. Prawdopodobnie zdecydowanie mniej.

Przynajmniej odpędzi na chwilę ogarniającą senność, jak rozejrzy się wokoło.

Nic, nic, nuda.

Większa od pozostałych fala załaza peryskop. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to daleki odkos idącej jednostki.

Mięśnie na karku spięły mu się w niekontrolowanym odruchu. Przesunął szkła bardziej na prawo. Ciemny, wydłużony kadłub wskazywał na okręt bojowy.

– Budzić kapitana, szybko!

Omiótł spojrzeniem idącą na powierzchni jednostkę i z większą uwagą zlustrował to, co wcześniej zbagatelizował.

Wyteżył wzrok do granic możliwości. Z tyłu szedł następny, ale dość daleko i ledwo, ledwo widoczny. Kolejne parę stopni...

– Pełne zanurzenie!!! – wrzasnął przestraszony nie

na zarty. – Już!

Krawczyk wpadł na pomost, dopinając ostatnie guziki.

– O co... – czapka krzywo leżała na jego głowie, przez co bardziej przypominał niezbyt rozgarniętego wiejskiego rozrabiakę niż dowódcę podwodniaka.

– Zaraz nas staranują.

Krawczyk obiema dłońmi przytrzymał spadające nakrycie głowy.

– Peryskop w dół – jak na kogoś dopiero co zerwanego ze snu szybko doszedł do siebie. – Zanurzenie na sterach. Ster prawo dziesięć. Maszyny cała naprzód.

W tym całym zamieszaniu kapitan zachował więcej przytomności od pierwszego oficera. Zanurzali się teraz lekko po skosie, na prawo od sunącego ponad nimi sowieckiego patrolowca o wdzięcznej nazwie „Groza”. Wszyscy zgromadzeni wbili wzrok w owalne sklepienie nad głowami, licząc sekundy do zderzenia.

Coś nieprzyjemnie zgrzytnęło. Karnickiemu ciarki przebiegły po krzyżu. Przez jego niedołęstwo stracą „Wilka”. Nikt się nawet nie dowie, jak do tego doszło. Jednak po pierwszym złowieszczym dźwięku nie nastąpiły kolejne, które sobie już wyobrażali. Silniki pracowały miarowo, co dawało im prędkość w zanurzaniu ponad dziewięciu węzłów. Na głębokości w tak krótkim czasie nie zyskali wiele, ale najwyraźniej wystarczyło. Karnicki nie bardzo potrafił powiedzieć, co na nich szło. Najważniejsze, że najgorsze mają za sobą.

– Peryskopowa – Krawczyk obciągnął mundur energicznym, lecz ledwie widocznym ruchem zaciśniętych pięści. Kapitańską czapkę zsunął na tył. – Zobaczmy,

co tak wystraszyło pierwszego.

Drwił z niego czy jak? Mimo uśmiechniętej twarzy oczy kapitana marynarki Bogusława Krawczyka były zimne jak góra lodowa.

– Peryskop w dół.

Wzrok wszystkich obecnych zawisł na ustach dowódcy.

– Ster lewo piętnaście – padł zdecydowany rozkaz. – Maszyny pół naprzód.

– Jestem pod wrażeniem pańskiego refleksu – zwrócił się już bezpośrednio do Karnickiego.

– Naprawdę?

– Jak najbardziej. Proszę mi powiedzieć, co pan widział.

– Co najmniej trzy jednostki. Jednego niszczyciela na pewno, no i tego, co rwał na nas. Trzeciego prawdopodobnie też, chociaż tu mam wątpliwości – Karnicki starał się odpowiedzieć w miarę składowie. Jednocześnie przecesał palcami włosy, bo odniósł wrażenie, że skronie mu gwałtownie posiwiały.

– Ten już nam nie zagrozi. Niestety, jest ich tam cała zgraja.

Więc jednak racja była po jego stronie. Nic mu się nie przywidziało. Stalin zlecił flocie jakieś zadanie. I to nie pierwsze lepsze, tylko takie, które wymagało użycia sporej części sił. O ile nie wszystkich.

– Peryskopowa.

Stalowa rura ponownie poszła w górę.

Tym razem kapitan obserwował otoczenie przez dłuższą chwilę. Wykonał pełen obrót, zanim przystanął w miejscu.

– Proszę spojrzeć – Krawczyk wyprostował

przygarbioną sylwetkę. – Śmiało.

Karnicki zastąpił dowódcę przy pryzmatach. Tym razem widział lepiej niż za pierwszym razem. Wysoka burta jakiegoś transportowca szybko przemieszczała się na zachód, już nieosiągalna dla ich torped. A szkoda. Druga taka okazja może nadejść dopiero za jakiś czas.

– Może „Rysiowi” się uda.

– Bardzo bym chciał – usłyszał odpowiedź Krawczyka. – Ster lewo dwadzieścia. Obie maszyny cała naprzód.

– Odchodzimy?

– Lepiej jak powiadomimy „Gryfa”, nie uważa pan?

•

Pozornie nic nie zaszło. Przynajmniej nic takiego, co powinno budzić obawy. Sam Władimir Tribuc nie wiedział, że już stracił pierwszą jednostkę. Właściwie nie wiedział o tym nikt oprócz samych zainteresowanych. Jako forpoczta całej formacji tuż pod powierzchnią wody płynął „Dekabrist”. Akwen okazał się jednak niecałkowicie oczyszczony, gdyż została przynajmniej jedna mina SM-5 postawiona przez „Wilka”. W każdym razie na jedną trafił nieszczęsny „Dekabrist”. Uderzeniowy zapalnik zadziałał bezbłędnie i 220 kilogramów trotylu detonowało z całą mocą, wyrывая w kadłubie wielką dziurę tuż pod kioskiem. Po niespełna czterech minutach, gdy morska woda wypełniła jego wnętrze, okręt spoczął na głębokości siedemdziesięciu metrów.

O wiele ważniejsza dla przebiegu całej operacji była postawa komandora podporucznika Stefana Kwiatkowskiego, dowodzącego największym okrętem

polskiej marynarki wojennej, czyli stawiaczem min ORP „Gryf”, który w towarzystwie ORP „Błyskawica” manewrował zaledwie parę mil morskich od estońskiej wyspy Hiuma. Wkrótce miał do nich dołączyć estoński niszczyciel i dwie fińskie kanonierki. Ten naprędce zorganizowany zespół musiał stawić czoła Flocie Bałtyckiej. Dla Kwiatkowskiego nie ulegała wątpliwości podstawowa sprawa – po pierwszej celnej salwie zostaną sami. Pięć okrętów w żaden sposób nie sprosta wychodzącym naprzeciw Sowiecom.

Odebrawszy pierwszy sygnał „Wilka”, „Gryf” obrał kurs na północny wschód. Na postawienie zagrody minowej pozostawały mu zaledwie godziny. Wcześniej, zgodnie z ustaleniami, nie robiono tego z jednego podstawowego powodu – nie chciano paraliżować żeglugi w tej części Bałtyku. Obecnie było to już nieistotne.

Przed spotkaniem z konwojem przyszło komandorowi stawić czoła samolotom. Zanim zdążył się podzielić swoimi obawami z pierwszym oficerem, ujrzał na niebie bombowo-torpedowe DB-3 lotnictwa floty.

Nadlatujące samoloty przywitał grzechot przeciwlotniczych działek i wukaemów. „Błyskawica”, jako zdecydowanie szybsza od „Gryfa”, wysforowała się do przodu, by ściągnąć na siebie większość nadlatujących maszyn. Z okrętu Kwiatkowskiego z ładunkiem trzystu min na pokładzie w przypadku trafienia nie zostałyby dosłownie nic.

Po nalocie „Błyskawica” ucierpiała, ale nieznacznie. Parę ładunków spadło blisko, tworząc tuż przy burtach potężne gejzery wody. Artylerzyści na swoje konto zapisali jeden prawdopodobnie zestrzelony DB-3, który odleciał, ciągnąc za sobą smugę czarnego dymu. Gdzie spadł, i czy

w ogóle, nie wiedział nikt.

Mimo starań niszczyciela, „Gryf” też oberwał, gdyż po bezskutecznym nalocie bombowców został ostrzelany przez myśliwce. W efekcie stracił paru marynarzy i szalupę, potrzaskaną na kawałki. Niemniej jednak jak na razie uszedł cało, a jednocześnie przeszedł chrzest bojowy.

Doniesienia z „Gryfa” odczytano w Gdyni z niepokojem. Wciąż wiedziano mniej, niżby chciano. Sowieci opuścili Kronsztad, ale ich liczba nadal stanowiła niewiadomą. Po pierwszym meldunku z „Wilka” Krawczyk, jak też komandor podporucznik Aleksander Grochowski zawiadujący „Rysiem” już się więcej nie odzywali, co bardzo niepokoiło kierownictwo marynarki wojennej.

W tej sytuacji dwa Mosquito i jednego Beaufightera przygotowano do lotu w ekspresowym tempie.

•

Marek złapał pilotkę za zwisające rzemyki i wsunął na głowę, rozciągając usta w nerwowym grymasie. Zapiął sprzączkę i zaraz ją poluzował, nie mogąc wysunąć szczęki do przodu.

Obok usadowił się Szymański z równie nieprzytomnym wyrazem twarzy. Jedna wycieczka na północ to przygoda. Lecz jak nazwać kolejną – głupotą czy szaleństwem? Tym razem zamiast kamerami obciążono Mosquito ładunkiem bomb. Nie bardzo wiedzieli, co o tym myśleć – trzy załogi mają zaatakować całą flotę czy to tylko tak, by nie lecieli na sam zwiad? Skutkiem tego jednak nie osiągną takiej prędkości i manewrowości jak

ostatnio, chyba że... Nie, Urbanowicz, znany służbista, na to nie pójdzie. Już prędzej Peszke, sam zasiadający w Mosquito, był skłonny ułatwić im życie. Poza tym obaj lotnicy nieświadomie ze sobą konkurowali. Pewnie wynikało to z chęci przewodzenia zawsze i wszędzie. Ze względu na małą liczbę przeszkolonych pilotów i maszyn obu typów pozostających w tym momencie do dyspozycji, wszystko skoncentrowano w kluczu dowodzonym przez Urbanowicza. Inaczej taki układ na pewno by nie przeszedł. Bagiński był prawie pewien, że przez tę chęć udowadniania drugiemu swojego absolutnego mistrzostwa i bezsprzecznej wyższości któryś z nich zrobi coś głupiego.

Marek zerknął w lewo. Pierwszy startował Beaufighter z Urbanowiczem na pokładzie. Później szedł Peszke. Oni na końcu.

– Trema? – usłyszał głos podchorążego.

– A jak wyglądam?

– Zajrzyj w lusterko.

Szymański robił to co on przed chwilą: regulował zapięcie.

– I jak?

– Pięknie – przestał zwracać uwagę na kolegę. Urbanowicz kołował. Peszke ustawiał się za nim. Pora zaczynać.

Odpalono silniki, powietrze wokół wypełniło się błękitnymi spalinami. Mechanicy odciągnęli bloczki spod kół. Marek zwolnił hamulec, pozwalając maszynie potoczyć się po betonowym pasie.

Na bocznych stojankach trwały gorączkowe prace przy P.46 i P.38 mających wejść do akcji w drugiej kolejności. Na dobrą sprawę w całej bazie wrzało jak

w ulu. Ryzyko nalotu teraz rosło.

Wszystko to Marek pozostawił gdzieś za sobą, na ziemi. DH.98 oderwał koła od podłoża. Wzlecieli ponad żółte wydmy i błękitnawe wody Zatoki Puckiej. W dole została Mierzeja Helska z zielonym pasem lasu wbijającym się głęboko w morze.

Urbanowicz prowadził ich pewnie na północ. Jako drugi leciał Peszke, na końcu Bagiński mający obu majorów niejako na oku. Gdzieś w głębi ducha strasznie był ciekaw, jak zachowają się w ogniu walki. Jeden z nich to urodzony pilot myśliwca, drugi bombowca. Obu przyszło latać na wielozadaniowych maszynach. O ile Peszke szybko przywykł do takiego podejścia do latania, o tyle Urbanowicz i Bagiński musieli się dopiero przestawić. Czasami po prostu nie ma innego wyjścia.

Lecieli prawie dokładnie tak jak poprzednim razem. Pewne modyfikacje zostały wprowadzone dopiero na samej końcówce: zamiast nad ujście Newy poprowadzeni zostali bardziej na zachód, na wysokość Narwy. Nad polskim wybrzeżem świeciło słońce, tutaj przeważały ciężkie deszczowe chmury. Widoczność znacznie spadła. Jeżeli szybko nie namierzą floty, zaczną krążyć to tu, to tam, marnując czas i paliwo.

Na dole dojrzał parę niewyraźnych szarych kształtów. Dlaczego Urbanowicz nie idzie w tamtą stronę? Chciał dać znać przez radio, gdy spod pełnych wilgoci cirrusów spadły na nich myśliwce.

– Bandydzi na czternastej – usłyszał w słuchawkach.

Urbanowicz zareagował pierwszy, szarżując wprost na spadającą na nich eskadrę.

Peszke jak duch poszedł w jego ślady.

– Moskit trzy.

To było do niego.

– Zgłaszam się.

– Namierz te cholerne okręty. To rozkaz...

Polskie samoloty rwały naprzeciw co najmniej sześciu sowieckim I-16. Niech i on się w końcu na coś przyda. Wykręcił ćwierćbeczkę i poszedł w dół, w stronę, gdzie jak przewidywał, powinny znajdować się jednostki konwoju. To, co dostrzegł na samym przedzie, pancernikiem bądź krążownikiem na pewno nie było. Nawet do niszcyciela stateczkowi sporo brakowało. Miało jednak działa. Z obu kominów szedł gęsty czarny dym, znak, że jednostka pruje pełną parą. Mimo wszystko drobница. Na taką nie chciał marnować ładunku. Zostawił dozorowiec i pomknął dalej.

Już teraz widział dokładnie – okręty płynęły w trzech rzędach. Lżejsze jednostki po obu stronach otaczały cięższe oraz transportowce z desantem pomiędzy nimi. Nawet nie miał się nad czym zastanawiać. Szarpnął sterami w prawo.

Niedobrze. Trafił prosto na zmasowany ogień przeciwlotniczy. Pełen gaz. Śmignęli slalomem między idącymi torowo jednostkami skrajnej południowej grupy. Musi się zdecydować, i to szybko. Jeden statek od drugiego dzieliła co najmniej pięciusetmetrowa luka, zatem miejsca do manewrowania było dość, nie o to chodziło. Długo nie da rady tak balansować. W końcu wybrał cel, który wyglądał jak niszcyciel. Może stary, ale zawsze. Trzy kominy sterczały pomiędzy masztami, z przodu niewielka nadbudówka.

– Na mój znak.

Szymański zamarł w fotelu.

Zamiast ciągnąć jak do tej pory, wydłużył manewr

i poleciał wprost na niszczyciel noszący dumne miano Karola Marksa.

– Teraz!

Cztery stukilogramowe bomby poleciały w dół. Tylko jedna z nich musnęła rufowy maszt. Pozostałe detonowały tuż przy burtach. Szybkie spojrzenie do tyłu. Zamiast spodziewanych pióropuszy dymu czy fal pochłaniających pokład dojrzał jednostkę spokojnie płynącą dalej bez widocznych uszkodzeń. Szlag. Wyrwał Mosquito ku górze.

Nagle jakby olbrzymia pięść spadła na lewe skrzydło. Wszystkim zakołysało.

– Uwaga!

Zbyt skupieni na niszczycielu, nie dostrzegli nadchodzących z tyłu Jaków. Myśliwce pędziły w ich stronę, starając się znaleźć dogodną pozycję do strzału. Już raz oberwali z działka, o czym świadczyły dziury tuż za silnikiem.

Zamiast pikować do góry, zesli tuż nad wodę i dalej lecieli do nieodległego brzegu. Myśliwce nie odpuszczały.

– Spadają obroty – zakomunikował Szymański.

Marek rzucił szybkie spojrzenie na tablicę. Moc lewego silnika gwałtownie malała. Widać oprócz ziejącego otworu pokieroszowało ich znacznie mocniej.

Kamienista plaża śmignęła pod nimi w ułamku sekundy. Dalej nic, tylko niekończący się zielony kobierzec lasu. Pędzili teraz nie wyżej niż na dwudziestu pięciu metrach z trzema przeciwnikami na karku. Czerwone gwiazdy na kadłubie i skrzydłach stanowiły jedyny kontrastowy i pozornie nieruchomy element na rozmazanym, zielonkawym tle.

To już chyba koniec. Nie będzie im dane więcej wzlecieć w powietrze. Skończą tu, z dala od domu. Jednocześnie jakaś część jego samego nie chciała skapitulować. Maksymalnie skupiony, próbował kluczyć tak, by nie pozwolić prześladowcom wpakować mu kolejnej serii w ogon lub, co gorsza, wabinę. Jednocześnie szanse na przeżycie malały z każdą upływającą sekundą. Pod nimi teren płaski jak stół bilardowy w kasynie. Dalej na południe, jak wskazywała mapa, były jakieś górkę, lecz w tym przypadku kompletnie nie miało to znaczenia.

Ponowny wstrząs. Mimowolnie przyciągnął drążek sterowy do siebie. Prędkość spadała powoli, acz systematycznie.

– Skaczemy – to jedyne rozwiązanie, jakie przyszło mi do głowy. – Słyszysz?

– Słyszę! – ryk Szymańskiego doszedł gdzieś ze środka gardła.

– W górę.

Samolot ostatkiem sił poszedł świecą. Należałoby raczej powiedzieć „jak ocieężała krowa”, bo z kąśliwym owadem, od którego wziął nazwę, niewiele miał teraz wspólnego. Manewr zaskoczył pilotów Jaków, jednak nie na tyle, by stracili trop.

Kabina samolotu otwierała się nie do tyłu, tylko od góry, podobnie jak w Łosiu, maksymalnie utrudniając skok.

– Ty pierwszy – Marek wyrównał lot i poczekał, aż Szymański z wytrzeszczonymi oczami i zębami opuściabinę. Wszystko zajęło dosłownie sekundę, może trzy, a może pięć, lecz dla Bagińskiego trwało całą wieczność.

W tym czasie lewy silnik oberwał na dobre.

Rozpaczliwy zwrot, przewrót przez skrzydło i Marek sam wypadł na zewnątrz. Miał szczęście, że nie zawadził o nic wystającego. Oszołomiony leciał w dół jak kamień. Gdzieś w dole widział ziemię, z boku kątem oka dostrzegł pędzące na niego Jaki. Szarpnął uchwyt i po chwili dyndał zawieszony w uprzęży. Ponad nim czasza spadochronu wypełniła się powietrzem.

Obejrzał się w lewo, próbując zlokalizować, skąd nadciąga wróg. Był teraz bezbronny jak nowo narodzone dziecko. Do ziemi pozostało mu jakieś trzysta metrów. Szymańskiemu niespełna pięćdziesiąt.

Wyciągnął ręce do góry i ściągnął taśmy maksymalnie w przód. Teraz spadał o wiele szybciej. Dosłownie sekundę później myśliwce otworzyły ogień. Możliwości gwałtownie ubywało – teraz ściągnął jedną taśmę i wpadł w korkociąg. Musiał tym zmylić pilota, bo pociski świsnęły sporo niżej. Następny w kolejce Jak nie atakował. I dobrze. Na stu metrach zaprzestał ewolucji i skupił się na szukaniu miejsca do lądowania. Żadnej polany czy przecinki, wokół nic, tylko las. Starał się zatem trafić tam, gdzie korony drzew nie były tak gęste.

Na ile potrafił, wyrównał spadanie, złączył nogi i osłonił twarz. Stopy przebiły się przez górne gałęzie z głośnym trzaskiem. Spiał ciało, oczekując bólu. Zamiast tego poczuł tylko szarpnięcie. Zawisł na okazałej jodle, zaledwie trzy metry od gruntu. Nie myśląc wiele, rozpiął klanry i lekko wychyliwszy się w przód, skoczył. Uderzył nogami o ziemię i przeturlał się przez plecy.

Dawno nie czuł takich emocji. Ściągnął pilotkę i rozpiął kurtkę. Bielizna lepiała się do pleców i siedzenia. Sprawdził, czy nic mu się nie stało. Nogi, ręce, żebra – całe. W porządku. Teraz jak najszybciej opuścić miejsce

lądownia – biała czasza ściągała wrogów jak padlina sępy. Słyszał ich nad sobą. Mignęli mu nad głową, ale zdaje się, że nic nie mogli zrobić albo też jedynie starali się dokładnie zapamiętać miejsce jego lądowania, by potem kogoś tu skierować.

Chwilę zajęło Bagińskiemu zorientowanie się w terenie. Szymański powinien być bardziej po lewej. Na wszelki wypadek wyszarpnął Visa z kabury przy pasie i ruszył przed siebie. Oprócz pistoletu nie miał żadnej broni, nawet niezastąpionego w takich przypadkach noża.

Przynajmniej na razie problemy odsunął na później. Biegł, od czasu do czasu nawołując podchorążego. Ciągle nic. Zmęczony przystanął i oparł się o pień, dysząc. Przed sobą i wokół siebie ciągle widział to samo – niekończący się las. Ile mógł przebiec? Trzysta, czterysta metrów?

– Władek!!! – wrzasnął na całe gardło, wyraźnie zdenerwowany.

Żadnego odzewu.

Stopy zapadały się w piachu. Parę razy poślizgnął się na wilgotnych, omszałych konarach. Głośno przeklinając, coraz bardziej rozdrażniony parł naprzód. Gęstwina wokół pozostawała niema i nieruchoma. W końcu przestał kłać, bo w ustach mu zaschło. Pierwsze zimne dreszcze zaczęły przeszywać ciało, więc ponownie wsunął pilotkę na głowę.

Zamiast w dół, pod nogi, popatrzył w górę. Ruszył teraz wolniej, nie na oślep. Władek musi być dalej, niż przypuszczał, więc jak zgubi kierunek, to będzie źle. Jeśli już na początku rozminął się z podchorążym, to też będzie źle.

Jakaś biała plama mignęła zdecydowanie bardziej na prawo. Uff... Przyśpieszył. Po paru krokach widział

dokładniej – to materiał spadochronu smętnie zwisający z gałęzi. Pod nim dyndało ciało. Zaniepokojony, ruszył pędem. Chyba pobił rekord na setkę. Raz upadł, kalecząc dłonie. Poderwał się znowu, jednak im był bliżej, tym bardziej zwalniał, i w końcu stanął zupełnie.

Ciało zwisało bezwładnie. Z przodu, tuż pod żebrami, w miejscu wątroby wystawał solidny, okrwawiony drewniany kolek. Trochę wyżej, pod obojczykiem ziała dziura – efekt pocisku wystrzelonego przez Jaka. Pomimo tak poharatanego korpusu twarz Szymańskiego wyglądała spokojnie.

•

Podobny dramat, tylko na o wiele większą skalę, rozgrywał się na wodach Zatoki Fińskiej. Dowódcy okrętów podwodnych przystąpili do wykonywania rutynowych zadań, co w tym przypadku polegało na zatapianiu wszystkiego, co znajduje się na wodzie i ma banderę z sierpem i młotem.

Jako pierwszy salwę z czterech torped oddał „Ryś”. Komandor podporucznik Aleksander Grochowski skorzystał z zamieszania, jakie wywołały polskie samoloty. Nie wiedział, ile ich brało udział w akcji, ale na tyle dużo, że idące do tej pory torowo jednostki rozpoczęły manewry w celu uniknięcia bomb. Przeszono przy tym zwracać uwagę, czy aby nic nie wystaje z wody, co się okazało błędem, bo akurat wystawały peryskopy „Rysia” i „Wilka”.

Upatrzony przez Grochowskiego okręt wyglądał na większy od pozostałych – identyfikacja celu zajęła komandorowi parę niekończących się sekund. „Mińsk” lub „Leningrad” – lidery, czyli duże niszczyciele, znalazł

końcu odpowiedź. Każdy, uzbrojony w pięć dział 130 mm, potrafił podobno rozwinąć prędkość do 42 węzłów.

Kiedy wszystkie wystrzelone torpedy przeszły obok, Grochowski zacisnął zęby tak, że mało nie popękały mu koronki. W wyrzutniach w gotowości pozostały jeszcze dwie. Poczeka na kolejną okazję. Peryskop poszedł w dół, ale to zdecydowanie nie był koniec akcji.

Jedna z torped minęła co prawda „Mińsk”, niemal ocierając się o rufę, poszła jednak dalej, wprost na idący w środkowym rzędzie minowiec „Amur”, który zamiast zapasu min transportował część batalionu strzeleckiego, i trafiła go tuż pod otworem kotwicznym. Eksplozja rozerwała dziób jednostki. Tona wody wlały się do środka, powodując przechył na prawą burtę. „Amur” zsunął się pod wodę w ciągu paru chwil. Szanse na ratunek mieli wyłącznie ci, którzy przebywali na pokładzie. Minowiec zatonął tak szybko, że dowódcy idących obok jednostek dopiero po paru minutach zorientowali się, co zaszło. Później mówiło się raczej o bombie lotniczej, bo ani „Rysia”, ani wystrzelonych przez niego torped w ferworze walki nikt nie dostrzegł.

Operujący bardziej na wschód „Wilk” również przystąpił do ataku. Wzięty na cel motorowiec „Kubań” zaliczył trafienie, jednak nie zatonął. Wachta w porę zareagowała.

Będące w pobliżu jednostki ochrony odpędziły „Wilka” bombami głębinowymi. Kilka z nich spadło naprawdę blisko. Powstałe uszkodzenia okazały się na tyle poważne, że kapitan marynarki Bogusław Krawczyk zdecydował o wycofaniu okrętu z dalszych działań. Wodoszczelne grodzie przeciekały, więc tylko czekać, aż zaczną się dusić chlorem z akumulatorów. Uszkodzeniu

uległ również peryskop i stery. W tych warunkach dalsze podchody nie miały sensu. Musieli się wynurzyć i zawinąć do jakiegoś portu. To mogło im przysporzyć problemów – przecież byli prawie na samym końcu zespołu Floty Bałtyckiej. Drogi do Polski okręt raczej nie przetrwa, a w najbliższym porcie niedawnych sojuszników może ich przywitać świeżo wysadzony sowiecki desant. Dowódca miał nad czym się głowić.

Oprócz obu polskich podwodniaków w rejonie działał jeszcze jeden okręt podwodny. Tym razem fiński. Jego kapitan ustawił jednostkę na wysokości wyspy Gogland i wystrzeliwał torpedy tak szybko, jak to było możliwe. Uszkodził kilka jednostek, po czym, sam atakowany, z podobnymi co „Wilk” uszkodzeniami odpłynął do portu. W przeciwieństwie do Polaków miał całkiem blisko.

Rozdział 9

MOSKWA

Nie chciał się do tego przyznać przed samym sobą, ale napięcie ostatnich dni wyźłobiło na jego obliczu nowe, wyraźne bruzdy i pogłębiło stare. Zwłaszcza na czole, pod zaczesanymi do góry włosami, i te idące przy nosie do ust. Patrząc w lustro, naciągnął palcami skórę przy oczach. Siatka zmarszczek znikła, by pojawić się zaraz potem. Hmm... Nic na to nie poradzi. Tak już jest. Przypomnienie o własnej śmiertelności nie podziałało dobrze. Miał już swoje lata. Rozdrażnienie pojawiło się nagle. Zanim dojdzie do końca drogi, musi załatwić jeszcze kilka spraw.

– Spójrzmy na wszystko z drugiej strony – odszedł od lustra z rękami założonymi do tyłu. – Niemcy na razie czekają. Znam ich dobrze. W odpowiednim momencie przyjdzie pora działania, a wtedy musimy być gotowi.

– Kiedy, Koba? – Wiaczesław Mołotow, ludowy komisarz spraw zagranicznych, w końcu zadał dręczące go pytanie.

– Poczekają, aż osłabniemy. Za trzy, cztery miesiące... – suchy kaszel przerwał tok wywodu. Już wcześniej lekarze radzili mu ograniczyć palenie. Zawsze odkładał to na później, ale po paru ostatnich napadach kaszlu będzie to musiał przemyśleć od nowa. – Jak mówiłem – zebrał się w sobie – dopiero wtedy, gdy uznają, że nic nie jest w stanie zagrozić ich potędze. Nie wcześniej

– przyszedł już całkiem do siebie, więc zupełnie odruchowo sięgnął po kopciuch z tytoniem. Musiał przecież czymś zabić ten ohydny smak w ustach. – Nie dajcie się zwieść pozorom. Dobrze wiem, jaki jest Göring. Z pozoru sybaryta, hedonista, ale wewnątrz to twardy bojownik.

– Podobno więcej czasu spędza w wiejskich posiadłościach niż w stolicy.

– Słyszałem.

– Podobno też bierze morfinę.

– Plotki, drogi Wiaczesławie, plotki. Ulubionym zajęciem kanclerza jest polowanie. To sporo mówi o człowieku, nieprawdaż? Lubi zabijać – takie są fakty. Otoczony zgrają Prusaków, starych junkrów, nie zapomina, kto jest wrogiem – tłumaczył przyjacielowi wszystko jak dziecku. Przy okazji sam siebie nakręcał, więc każdy poboczny wątek rozrastał się i pączkował.

Na namówienie Berlina do powtórnego sojuszu wpadł stosunkowo niedawno. Przez ostatnie dwa lata żywił nadzieję, że dadzą sobie radę sami. Tak, sami. Bez niczyjej pomocy, dlatego też mało zachęcające początki ofensywy nieco go zdziwiły. Z jakiegoś powodu jego założenia się nie sprawdziły. Nie chodziło nawet o straty, raczej o przygotowanie ideologiczne. Dopóki panował nad zapleczem, panował nad armią. Tyle lat przygotowań, a jednak nie przewidział wszystkiego. I tu dochodził do sedna problemu: najwyraźniej ten tort wystarczyłby dla większej liczby gości. Gdyby tak naprawdę udało się narzucić Niemcom komunistyczne idee lub przyjęłyby je same, to razem byliby niepokonani. Francja, Anglia, w nieodległej perspektywie Stany Zjednoczone... Stare mocarstwa stałyby się pionkami w tej grze. A przecież

wiadomo, że w nowym, zwycięskim sojuszu to ojczyzna światowego proletariatu grałaby pierwsze skrzypce.

Przygotowując „Burzę”, zdawał sobie sprawę, że podbój III Rzeszy nie przyjdzie łatwo. W obecnej sytuacji, kiedy zaproponuje Berlinowi udział w zyskach, trzeba będzie go nieco odsunąć w czasie, za to Niemcy będą musieli partycypować w kosztach wojny. Niech spróbują, jak to smakuje. Pomorze, Wielkopolska i Śląsk – wszystko z tamtej strony Wisły zaproponuje Göringowi. On weźmie resztę. I tak jego hojność przekraczała granice przyzwoitości. Jak się nad tym głębiej zastanowić, to w stosunku do przyszłego sojusznika jest – delikatnie mówiąc – rozrzutny ponad wszelką miarę. Ale w tym przypadku to najlepsze wyjście. Na pewno na początku drogi. Pożytek z takiego obrotu sprawy będzie niejeden. Przede wszystkim nadarzy się okazja zobaczyć niemiecką armię w boju. Dodatkowo udział w likwidacji Polski dwóch tak znaczących państw uniemożliwi Anglii i Francji jakiegokolwiek próby przeciwdziałania zarówno militarnego teraz, jak i politycznego później. Właściwie więc wszystko idzie po jego myśli.

Jak Timoszenko i Tribuc nazwali operację desantową – „Pętla”? Jakoś tak. Teraz przygotowuje polaczkom jedną wielką pętlę i nic mu w tym nie przeszkodzi. Zamknięci w olbrzymich kleszczach, nie przetrwają nawet tygodnia. Co tam tygodnia – trzech dni!

Nie raz i nie dwa oglądał mapy. Kontury Niemiec, głęboko osaczających Polskę od północy i nieco słabiej od południa, tak dogodnie do oskrzydających uderzeń, aż prosiły się o wykorzystanie. On nie miał tak sprzyjających warunków, i jeszcze wszystko sprzysięgło się przeciw jego planom. Widać droga do serca Europy przedstawiała się

bardziej wyboście, niż to sobie Stawka wyobrażała, ale co zrobić. Wielki kraj jedną nogą stoi w Europie, a drugą w Azji. Nie może zanadto skupiać się na Polsce, bo zaraz go Anglicy albo Japończycy zajdą go od tyłu.

Kiedy już dokończy sprawę z Polską i Finlandią – drobnicy prawie nie brał pod uwagę – przywracając z grubsza granice jak za Romanowów, pójdą na południe. Niemcy może i okażą się dobrym sojusznikiem, lecz trzeba ich trzymać z daleka od rumuńskiej ropy i Bałkanów. Jak na razie prym wiodła tam Warszawa, teraz przyszła kolej na niego. Front Południowy tylko czekał na sygnał. Nie chciał go jednak uruchamiać bez dokończenia walk na zachodzie i północy. Czarnomorskie cieśniny muszą poczekać. Mimo to wyobraził sobie minę brytyjskiego premiera na wieść o zagrożeniu strefy Kanału Sueskiego po wyprowadzeniu Floty Czarnomorskiej na Morze Śródziemne. To dopiero będzie szok.

W terytoriach mandatowych Francuzi i Anglicy trzymali tak nieznaczące siły obronne, że niewiele będą mieli do powiedzenia. Tylko ta baza lotnicza pod Mosulem drażniła go coraz bardziej. Łatwo stamtąd dolecieć do Baku.

Sojusz z Berlinem rozwiązywał kolejną sprawę. Włochy ze swoją całkiem pokazną flotą pełnomorską staną się niejako buforem przedzielającym Morze Śródziemne na pół, a przynajmniej czymś, z czym Anglicy będą musieli się liczyć. Wystarczy, że wszystko potrwa parę tygodni. A może osobny układ zaproponować Mussoliniemu. Czemu nie? Czyż włoski faszyzm nie jest bliski socjalizmowi? Na pewno bardziej niż jego narodowosocjalistyczna odmiana. Właśnie przez takie wyprzedzające ruchy stawał się głównym graczem.

Spokojnie. Na razie wciąż otwarta pozostawała kwestia układu z Berlinem. „Układ Stalin–Göring” brzmiało niedobrze, może... Jak się zwał niemiecki minister spraw zagranicznych? Joachim... Joachim von Ribbentrop. Więc „Układ Ribbentrop–Mołotow”. Tak o wiele lepiej. Plan był doskonały, ale na wszelki wypadek nie ma potrzeby nikogo w to mieszać.

Rozdział 10

FLOTYLLA PIŃSKA

Od wpatrywania się w zwartą, zieloną ścianę lasu bolały go oczy. I nie tylko oczy. Właściwie podchorążego Mieczysława Arenfelda bolało wszystko: oczy, szyja, głowa, dupa. Jedyne, co go pocieszało w tej całej wyprawie, było to, że nie dostał choroby morskiej, chociaż prawie cały czas przebywał na wodzie. Kark i ręce do wysokości łokci w końcu zaczęły zmieniać kolor w pożądanym kierunku, mianowicie z czerwonego przechodzić w przyjemny dla oka brąz. Tylko co by powiedziała na to jego matka, twierdząca, że wszelka opalenizna to oznaka prostactwa? Na szczęście nie rozmyślał nad tym, a szanowna mamuśka pozostawała wystarczająco daleko, by swoimi uwagami nie przeszkadzać synowi w kontemplacji widoków, jakie się przed nim rozpościerały.

Tym razem i tak było lepiej. Płynęli w rozległym cieniu jodeł porastających brzeg, co chociaż w pewnej mierze łagodziło uciążliwości służby pełnionej w niemiłosiernym skwarze. Jednak gdy tylko choćby na chwilę musieli ów cień porzucić, ściana rozżarzonego powietrza uderzała w Arenfelda, aż zapierało mu oddech w piersiach. Wokół panował absolutny bezruch. Jak okiem sięgnąć, las, jezioro Zobot, nawet niebo wydawało się martwe, obezwładnione ukropem i ciszą. Jak przed

gwałtowną burzą.

Kuter prowadzony wprawną dłonią bosmana Morgały sunął z prędkością nieprzekraczającą czterech węzłów. Miejsce postoju 1 Dywizjonu Monitorów nie zostało jednoznacznie określone. W rejonie tak zwanego Przewozu Kozaka napotkali jeden ze wzmacniających dywizjon kutrów. Od jego dowódcy Arenfeld otrzymał parę wskazówek, lecz reszta należała do niego. Od rana spenetrowali już parę zatoczek, wszystkie z tym samym skutkiem. Monitory rozplynęły się w porannej mgle, jakby nigdy nie istniały. Prędzej spotka rusałkę niż... Olbrzymi sum machnął ogonem, mącąc wodę zaledwie parę metrów od burty kutra. Bestia miała dobre sto kilo. No, taki okaz potrafiłby bez najmniejszego problemu wciągnąć niefortunnego rybaka pod wodę.

Morgała jak gończy pies czujnie podniósł głowę.

– Co jest?

– Panie chorąży, niech pan spojrzy.

Popatrzył w kierunku wskazanym przez bosmana. Albo mu się wydawało, albo faktycznie dostrzegł samolot. Sięgnął po lornetkę i poszukał. Jest. Z obezwładniającej nudy momentalnie przeskoczył w drugą skrajność. Wyraźnie widział lecący wodnosamolot. W tym samym czasie do uszu Arenfelda doszło miarowe, ciche terkotanie. Jak ułał pasowało do silnika takiej maszyny. Odprowadził ją wzrokiem, zanim zupełnie znikła z pola widzenia.

– Co o tym myślicie?

– Nie nasz – odpowiedział podoficer.

– To wiem.

Morgała wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć.

– Widział nas?

– Nie sędę.

Dzisiaj bosman nie należał do zbyt rozmownych. Odpowiadał wyłącznie na pytania. Pozostali, równie milczący, zastygli tam, gdzie stali. Napięcie udzieliło się wszystkim.

O płynęli kolejny zalesiony cypel. Zatoczka, która ukazała się za nim, nie odbiegała wyglądem od wielu widzianych wcześniej – pas przybrzeżnych trzciny, chaszczki na samym brzegu i trochę wolnej przestrzeni, gdzie można było przybić do plaży.

Tym razem Morgała mocniej machnął kołem sterowym, wprawnie wprowadzając kuter w głąb naturalnego kotwicowiska.

Oczom podchorążego ukazał się może nie pełen stan 1 Dywizjonu Flotylli Rzecznej Marynarki Wojennej, ale na pewno znaczna jego część. Wyróżniał się zwłaszcza flagowy monitor ORP „Wilno”, pomimo że niewiele wystawało spod maskującej go siatki.

Bosman podprowadził kuter do burty jednej z kanonierek, wprost pod przerzuconą przez nią sznurową drabinkę. Arenfeld mocno uchwycił szorstkie, grube zwoje. Stęknął i postawił nogę na pierwszym szczeblu, dźwigając ciało w górę. Dalej poszło mu o wiele sprawniej.

– Do komandora Sierkuczewskiego – wysapał, gdy już stanął na pokładzie przed obliczem posepnego podporucznika. – Pakiet z dowództwa.

– Sam zaniósę – oficer wyciągnął rękę.

– Miałem do rąk własnych.

– Nie będzie zachwycony, że ktoś obcy mu przerywa.

Zrezygnowany podchorąży przekazał kopertę. Całkowity brak siły przebicia. Był starszy stopniem może

go obsztorcować. Dobrze, że w końcu pozbył się problemu. Chciał to zrobić sporo wcześniej, a zmitrzążył parę dni.

Zdecydowanie to miejsce przytłaczało podchorążego. On sam, ta kanonierka, nawet cały dywizjon był najdalej na wschód wysuniętą polską placówką. Stali na samej granicy. Z operacyjnego punktu widzenia fakt pozostawienia ich samym sobie wyglądał kuriozalnie. Już dawno siły Floty Dnieprzańskiej powinny wbić się klinem i utorować sobie drogę na tyły broniących się skrzydeł polskich jednostek. W konsekwencji najprawdopodobniej front by pękł. Dziury nie dałoby się załatać. Nie przychodziło mu do głowy żadne wytłumaczenie, dlaczego Sowieci jeszcze tego nie zrobili, rosła zaś pewność, że w końcu będą musieli to podjąć takie działania. Im dalej od tego miejsca, tym lepiej.

Od przeciwnego brzegu jeziora dzieliła ich przestrzeń jakiegoś kilometra do półtora. Gdzieś tam, był przekonany, trwały przygotowania do natarcia. Podskórnie wyczuwał dudnienie motorów i nerwowość ludzi. Wyobrażenia podsuwała obrazy kanonierek i monitorów wielkich jak niszczyciele, gotowych na pierwszy sygnał ruszyć do przodu. Tymczasem wokół wciąż panowała nienaturalna cisza. Najlżejszy wiaterek nie poruszał konarami jodeł i sosen. Wszystko zastygło w oczekiwaniu na nieuchronne.

Nie miał termometru, ale na jego wyczucie było 35 stopni, może więcej – jakieś 38. Jak już w końcu przyjdzie niżowy front atmosferyczny i zepchnie wyżej dalej na południe, wichura będzie łamać drzewa jak zapalki, a całą tę pływającą drobnicę rozniesie po bagnach. Uff... Im dalej od tego miejsca, tym lepiej.

– Podchorąży.

Znów ten sam wredny podporucznik.

– Tak jest.

– Zajmiecie pozycje tam...

Tam, to znaczy gdzie? Nigdzie nie widział wolnego miejsca. Za kanonierką przycumowano monitor, a po przeciwnej stronie zatoki kolejną kanonierkę i parę kutrów.

– Miałem...

– Nieaktualne – dalszy wywód Arenfelda został brutalnie przerwany. – Łódź jest potrzebna tutaj, a ja nie mam możliwości, żeby odesłać was z powrotem.

Chyba się przesłyszał. Dałby wszystko za szansę zabrania stąd tyłka choćby tylko do Mostów Wolańskich, o Pińsku nie wspominając. Żaden z niego żołnierz. Odkrywca owszem, ale obrońca... To kara, tylko nie wiedział, za co.

Rozdział 11

Mimo kurtki na grzbiecie czuł chłód, i to chłód przeraźliwy. Nie żadne tam delikatne dreszczyki, jakie nachodzą człowieka, gdy zbyt długo pozostaje w bezruchu, tylko ordynarne zimno paraliżujące ciało i umysł.

Właśnie pochował Szymańskiego w płytkim dołku wykopanym dłońmi i kawałkiem gałęzi. Na szczęście wszechobecny piach znacznie ułatwił ten pogrzeb. Marek siedział teraz nad mogiłą z pustką w głowie, kompletnie wyczerpany. Winny czy nie – to było kompletnie bez znaczenia. Wyrzuty sumienia przyjdą dopiero później. Obecnie wszystko zostało sprowadzone do jednego pytania – gdzie jest i jak się stąd wydostać. W końcu dotarła doń jedna myśl – jeśli się szybko nie ruszy, zostanie przy Szymańskim na zawsze. Wstał na chwiejnych nogach, podniósł głowę i nabrał powietrza. Wdech, wydech. Jeszcze raz. Trochę to trwało, ale w końcu doszedł do siebie.

Na północ nie chciał iść, lepiej już na zachód. Ustalił kierunek. Nie pozostało mu nic innego, jak w końcu zrobić pierwszy krok. Iglasty las nie był na tyle gęsty, by utrudniać marsz. Można powiedzieć, że maszerowało się po nim dość wygodnie i szybko. Raz i drugi przeciął ścieżkę wiodącą wzdłuż osi północny wschód–południowy zachód, przynajmniej taką miał nadzieję. W końcu Estonia to nie Syberia. Gdzieś dojdzie. Mając w głowie wytyczony szlak, przyśpieszył. Szybki marsz rozgrzewał. Po dobrych

dwudziestu minutach czuł, że zastane mięśnie wróciły już do formy. W przypiływie dobrego samopoczucia przez chwilę pomyślał o truchcie. Uznał jednak, że to nie najlepszy pomysł. – szybko zużyje tę resztkę energii, jaką dysponował, a wcale nie wiadomo, jak daleko jeszcze przyjdzie mu wędrować. Zwolnił do racjonalnego tempa, co i tak oznaczało bardzo żwawe przebieganie nogami.

Czterdzieści minut później wyszedł na ciągnącą się przez pustkowie drogę brukowaną kocimi łbami. Szlak musiał być uczęszczany, nawet tak wyglądał. W każdym razie na poboczu zachowały się nierozmyte odciski opon samochodowych, a padało tu raczej niedawno. Ta prosta dedukcja pocieszyła go jeszcze bardziej. Niestety obecnie, jak na złość, wkoło nie było żywego ducha. Na dodatek zaczęło padać. Czyżby lipiec w tych okolicach przypominał polską jesień?

Można by się pod drzewem, żeby przeczekać, to jednak zdecydowanie nie leżało w naturze Marka. Wolał jak najszybciej dotrzeć do celu – obojętnie, jaki był. Ruszył wzniesionym środkiem duktu, omijając z daleka rozległe kałuże. Niektóre z nich przypominały małe jeziora, co zmuszało go niejednokrotnie do sporych obejść. Przez las szło się zdecydowanie łatwiej.

Stukot kopyt za plecami jakoś go nie zdziwił. Podkowy miarowo wybijały rytm, który roznosił się daleko, bo gdy Marek się obejrzał, ledwo dostrzegł konia, furmankę i chłopca na niej. Postanowił zaczekać. Nadjeżdżający i jego zaprzęg nie odbiegali znacząco wyglądem od tego, co oglądał w kraju. Może tylko ten tutaj był solidniej ubrany. Spod obwisłego ronda kapelusza kapwały krople wody wprost na sękatę dłoń trzymającą bat. Twarz pokrywała jasna szczecina zarostu. Głęboko

osadzone oczy spoglądały na niego czujnie. Pierwsze wrażenie takie sobie. Jak z nim gadać? Na pewno nie po angielsku. Rosyjski wzbudzi nieufność, a po estońsku nie potrafił powiedzieć nawet „dzień dobry”. W międzynarodowym geście podniósł rękę do góry. Koń stanął metr przed nim.

– Jestem polskim lotnikiem – powiedział w ojczyściej mowie. Na wszelki wypadek powtórzył wszystko po angielsku. – *I'm Polish aviator. Polish. Poland. Polska.*

Widział, jak dłonie mocniej zaciskają się na drewnianym trzonku bata.

Cholera go... Nie wyciągnie przecież Visa i nie wymusi podwiezienia. Westchnął i ruszył dalej.

Koń parsknął. Podwoda minęła Bagińskiego i przystanęła. Chłop odwrócił głowę, a z ust popłynął w jego stronę ciąg niezrozumiałych słów. Cokolwiek znaczyły, ogólny sens przekazu był jasny: wsiadaj! Marek wskoczył. Oparł się plecami o burtę i wyciągnął nogi. Dobrze jest.

Bat strzelił i furmanka potoczyła się do przodu, kolebiąc się na boki.



Rozdział 12

WARSZAWA

Chciał dopilnować tego osobiście. Nie wynikało to z żadnych racjonalnych przesłanek, raczej z potrzeby dopięcia wszystkiego na ostatni guzik. Stanąwszy z boku, Pełczyński obserwował, jak Tychenko instruuje swoich ludzi. Rosjanin wyglądał imponująco. Wzrostem i posturą górował nad każdym, podobnie jak chęcią postawienia wszystkiego na jedną kartę.

– Tu nie ma miejsca na błędy – generał usłyszał wyraźnie każde słowo Siemiona Jefremowicza. – Po przekroczeniu linii frontu generalnie będziemy zdani sami na siebie. Przy najmniejszej wątpliwości ze strony Czeka zostaniemy rozstrzelani, a represje dotkną nasze rodziny, psy, koty i kochanki. Sami wiecie najlepiej, w jakim państwie przyszło nam żyć.

Dziwne słowa – pomyślał szef II Oddziału – biorąc pod uwagę, kim do niedawna był Tychenko. Jako wysoki oficer wywiadu wojskowego GRU bez wątpienia wiedział, o czym mówi. Sam zaprowadzał socjalistyczne porządki w wielu miejscach rozległego Kraju Rad. Zrządem losu będzie je teraz obalał.

Ścisłe kierownictwo organizacji, a właściwie na razie grupy, jaką powołał, liczyło łącznie z nim sześcioro ludzi – sami młodszy oficerowie i jeden kapitan. Dwudziestu pozostałych – podoficerowie i szeregowi –

czekało pod Warszawą w specjalnie przygotowanym obozie, gdzie grupowano takich jak oni, czyli osoby deklarujące chęć czynnej walki z komunizmem. Werbalne czy nawet, jak niekiedy bywało, pisemne zgłoszenie to jedno. Przed chętnymi, którzy już trafili do obozów jenieckich, otwierała się długa droga. W miarę możliwości każdego należało sprawdzić w taki lub inny sposób. Grupa Tychenki w całym tym zamieszaniu miała się za elitarną. Zresztą nie bez przyczyny.

– Pułkowniku, pozwólcie na chwilę.

Tychenko przerwał ideologiczny instruktaż.

– Na razie czas wolny – Rosjanin odprawił oficerów i skierował kroki do Pełczyńskiego.

Strzelił przed nim obcasami jak rasowy carski lejbgwardzista i tak samo zasalutował. Wszystko to wyglądało dziwnie, tym bardziej że Tychenko paradował w zwykłej marynarce. Wojskowe uniformy jego ludzie otrzymają dopiero przed samym przekroczeniem frontu. Wcześniej występowanie w krasnoarmiejskich sortach mogło wywołać niepotrzebne dyskusje lub tragiczną w skutkach pomyłkę.

– Jak widzę, wszystko gra.

– Radzimy sobie – Tychenko, zamiast tryskać humorem, wyglądał na posępnego.

– Obawiam się, że więcej czasu nie mamy – Pełczyński spacerowym krokiem ruszył przed siebie. – Na dziś wieczór zorganizowałem wam transport. Przerzut na tamtą stronę najszybciej, jak się da.

– Którędy?

– Na razie do Wilna. To optymalna trasa – generał odniósł wrażenie nadciągania czegoś nieuchronnego. Chyba zaczął mu się udzielać nastrój Rosjanina. – No,

proszę powiedzieć, co was gnębi, pułkowniku? Nie chce pan chyba zrezygnować?

– Co tu dużo mówić, generale, zgodzi się pan ze mną, że to niecodzienna kombinacja. Jak sprawa wyjdzie na wierzch, ogłoszą nas zdrajcami.

– Nie pana pierwszego – powstrzymał bardziej ciętą ripostę. Rozterki nie pasowały do czasu i okoliczności. W każdej chwili jednym gestem, bez mała strzeleniem palcami mógł odwołać pułkownika, a na jego miejsce postawić tego kapitana, jak mu tam... Wiercewa. Jeżeli Tychenko z równie rozbijającą wrażliwością utrwałała władzę radziecką, to nic dziwnego, że początek nowej wojny spędził w niewoli. – Doskonale pan wiedział, jakie będą konsekwencje. Zresztą, nie mówmy o tym więcej – przerwał. Jako psychoanalityk i tak nie zrobi kariery. – Sprawdzamy kolejnych pięćdziesięciu chętnych. Proszę mi powiedzieć: mam z nich zorganizować osobną grupę czy też raczej mają skontaktować się z wami?

Niewinne z pozoru pytanie kryło pułapkę: inna grupa – inny dowódca. Tychenko idzie na bok. To, że wszystko wymyślił i opracował, nic nie znaczyło. Weryfikacją będą osiągnięcia.

– Biorę wszystko na siebie.

Ostrzeżenie najwidoczniej zostało odczytane prawidłowo.

– Wszystko tak, jak się umawialiśmy.

– Naturalnie.

Sowiecka broń, uniformy, regulaminy, oprócz radiostacji, którą dostarczali oni. Jednak to wszystko były sprawy drugorzędne. Istota rzeczy dotyczyła czegoś innego. Tychenko miał stanowić forpoczta nową Rosji – nie bolszewickiej i nie carskiej. Zupełnie odmiennej

od ustalonych wzorców. Takiego eksperymentu nikt dotąd tam nie przeprowadził. Od samego początku Pełczyński zrezygnował z użycia grupy Tychenki jako kolejnego oddziału dywersyjno-wywiadowczego. W ten sposób nie zachwieje podstawami imperium. Z drugiej strony nie lękał się – takich jak oni Rosja pożarła już wielu. Wystarczy, że zdeorganizują tyły lub sprowokują rozróbę w jakiejś guberni. Wszelkie większe akcje wydawały się mało prawdopodobnie. Zresztą, pełen sukces wcale nie musiał na dłuższą metę być korzystny dla Polski. Nie ma co snuć zbyt daleko idących hipotez. Trzeba zawsze mieć w pamięci przykład Lenina, wysłanego przez Niemców do Rosji, by wzniecił rozruchy i osłabił państwo carów na tyle, żeby Niemcy wygrały wojnę.

Rozdział 13

FRONT PÓLNOCNO-ZACHODNI

Mimo gigantycznego wysiłku oficerów politycznych, dowódców liniowych, agitatorów i wszelkiej maści działaczy różnego szczebla entuzjazm nie ogarniał zwykłych żołnierzy. Parę dni wcześniej może i tak, teraz już nie. Stali milczącymi szeregami, wysłuchując wciąż tak samo brzmiących wezwań i apeli. Wzniosłe słowa odbijały się od nich, nie wzniecając należytego zapału. Jakby nie byli towarzyszami, nowo wykutymi ludźmi radzieckimi, tylko jakimiś nieuświadomionymi politycznie ludźmi z poprzedniej formacji – chcieli mieć święty spokój, a nie ginąć pod nieznanym niebem. Zwłaszcza że odwrotu nie będzie.

Z członków partii i komsomolców tworzono osobne oddziały. Wszystko było tam takie samo jak gdzie indziej, oprócz większej ilości broni maszynowej i bardziej zaawansowanego szkolenia ideologicznego.

Tylko niektórzy wiedzieli, jakie mają szczęście. Zamiast pod polskie czy fińskie kulomioty rejonów umocnionych, los – lub, jak kto woli, towarzysz Stalin – przeznaczył im zupełnie łatwe zadanie. Nazwy Tallin, Ryga czy Kowno brzmiały w uszach czerwonoarmistów lepiej niż Warszawa bądź Lwów. Sam dowodzący frontem generał Fiodor Kuzniecowa liczył na szybkie zwycięstwo, to znaczy osiągnięte w ciągu 24–48 godzin, podczas

których Armie 8, 11 i 27 powinny dotrzeć do linii Niemna, przekroczyć polską granicę i wyjść na przedpola Wilna.

Nadbałtyckich republik w sztabach sowieckich zgrupowań nigdy nie traktowano poważnie, mając je zawsze za państwowe twory trzeciej kategorii. Ich znikome liczebnie siły zbrojne w żaden sposób nie mogły powstrzymać rozpędzonej maszyny. Na dodatek w Litwie, Łotwie i Estonii nie powstał jeden wspólny plan obrony. W ten sposób państwa te same rezygnowały z cienia szansy na obronę przed agresją wschodniego sąsiada, pretendującego do miana największej potęgi militarnej wszech czasów.

Zatem wydarzenia potoczyły się zgodnie z przewidywaniami sowieckiego naczelnego dowództwa. Lotnictwo, mimo że stosunkowo silne jak na tak małe armie, zostało szybko zdławione przez pułki bombowe i szturmowe. Nieliczne Gladiatory, Fiaty CR-20 i Dewoitine'y D.510, którym jednak udało się wystartować, musiały sprostać w walce kilkakrotnie większej liczbie czerwonych sokołów. I tym razem dało o sobie znać pełne zmilitaryzowanie wszelkich struktur państwa sowieckiego. Wygrywali nie mistrzostwem pilotażu czy sztuką operacyjną, a zwykłą, lecz odpowiednio dużą przewagą ilościową rzuconych do walki samolotów.

Ciężkiego nalotu doświadczył zwłaszcza Tallin, który stał się od początku celem niezwykle intensywnych działań. Szczególnie ucierpiała znajdująca się tuż przy porcie zabytkowa dzielnica miasta. Strome, wiodące na górę zamkową średniowieczne uliczki, pamiętające czasy zakonu Kawalerów Mieczowych, bardzo szybko obróciły się w dymiące zgliszcza z wielką krwawą łuną unoszącą się ponad niżej usytuowanymi zabudowaniami.

Nalot na stolicę Estonii stanowił ostrzeżenie dla dwóch pozostałych państw – jakkolwiek opór nie miał sensu.

Idące na prawym skrzydle frontu dywizje pancerne i zmotoryzowane 8 Armii dotarły do Tallina po ośmiu godzinach intensywnie prowadzonego natarcia, o ile takim można nazwać przejazd od granicy w okolicach Narwy do stolicy jeszcze do niedawna niepodległego państwa. 11 Armia, kierująca się na łotewską Rygę, również nie donosiła o większych kłopotach. Oddziały łotewskie nie stawiały oporu, w przeciwieństwie do terenu i pogody. Na skutek wciąż padających obfitych deszczów wschodnie regiony kraju przypominały jedno wielkie bagnisko. Ciężarówki, czołgi i ciągniki grzęzły po osie. Wszelki ruch naprzód stał się koszmarem. Tempo natarcia spadło do zaledwie jednego, dwóch kilometrów na godzinę. W tej sytuacji zamiast oddziałów zmechanizowanych do zagonu użyto kawalerii. Jednostki 25 Dywizji Kawalerii bocznymi drózkami i ścieżkami wyszły przed 27 Brygadę Pancerną i pognały do przodu.

W ciągu 24 godzin główne założenia operacji zostały osiągnięte. Jednak zajęcie stolicy to nie wszystko – pozostały wyspy. Wojska lądowe mogły odtrąbić zwycięstwo, siły morskie wciąż walczyły z przeciwnościami.

Chociaż redę portu w Tallinie osiągnięto zgodnie z harmonogramem, a działa „Marata” i „Kirowa” na wszelki wypadek dołożyły swoje, ponownie pojawił się ten sam problem co poprzednio – miny. W ostatnim odruchu desperacji Estończycy zaminowali wejście do basenów portowych i urządzeń przeładunkowych.

Konradmirał Jurij Pantelejew, zupełnie nieświadom zaistniałych okoliczności, pchnął w głąb portu parę

mniejszych jednostek. Skutki nie kazały na siebie długo czekać. Patrolowiec „Smiercz” i niszczyciel „Kalinin” wyleciały w powietrze. Załogi w większości udało się uratować – większość dopłynęła wpław do nieodległego brzegu, ale utracono transportowane na nich wyposażenie, a same okręty można było skreślić ze stanu floty.

Mimo poniesionych strat konwój wciąż jeszcze wyglądał imponująco. Żaden z dużych okrętów czy motorowców nie został uszkodzony. Samo zajęcie instalacji nadbrzeżnych nie miało obecnie większego sensu. Oddziały 180 Dywizji Piechoty już podchodziły do miasta. Wystarczyło pozostawić któryś z niszczycieli do blokady i po sprawie. Rozminowaniem zajmą się saperzy i trałowce.

Tak wygodne dla Pantelejewa rozumowanie kryło w sobie ziarno destrukcji, ale wtedy jeszcze nie mógł o tym wiedzieć. Następny etap – Zatoka Ryska – wyglądał na banalny, a zajęcie Rygi na czynność zupełnie formalną. Wyjście na szerokie wody Bałtyku było w zasięgu ręki. Sto dwadzieścia mil koszmaru kończyło się w tym właśnie miejscu. Odpowiedni sygnał popłynął z flagowej „Oktiabrskiej Rewolucji”.

Przykrą niespodzianką okazała się – na szczęście niecelna – salwa torpedowa. Świadczyła ona o przyczajonym w pobliżu okręcie podwodnym wroga.

W rejon, z którego, jak przypuszczano, odpalono torpedy, pognały niszczyciele i obłożyły okolicę bombami głębinowymi. Dla „Sępa” i dowodzącego nim komandora podporucznika Władysława Salamona ta przeciwalkcja była bez znaczenia. Natychmiast po wystrzeleniu torped odплыnęli i zajęli pozycję dalej na zachód. Potrzebowali czasu na załadowanie wyrzutni i przygotowanie kolejnej operacji.

Z trzech pozostających w Zatoce Fińskiej polskich okrętów podwodnych tylko „Sęp” i „Ryś” były w pełni sprawne. „Wilk” z powodu uszkodzeń został już wyłączony z akcji. Jednak w sumie niewielkim kosztem jednostki te spełniły pokładane w nich nadzieje. Teraz większa część operacji spadała na okręty nawodne i lotnictwo.

Rozdział 14

Wygramolił się z wozu w środku niewielkiej wsi. Podziękował i stanął, rozglądając się po okolicy. Prowincja wszędzie wyglądała podobnie, a takich miejsc były tysiące. Akurat ta osada wyglądała biedniej niż wiele jej podobnych – parę drewnianych chałup krytych strzechą i tylko jedna wyglądająca bardziej okazale, bo z gankiem osłoniętym daszkiem i z piętrem. Żadnej gospody, poczty, mleczarni. Nawet ludzi gdzieś wywiało.

Czuł się zmęczony, głodny i zziębnięty. Jeżeli szybko nie znajdzie schronienia, zupełnie opadnie z sił. Powiódł spojrzeniem ze wschodu na zachód. No, dobra – musi działać. Samym staniem nic nie załatwi. Do zwykłych chałup nie chciał zaglądać. Tam pomocy nie uzyska. Pozostawała ta jedna – większa i schludniejsza od pozostałych.

Przeskoczył kałużę i poślizgnął się kolejny już dzisiaj raz. Zaklął. Przytrzymując się sztachet płotu bokiem, wyminął rozlewisko i stanął u furtki. Pchnął parę zbitych ze sobą desek i po ułożonych jak chodnik płaskich kamieniach podążył w stronę drzwi. Zapukał. Usłyszał kroki. Szczęknęła zasuwa i drzwi odemknęły się na parę centymetrów.

Nauczony doświadczeniem powiedział po polsku: „dzień dobry” – i zaraz przeszedł na angielski.

Kobieta nie wyglądała na starą, miała najwyżej czterdzieści lat, chociaż dziecięce zdumienie w oczach

odjęło jej na pewno kilka.

– *I'm a Polish aviator.*

Usłyszał dziwnie brzmiącą odpowiedź. Powtórzył wszystko od początku. Tym razem kobieta odwróciła głowę i zawołała w głąb domu.

– Aarne!

Nie słyszał, co odparł rzeczony Aarne, bo jego wypowiedź przerwała kobieta, dodając parę słów po estońsku, a może w jakimś innym dziwnym narzeczu. Kompletnie nie wiedział, jak ma się z nimi porozumieć.

Szuranie na korytarzu wskazywało wyraźnie, że ktoś się zbliża. Szerzej odemknięte drzwi ukazały pięćdziesięciolatka w białej koszuli, krawacie i trenczu.

Sumiaste wąsy, wąska twarz i krzaczaste brwi upodabniały Estończyka do Marszałka. Dodać maciejówkę i szablę i Aarne stałby się sobowtorem Piłsudskiego.

– Kim pan jest? – tym razem pytanie padło po angielsku, czego Marek raczej się domyślił z powodu bardzo silnego akcentu.

– Spadłem z nieba.

Spod rozpiętej kurtki wyzierała stalowoszara lotnicza marynarka z oznaką sił powietrznych, nie do pomylenia z niczym innym.

Estończyk przestąpił próg. Spojrzał w lewo, potem w prawo na odludną osadę.

– Proszę wejść.

Na korytarzu było znacznie przytulniej niż na zewnątrz.

– Tu zawsze tak leje? – zapytał, chcąc przełamać pierwsze lody.

– Przeważnie, ale o tym chyba nie będziemy teraz mówić.

– Podporucznik Marek Bagiński. Polskie Siły Powietrzne – nie pozostało nic innego, jak się przedstawić.

– Aarne Lepp, a to moja żona Liisi.

Skinał obojgu głowę. Co miał powiedzieć? Że jest mu miło? W innych okolicznościach jak najbardziej.

– Sowieci zestrzelili mnie parę godzin temu.

– Gdzie?

– Parę kilometrów od państwa domu.

– Estonia nie bierze udziału w wojnie.

– Obawiam się, że teraz już tak – nie będzie przecież owijał w bawełnę, jak jest.

Aarne zamilkł zdumiony.

Kobieta, nic nie rozumiejąc z wymiany zdań, zapytała o coś męża. Usłyszawszy odpowiedź, zamarła jak słup soli. Dolna warga zaczęła jej drżeć w niekontrolowanym odruchu, a oczy wypełniły się łzami.

– Proszę nam wybaczyć. Nasz syn służy w marynarce.

– To raczej ja przepraszam za najście. W Tallinie jest nasze przedstawicielstwo. Tam pokierują mnie dalej.

– Na razie proszę spocząć – gospodarz wskazał miejsce w fotelu. Kolejne parę słów skierował do żony, która szybko znikła w kuchni.

– Sam pan rozumie, moja sytuacja jest delikatna – Marek zrobił krok i przysiadł na brzegu mebla.

– Rozumiem, rozumiem, jasne, że rozumiem – Estończyk mamrotał pod nosem, będąc jednocześnie myślami bardzo daleko. – To jakie zadanie pan wykonywał, zanim... zdarzył się wypadek?

– Bombardowaliśmy konwój, który wyszedł z Kronsztadu – tutaj już nie obowiązywała tajemnica.

– I jest pan pewien, że to byli Rosjanie? – fakty

jakoś nie potrafiły utorować sobie drogi do świadomości Aarne.

– Najzupełniej – odparł zrezygowany.

– Kogo ja oszukuję...

Tymczasem Liisi wniosła tacę z jedzeniem i ustawiła wszystko przed Markiem.

Obrzucił spojrzeniem glinianą miskę z zawieszistą zupą i pajdą chleba.

– Proszę się nie krępować.

Zacisnęła szczęki, powstrzymując chęć rzucenia się na parujące jedzenie niczym Morane na ociężałego TB-3.

– Nie jest pan głodny?

– Wprost przeciwnie.

Kiedy jadł, małżonkowie wymieniali uwagi. Tym razem to kobieta wyglądała na bardziej zdecydowaną. Raz nawet warknęła na Aarnego nieznoszącym sprzeciwu głosem, zaskakując Marka. Wydawało mu się, że padały jakieś nazwiska. Zwłaszcza jedno powtórzyło się kilkakrotnie.

– Tak uradziliśmy – powiedział w końcu Estończyk.

– W tym, co ma pan na sobie, daleko pan nie zajdzie. Zaraz dopasujemy coś bardziej odpowiedniego.

– Już i tak narobiłem kłopotu.

– To żaden kłopot. Naprawdę. Szkoda, że tylko tyle możemy.

Liisi dodała parę słów. Aarne przysunął się bliżej.

– Parę kilometrów od nas jest majątek barona Tiurina, to emerytowany generał. Będzie wiedział najlepiej, co robić dalej. Zgoda?

– Oczywiście – przytaknął Marek z pełnymi ustami.

– Zaraz przygotuję bryczkę.

Kolejna godzina upłynęła im na krawieckich

przymiarkach. Koszule Aarnego były zdecydowanie nie w jego rozmiarze. Kołnierzyk nie dawał się zapiąć za żadne skarby, chyba że na drugi guzik od góry. Podobnie rękawy sięgające połowy przedramion. Ubrania młodszego syna, Jaaka, były większe. Jego koszule przynajmniej nie pękały w szwach. Do tego szare spodnie, marynarka i ciemnobrązowy kapelusz.

Najbardziej żałował swojej skórzanej kurtki, ale przyciągała spojrzenia jak magnes opiłki żelaza. Pistolet włożył do obszernej kieszeni płaszcza, także z domowych zapasów.

Aarne ponaglał do wyjścia. Marek ucałował dłoń Liisi i wyszedł przed dom.

Ruszyli, jak tylko wsiadł do bryczki. Patrząc w stronę przysłoniętego mgłą odległego horyzontu, zauważył, że przestało padać, a za bliskim już krańcem chmur otwierało się czyste niebo..

•

Konradmirał Jurij Pantelejew, pełen dobrych myśli i jeszcze lepszych przeczuć, stał na pomoście bojowym „Oktyabrskiej Rewolucji” z lornetką przy oczach i widział już wyjście z zatoki. Odetchnął pełną pierśią – po raz pierwszy, od kiedy opuścili Kronsztad. Teraz to już wszyscy mogą mu...

– Nieznany obiekt na dziesiątej – usłyszał słowa wachtowego.

Co znowu? Zamiast popadać w samozadowolenie, przyjął ostrzeżenie do wiadomości. Ponownie uniósł lornetę. Dziwny typ. Czegoś podobnego zupełnie sobie nie przypominał. Zmrużył oczy.

– A... – wychrypiał, lecz przez ściśnięte gardło nic więcej nie przeszło. Dopiero przy kolejnej próbie wrzasnął, ile sił w płucach. – Alarm przeciwlotniczy!!!

Smukłe i eleganckie CANT-y Z.506, każdy z torpedą kalibru 450 mm, nadleciały od strony lądu. Dwa pierwsze poleciały nad lidera. Cztery kolejne na „Marata”.

„Leningrad” operował za daleko –niewiele stąd widział. „Marat” był znacznie bliżej, jakieś sześć kabli od flagowca. Wściekła kanonada ognia zaporowego zdawała się nie robić wrażenia na samolotach. Podłużne walcowate kształty odrywały się od ich kadłubów i mknęły w dół, aż wyrzucały fontanny wody w miejscach uderzenia o powierzchnię morza.

„Marat” próbował zmienić kurs, by ustawić się dziobem do nadciągającego niebezpieczeństwa. Z każdą następną sekundą nabierał prędkości, próbując wyjść z opresji. Olbrzymie cielsko pancernika z masywnymi nadbudówkami pod wpływem zwrotu aż kładło się powoli na lewą burtę.

Za późno, za późno... – emocje w głowie Pantelejewa nadchodziły falami, od niedowierzania, poprzez osłupienie, aż do kompletnej zgrozy. Okręt oberwał mniej więcej 50 metrów od dziobu. Jeszcze płynął, jeszcze walczył. Rana wcale nie musiała być śmiertelna. Do zniszczenia takiej jednostki potrzeba dużo więcej. Kolejne CANT-y jeden po drugim zrzuciły ładunek do wody. Sekundy niepewności i kolejny wybuch prawie w tym samym miejscu.

Pantelejew oblizwał spierzchnięte wargi. Gdzie jest ich osłona powietrzna? Wystarczyłoby parę myśliwców krążących nad zespołem i taki nalot nie mógłby się zdarzyć.

Zupełnie niespodziewanie zajazgotały działka „Oktyabrskiej Rewolucji”.

– Jesteśmy atakowani! – zawołał drugi oficer.

Pod kontradmirałem ugięły się nogi. Gejzer wody od sterburty i dźwięk, jakby ktoś walił młotem po pancernych płytach. Odruchowo zerknął w bok. Niepotrzebnie. Stojącemu na zewnątrz marynarzowi pocisk z działka urwał głowę, zbrzyzgując krwią i resztkami mózgu iluminatory. Ciało poleciało gdzieś w dół na pokład. Z drugiej strony Pantelejewa ktoś wył nieludzkim głosem. Obrócił głowę, lecz nim zdążył spojrzeć, ujrzał dwusilnikową maszynę na wprost nich. Kadłub i skrzydła roziskrzyły się ogniem broni maszynowej.

Cała seria poszła w pomost bojowy pancernika. Wokół niego padali ludzie, szyby rozбивały się na kawałki, a drewniane elementy szły w drzazgi. I wciąż ten sam upiorny huk ogromnego młota.

Jakimś niewyobrażalnym cudem nic mu się nie stało. Absolutnie nic, w kontraście do rzezi, jaka go otaczała. Większa część obsady pomostu nie żyła lub została ranna. Sternik z oderwaną jedną ręką drugą dłoń trzymał wciąż na drewnianym sterowym kole. Zbrzyzana krwią twarz i wytrzeszczone oczy. Szok sprawiał, że jeszcze stał dłużej, zanim padł pomiędzy leżące wszędzie ciała.

– Aaaa... – wycie nie pozwalało zebrać myśli.

Oszołomiony, zrobił krok w stronę zejścia. Nogą zawadził o coś miękkiego. Spojrzał. To, co pociski kalibru 20 mm potrafiły zrobić z silnym, młodym człowiekiem, zaskoczyło nawet Pantelejewa. Najgorsze, że drugi oficer wciąż żył z urwaną dolną częścią ciała. Na szczęście dla kontradmirała w tym momencie na pomost wpadły drużyny

ratunkowe. Ktoś potrząsnął jego rękawem. Jak kukielka posłusznie obrócił się w tamtą stronę. Było źle, a mogło być gorzej.

Nad „Maratem” górowała teraz wielka chmura czarnego dymu sięgająca stu metrów wżwyż. Okręt w zasadzie leżał na burcie, targany spazmami. Takich szkód nie zrobiłaby jedna czy nawet dwie torpedy. Ogień musiał dotrzeć do komór amunicyjnych, ich detonacje zmieniały wewnątrz pancernika w miążgę i wyrwały kolejne dziury w poszyciu.

Patrząc na maleńkie ludzkie figurki skaczące do wody, przez chwilę żałował, że sam nie zginął. Na ratunek spieszyły mniejsze jednostki wyławiające rozbitków. Zdołał się zorientować, że przynajmniej „Leningrad” wyszedł z tego bez szwanku, a nawet odniósł pewien sukces, zestrzeliwując jednego CANT-a. I to było w zasadzie wszystko.

Kiedy schodził z rozbitego pomostu, nie mógł wiedzieć, że właśnie w tym momencie lider rozpoczął pojedynek artyleryjski z „Gryfem”, „Błyskawicą” i estońskim torpedowcem „Sulev”. Z powodu zamieszania związanego z nalotem „Leningrad” początkowo musiał walczyć sam. „Gryf” i „Błyskawica” nie miały kompleksów wobec sowieckiego okrętu. Jak na swoją klasę były duże, szybkie i dobrze uzbrojone, bo tylko takie okręty mogły sprostać zadaniu. Lider szybko zaliczył parę trafień. Na dodatek „Błyskawica” wystrzeliła salwę torped. Nie sięgnęły celu, ale i tak dowódca „Leningrada” miał dość wrażeń jak na jeden dzień. Zanim dołączyły do niego kolejne jednostki, odszedł na wschód. Zresztą, widok potrzaskanego i tonącego „Marata” potrafił odebrać odwagę każdemu.

Kiedy pół godziny później kontradmirał Jurij Pantelejew doszedł do siebie, zarysowały się przed nim dwie możliwości – albo zawróci na w miarę bezpieczną redę Tallina, albo będzie kontynuował zadanie. Na wszelki wypadek nawiązał łączność z Kronsztadem. Krótka rozmowa z admirałem Władimirem Tribucem zredukowała wybór do jednej opcji – akurat tej, na którą nie miał żadnej ochoty.

Kierownictwo Marynarki Wojennej z powodu zagrożenia, jakie przedstawiał sowiecki zespół bojowy, również zostało postawione przed trudnymi decyzjami. Z zachodniego Bałtyku odwołano w końcu „Wichra” i „Groma”, odsyłając obie jednostki na pomoc komandorowi podporucznikowi Stefanowi Kwiatkowskiemu. Z gdyńskiego portu wypłynął ORP „Burza” i ostatni podwodny stawiacz min „Żbik”. Oprócz „Orła”, wciąż obserwującego niemieckie szlaki komunikacyjne, na wybrzeżu nie pozostało nic dużego – dwie kanonierki i pięć minowców stanowiło ostatnią linię obrony przed ewentualnym desantem.

Rozdział 15

Po paru minutach podróży głowa Aarnego zaczęła pochylać się charakterystycznym przerywanym przedsennym ruchem i tym razem Estończyk zapadł w sen. Drogę znał na pamięć, a kolebanie bryczki nie przeszkadzało mu w tej zacnej czynności. Koń stapał pewnie i powoli, droga jak zwykle była pusta. Tylko broń w płaszczu Marka przypominała, że gdzieś tam trwa wojna.

Do celu dotarli w niespełna godzinę. Już z daleka widoczny był ozdobny kuty płot okalający wzgórze z okazałymi bukami i skryty wśród nich niewielki pałacyk. Imponującej bramy nikt nie pilnował. Szeroko otwarta, zapraszała wszystkich do wnętrza. Szutrowa droga wiodła przed ganek, gdzie za rzędem kolumn widniały ozdobne wierzeje, podobne do średniowiecznej bramy z kłamką na wysokości twarzy dorosłego mężczyzny.

Wysiedli przed nimi. Jednak zamiast do królewskiego wejścia Aarne poszedł na lewo, w stronę kamiennego tarasu i niepozornych bocznych drzwi. Zastukał kołatką i poprawił ubranie.

– Zobaczysz pan, generał to prawdziwy arystokrata.

– Paru takich już znam – odpowiedział Bagiński. –

A właściwie to czym się pan zajmuje?

– Byłem nauczycielem – odparł z godnością.

W tym momencie przed nimi pojawiła się pokojówka. Przewodnik Marka wyraźnie był tu znany i lubiany, bo uśmiechnęła się i coś zagadała do niego,

szerokim gestem zapraszając do wejścia.

Jak na wiejskie stosunki, całkiem niezobowiązująca atmosfera – przyszło do głowy Markowi, zanim przestąpił próg rezydencji.

Gdy już znaleźli się w środku, Estończyk wymienił z dziewczyną jeszcze parę zdań szeptem. Ta skinęła głową i poprowadziła ich dalej.

Hol nie odbiegał wystrojem od tego, co wcześniej Marek widział w wielu polskich dworach – poroża upolowanych jeleni, wypchane łby dzików, pomiędzy nimi portrety przodków i pejzaże. Schody na górę i kilkoro drzwi. Pokojówka właśnie otworzyła jedno z nich i wprowadziła gości do niewielkiego saloniku. Pomieszczenie bez okien mogło służyć jako miejsce przyjęć interesantów i zarządców. Aarne przysiadł przy stoliku. Marek obszedł wszystkie kąty, czekając na rozwój wypadków. Przy drugim nawrocie przystanął przed regałem z książkami – głównie ładnie oprawiona klasyka w języku niemieckim, angielskim i rosyjskim, do tego parę broszurowych popularnych powieści. „The Northern Storm” jakiegoś Niemca – co to może być? Już chciał sięgnąć ręką po wolumin, kiedy za plecami usłyszał kroki.

Szczupły, na oko ponadsiedemdziesięcioletni mężczyzna, zadbany, prosto się trzymający. Wychudłe, ogorzałe oblicze ozdobione białymi, krótko ostrzyżonymi włosami i takimi samymi wąsami wskazywało, że gospodarz często przebywa na powietrzu.

Aarne poderwał się do góry, by złożyć ukłon.

Estończycy przywitali się wylewnie. Generał zadał jakieś pytanie, uśmiechając się, Lepp coś bąknął i bez słowa odwrócił się do Marka, pokazując mu, żeby się przedstawił.

– Podporucznik Marek Bagiński. Morski Dywizjon Lotniczy Rzeczypospolitej Polskiej – zaprezentował się po rosyjsku.

Gospodarz, nawet jeżeli był zaskoczony, potrafił to ukryć.

– Generał Aleksander Tiurin – odrzekł, wciąż z uśmiechem. – Ostatni przydział: sztab Judenicza, o ile to nazwisko coś ci mówi, synu.

Mówiło aż nadto. Rok 1919 i nieudany marsz Armii Północnej na Piotrogród. Stary pewnie nie chciał wyjeżdżać na emigrację, wołał osiąść w rodzinnych stronach. Tylko wyglądało na to, że dziejowa konieczność znów się o niego upomniała.

– Co pan tutaj robi?

Powiedział.

Nie usłyszał „czy to pewne?“, „jak to możliwe?“, „nieprawdopodobne“. Kompletnie nic z tych rzeczy. Generał milczał, głęboki mars na czole wskazywał, że analizuje sytuację. W końcu zwrócił się do Leppa już po rosyjsku.

– Aarne...

– Tak?

– Proszę wracać do siebie. Zajmę się resztą.

– Jeżeli mógłbym jakoś pomóc...

– Zrobił pan dość. Wystarczy.

Pochwała z ust generała wystarczyła, by powstrzymać potok słów nauczyciela. Wstał, zadowolony. Sprostął trudnemu zadaniu i okazał się człowiekiem. O reszcie nie musi wiedzieć.

– Aarne, równy z pana gość – powiedział Marek.

– W innych okolicznościach...

– Po wojnie?

– Na pewno.

Został sam ze starym generałem.

– Wiedziałem, że nie zostawią nas w spokoju – nerwowo skurcz przebiegł przez twarz. – Chodźmy. Nie będziemy tu siedzieć.

Przeszli do okazałego salonu. Tiurin miał gości. Najmłodszy z nich był trochę po czterdziestce, najstarszy mniej więcej w wieku gospodarza.

– Proszę powiedzieć to, co mnie. Tutaj nie mamy tajemnic.

To ci dopiero niespodzianka! Trafił na spotkanie weteranów. Już rozumiał, dlaczego stary tak szybko odprawił Aarnego. Nie wiedział tylko, czy ta szóstka mężczyzn spiskowała, czy tylko spędzała razem czas. A może woleli opuścić swoje domy w stolicy i wyjechać na wieś, z dala od niepokojów? Ale w takim razie co zrobili z rodzinami?

Po raz kolejny zaczął opowiadać wszystko od początku. Tym razem nie pomijał szczegółów. Żadna błąka nie wchodziła w grę. Poznają się na niej natychmiast.

Trochę trwało, zanim dobrnął do końca. W trakcie jego relacji ta sama ta sama co wcześniej pokojówka wniosła kawę i likier. Upił łyk, by zwilżyć gardło i mówił jeszcze parę minut.

– To wszystko?

– W zasadzie tak – nie bardzo wiedział, co dodać. Parametry techniczne Mosquito czy Jaków? Chyba ich nie interesowały.

– Rozumiem, że oczekuje pan od nas pomocy?

– Jeżeli to kłopot, to w każdej chwili jestem gotowy pójść własną drogą.

– Poruczniku, bez urazy. Sam pan rozumie, w jak

skomplikowanej sytuacji przyszło nam działać. Nerwy nic tu nie pomogą. Jeżeli już mamy wspólny cel, to musimy sobie zaufać. Dlatego proszę jeszcze mi powiedzieć, gdzie pan pochował swojego współtowarzysza. Wszelkie szczegóły...

- Łatwiej dotrzeć do rozbitego samolotu.
- Racja.

Przedstawił wszelkie zapamiętane topograficzne elementy terenu. Jeżeli chcą go sprawdzić, to proszę bardzo. Akurat tutaj nic nie ukrywał. W swojej opowieści wypadł na tyle przekonująco, że dalej poszło gładko. Sami o sobie nie mówili wiele, ale na pewno nie przebywali na emeryturach.

Już się domyślił, o co w tym wszystkim chodzi – należeli do jednej z tych organizacji emigracyjnych, które dążyły do restauracji monarchii albo przynajmniej wprowadzenia ustroju podobnego do panującego w Zjednoczonym Królestwie. Mieli kontakty, to fakt bezsporny, chociaż większą część czasu pewnie spędzali na dyskusjach i wspominkach – kto z kim i dlaczego siedzi właśnie tutaj, a nie w tak nieodległym Petersburgu.

Niespodziewane pojawienie się Bagińskiego dało im wszystkim bodziec do działania. Wreszcie czymś mogli się wykazać. Operowali w końcu na własnym, dobrze znanym terenie, a rychłe spotkanie oko w oko z żołnierzami RKKa stanowiło dodatkową motywację. Problem wynikł dopiero, kiedy przyszło wybrać kierunek. Część optowała za południem – w stronę Rygi. Po burzliwej dyskusji projekt odrzucono jako nierealny – za daleko i za dużo niebezpieczeństw po drodze. Przerzut Bagińskiego do Finlandii wydawał się łatwiejszy. Najpierw drogą nad zatokę, a potem nocą na drugą stronę. Helsinki nie były

znów tak daleko.

Tym razem opiekę nad Markiem przejął były sztabskapitan, najmłodszy w całym gronie weteranów.

BERLIN

Stolica Niemiec robiła wrażenie – szerokie aleje, przy których pyszniły się siedziby państwowych urzędów i ministerstwa. Wszystko utrzymane w dwóch stylach: starym fryderycjańskim i nowym narodowosocjalistycznym monumentalizmie, przy czym wyglądało na to, że im budowla nowsza, tym większa, na dodatek przez dwa lata od czasu jego ostatniego pobytu sporo ich przybyło. Imponujące.

Już poprzednim razem Ludowemu Komisarzowi Spraw Zagranicznych Wiaczesławowi Mołotowowi szczególnie spodobała się Kancelaria Rzeszy. Przedstawił swoje spostrzeżenia Stalinowi. Neoklasycystyczny monumentalizm stanowi przyszłość architektury. Mołotowowi przeszkadzał tylko ten łzawy sentymentalizm okazywany zmarłym i poległym żołnierzom. Te wszystkie pomniki wiecznej pamięci, płonące znicze i nieruchomości zastygłe w brązie warty. Po co to komu? Żołnierz ma jedną powinność – umrzeć za idee i za reprezentującą ją postać. Nieśmiertelne dzieło Lenina i Stalina, oby trwało wiecznie.

Limuzyna radzieckiej ambasady sunęła przez reprezentacyjną aleję Unter den Linden w kawalkadzie wozów. Wizyty nie tylko nie starano się utrzymać w tajemnicy, jak to bywało niegdyś, lecz nadano jej wyjątkowo uroczystą oprawę. Cała trasa przejazdu sprawiała wrażenie stworzonej dla licznych delegacji państwowych, które odwiedzały stolicę III Rzeszy. W końcu to jedno z centrów współczesnego świata, a dla

wielu wzór do naśladowania.

Mołotow wysiadł. Zaraz za nim z samochodu wysunął się Władimir Diekanozow, sowiecki ambasador w Berlinie. Minister Joachim von Ribbentrop czekał przy wejściu. Przed Kancelarią przywitał ich szpaler ubranych na czarno esesmanów prezentujących broń. Delegacja wraz z gospodarzami wkroczyła do środka imponującej budowli. Wszędzie ten sam ład i porządek. Marmury i ozdobne kandelabry lśniły oślepiającym blaskiem. Był przygotowany na to, co zobaczy, jednak tak jak poprzednio w gabinecie kanclerza oniemiał z zachwytu. Była to monstrualna wręcz przestrzeń z olbrzymim biurkiem na samym końcu pomieszczenia i nie mniej imponującym globusem, spadkiem po poprzedniku.

Wrażenie potęgi władcy III Rzeszy było tak przemożne, iż na nic zdał się głos rozsądku, który podpowiadał, że przecież w takich warunkach nie da się pracować i ta ogromna, przytłaczająca budowla stanowi tylko atrapę – dowód chorej wyobraźni i manii wielkości tragicznie zmarłego poprzedniego wodza. Poczul, że koniecznie musi udać się do toalety. Potrzeba narastała, wizyta w tym przybytku stała się palącą koniecznością. Wiedział, że to z nerwów. Ale co miał zrobić?

Minister spraw zagranicznych Rzeszy poprowadził ich do drzwi na przeciwległym końcu, gdzie znajdował się o wiele przyjemniejszy gabinet. Przysiedli na kanapie. Kanclerz miał w zwyczaju odrobinę się spóźniać.

– Jak się panu podoba Berlin? – von Ribbentrop rozpoczął niewymuszoną konwersację.

– Bardzo, ale to bardzo. Ten rozmach! – odpowiedział Mołotow. – Jak widziałem, wciąż się rozbudowuje.

– Poprzedni kanclerz miał wizję zupełnie odmienionej stolicy Niemiec. Robimy wszystko, by nawet pośmiertnie spełnić te oczekiwania. To nasz hołd dla człowieka, który wyprowadził swoją wielką ojczyznę z powersalskiego upokorzenia i wskazał jej dumną przyszłość. Upłynęły już prawie dwa lata, a wielu z nas nie może pogodzić się ze stratą.

– Tak. To doprawdy niepowetowana strata – twarz Wiaczesława Mołotowa nawet nie drgnęła. Wyprostował plecy i podkurczył nogi, odciążając pęcherz. Przecież nie wyjdzie w takim momencie.

Kolejne nic nieznaczące wspominki o zmarłym mógł sobie darować, bo oto bowiem wszedł jego godny następca – obecny kanclerz.

W rozmowie ze Stalinem tę chwilę wyobrażał sobie zupełnie inaczej. Tymczasem Hermann Göring wyglądał co najmniej specyficznie. Wielkie, tłuste, rozlazłe cielsko odziane było w biały mundur wielkości namiotu. Spodnie podtrzymywał biały pas ze złotą klamrą i białą koalicijką. Pod szyją – błękitny krzyż Pour le Mérite. Do tego wielka błyszcząca odznaka partii nazistowskiej na piersi i parę pomniejszych orderów poniżej. Do wrażeń wzrokowych dochodziły jeszcze węchowe – kanclerz musiał wylać na siebie co najmniej flakon wody toaletowej. Nie dało się do niego zbliżyć, nie marszcząc nosa.

W głowie Mołotowa nie mieściło się, jak ten oto pajac w krytycznej sytuacji po śmierci Hitlera potrafił przechwycić wszystkie nitki władzy i wyeliminować konkurentów. Śledzili w Moskwie ten moment bardzo uważnie. Poleciało parę głów, reszta dała się zastraszyć lub kupić. Taka już jest ludzka natura.

Pierwszy wstał Ribbentrop. Oni za nim.

– Jak zdrowie mojego przyjaciela? – zapytał na wstępie Göring.

– Nasz przywódca śle braterskie pozdrowienie i życzy pomyślności – odskłonił się Mołotow.

Wyraźnie zadowolony zwierzchnik niemieckiego państwa rozwalił się w przeznaczonym dlań przepastnym fotelu.

Jak na razie nie padło jeszcze słowo o sytuacji na froncie. Od samego początku narkom bał się, że będą go wypytywać na wszelkie możliwe sposoby.

– Od panów Diekanozowa i von Ribbentropa wiem, że pan Stalin przywiązuje sporą wagę do spotkania. Nie znam tylko jego celu...

„Pan” – burżuazyjna forma grzecznościowych zwrotów razila ludowego komisarza, niemniej jakoś to przełknął. W końcu nie o formę chodziło, a o pryncypia. Na wszystko przyjdzie czas.

– Zgodnie z poleceniem mojego rządu oraz samego przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych mam zaszczyt przekazać panu ten odręczny list – tu wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki zalakowaną kopertę i podał Göringowi. – Mam nadzieję, że wszelkie wątpliwości, jakie się pojawią, będę potrafił wyjaśnić w bezpośredniej rozmowie.

Niemiec niecierpliwie złamał pieczęć i rozpoczął czytanie. Zapadło trudne do zniesienia milczenie, przerywane jedynie posapywaniem wodza. Mołotow znał treść pisma. Diekanozow się jej domyślał. To on przygotowywał grunt pod rozmowy. Teraz wszystko zależało od tego, jak zareaguje ten obleśny hedonista.

Göring skończył czytać i podał pismo Ribbentropowi.

– Pozostaje mi jedynie zadać pytanie, dlaczego pan Stalin zdecydował się na ten krok dopiero teraz?

– Nieprzejednana postawa Warszawy we wszelkich bez mała kwestiach, jakie chcieliśmy rozstrzygnąć na drodze pokojowej, jej antysocjalistyczne wypowiedzi i prowokacyjne zachowanie zmusiło nas w końcu do tego przykrego kroku. Jesteśmy bodaj jedynym państwem, które przez lata próbowało koegzystować z nimi w przyjaźni – powiedział bez zająknięcia. – Polacy sami są sobie winni.

– Nie można było tak od razu? Doskonale wiem, jakimi ludźmi są nasi wspólni sąsiedzi – założenia sojuszu bardzo odpowiadały Göringowi. Mołotow widział podobne zachowanie nie raz i nie dwa.

– To są podstawy. Uściślenia wymagają niektóre punkty, jak te dotyczące południowo-wschodniej Europy – ze swojej strony dodał Ribbentrop.

– I na nie przyjdzie pora – uciął kanclerz. – Na razie najważniejsza jest sprawa Polski.

Przez następną godzinę wykuty został nowy układ mający odmienić znaczny kawałek starego kontynentu. Mołotow spodziewał się znacznie twardszej postawy Niemców, a tymczasem w zasadzie przeforsował, co chciał. Göring godził się niemal na każdą propozycję wciąż z tym samym zadowolonym wyrazem twarzy. Ribbentropowi nie pozostało nic poza nanoszeniem na papier wspólnych ustaleń. Pakt zobowiązywał Berlin do zbrojnego wystąpienia nie później niż tydzień po parafowaniu przez obu przywódców odpowiednich dokumentów.

Właściwie powinien pogratulować sobie sukcesu, a mimo to przedstawiciel Stalina, opuszczając już Kancelarię Rzeszy, nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że zostali wmanewrowani w grę, której nie rozumieli.

CZEŚĆ 2

Operacja Pętla



• Odległe Rubieże •

Rozdział 16

– Tak jakoś jesienią dziewiętnastego, o ile pamiętam... – sztabskapitan Konstantin Denisow przeszedł na drugą stronę uliczki, rozglądając się nieustannie. Przy tym najmniej uwagi zwracał na Marka. – Już po załamaniu ofensywy... Byłem wtedy w oddziale zwiadu. Razem ze mną paru podobnych kozaków i młodych zapaleńców. Kozacy chcieli wracać na Kubań, powstrzymywały ich tylko obietnice i twarda ręka niektórych pułkowników. Ideowców było niewiele. Nagle gruchnęła wieść o ataku szykowanym przez czerwonych. Do tej pory myśleliśmy, że to my pójdziemy na Petersburg. Był na wyciągnięcie ręki, o tak... – rozcapierzył palce, by zaraz zacisnąć pięść przed sobą. – Poszliśmy na rozpoznanie. Ja dowodziłem. Wiedziałem, jak się poruszać. Moja rodzina miała majątek w tych okolicach. Każdą wolną chwilę spędzałem tam na polowaniach i przejażdżkach – Denisow niespodziewanie zamilkł. Trochę trwało, zanim się przemógł i opowieść potoczyła się dalej. – Teren był mi znany – powtórzył. – Z początku przepłoszyliśmy jakiś konny patrol, ale nie podjął walki. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że próbuje nas wciągnąć w zasadzkę. Ruszyliśmy za nim jak idioci. Nas dwudziestu, tamtych pięciu. Okazja, jakich mało, na wzięcie języka. Za zakrętem ustawili taczankę. Oberwaliśmy, i to solidnie. Nagle z tej piątki zrobiła się setka. Zamiast my ich, to oni nas wzięli do niewoli. Chciałem uciekać, ale straciłem

konia. Szybko mnie dorwali, jednak nie to było najgorsze. Dowodził nimi syn naszego zarządcy stajni. Znałem Saszkę od dziecka. Dobry był z niego chłopak, dopóki nie zwąchał się z bolszewikami. Poprzestawiali mu w głowie. Stłukli mnie tak, że ledwie żyłem. Resztę naszych, rannych i jeńców powiesili. Zgadnij, dokąd mnie zabrali?

– Nie wiem – odpowiedział Bagiński, chociaż już się domyślał ciągu dalszego tej historii.

– Głupi byłem, że nie kazałem rodzicom wyjechać...

Podmiejskie domy z wolna ustępowały miejsca gęstszej i wyższej zabudowie. W perspektywie ulicy Marek dojrzał już pierwsze niewielkie kamieniczki, wskazujące właściwy kierunek ku centrum stolicy Estonii.

Maszerowali jakąś godzinę, odkąd wysiedli z podwoły, którą dysponowali dzięki uprzejmości generała. Niepokój wywoływał trudny do zidentyfikowania, gryzący swąd. Jego źródła nie potrafili zrazu określić. Im bliżej Tallina, tym bardziej smród się wzmacniał. Dopiero na otwartej przestrzeni Marek dostrzegł na horyzoncie czarną mgiełkę. Denisow przyśpieszył. Gdzieś w oddali płonęło miasto, które wybrał na dom.

Efekt bombardowania był widoczny z odległości około dwudziestu kilometrów od centrum. Nawet po dwóch dobach niewiele się zmieniło. Pożoga wciąż trawiła śródmieście, może już nie tak gwałtownie jak wcześniej, lecz nic nie wskazywało na szybkie ugaszenie wszystkich źródeł ognia. Ludzie z przedmieść, zbici w gromady, stali na ulicach, zwrócenie w stronę kłębow gęstego dymu. Milczący, niepewni, co przyniosą najbliższe dni i godziny.

Poruszając się peryferiami, jak do tej pory Marek z Denisowem nie mieli okazji spotkać najeźdźców, ale wcale ich to nie martwiło. Im szybciej załatwią swoje sprawy i wyrwą się z pułapki, tym lepiej. Pośpiechu o mało nie przypłacili życiem.

– Stoj! – pepesza czerwonoarmisty zatoczyła niewielki łuk. Sołdat w szynelu, furażerze na głowie i owijaczach na nogach, z przylepionym do warg papierosem blokował dalszą drogę. Za nim kolumna wojska kierowała się w stronę portu. Na niemiłosiernie ubłoconych ciężarówkach siedzieli strzelcy. Ich brudne twarze śledziły każdy ruch na poboczu. Paki GAZ-ów wyglądały jak jeże ze sterzącymi na wszystkie strony lufami Mosinów.

Marek sklął w myślach własną głupotę. Powinien przewidzieć taki rozwój wypadków.

– Co teraz?

– Tędy.

Zawrócili kawałek i poszli równoległą ulicą. Pierwszy całkowicie zabudowany kwartał był niedaleko. Sztabskapitan poprowadził ich w prawo. Jakoś musieli przeciąć drogę sznurowi pojazdów. Wyczekali na odpowiedni moment i truchtem pobiegli przed siebie. O mało nie wpadli pod pędzącego BT, którego kierowca nie zważał na nikogo i na nic. Internacjonalistyczny obowiązek był ważniejszy niż życie byle przechodnia.

Po drugiej stronie zwolnili.

– Daleko jeszcze?

– Zupełnie blisko.

Wbrew temu zapewnieniu wędrowali jeszcze godzinę, klucząc pomiędzy przyportowymi magazynami i coraz bardziej oddalając się od centrum.

Wreszcie przystanęli przed śmierdzącym rybą krzywym drewnianym barakiem. Konstantin pchnął barkiem drzwi.

Wkroczyli do ciemnego wnętrza. Denisow po omacku wyszukał lampę i zapalki. Po chwili blask naftowego płomienia oświetlił gołe ściany, stół, krzesła, łóżko i jakąś szafę. Tak można było sobie wyobrazić typowy kantor prowadzącego interesy szypra.

Zmęczeni usiedli przy stole. Wyglądało to na koniec kolejnego etapu. Od zestrzelenia minął raptem dzień, a dla niego była to prawie wieczność. Gdyby nie łańcuszek ludzi dobrej woli, prawdopodobnie już siedziałyby w celi przesłuchań. Później w zależności od nastroju oficera NKWD albo strzał w potylicę, albo wycieczka na Syberię. Raczej to pierwsze. Kto patyczkowałby się z osobą odpowiedzialną za straty zadane flocie? Bądźmy szczerzy – nikt. Kulka, i to wszystko.

Coś zachrobotało przy drzwiach. Czujnie podnieśli głowy. Konstantin wstał, przykładając palec do ust. Marek sięgnął po pistolet. To wojna, a on jest na terytorium wroga. Jeśli chce dożyć jutra, nie może się pieprzyć.

Najciszej, jak tylko potrafili, podeszli w stronę wejścia. Chwila szarpaniny i sztabkapitan poleciał w bok. Napastnik nie czekał. Odskoczył do tyłu i znikł w półmroku. Marek wybiegł za nim. Wymierzył, ale nie strzelił. Plecy stanowiły wystarczająco wyraźny cel. Jeden pocisk i po sprawie.

– Nie strzelaj.

Opuścił Visa. Sowiecka bezpieka w takich sytuacjach działała grupą, nie w pojedynkę. Denisow stanął przy nim, masując stłuczony bok.

– O co chodzi?

- Jak go zastrzelisz, ściągniesz na nas kłopoty.
- Dalej uważasz, że siedzenie tutaj jest bezpieczne?
Po zbiegu nie pozostał nawet ślad.
- Rozejrzyjmy się, jeśli chcesz.

Poszli przed baraku ścieżką wiodącą pomiędzy murem oddzielającym skupisko magazynów od ulicy a ciągiem mniej lub bardziej koślawych bud. Co rusz drogę zagradzały im wysokie chaszczce, sterty drewnianych skrzynek i beczki do transportu śledzi. Raz pod nogami Marka śmignął szczur wielkości królika, niewątpliwy władca całej okolicy. Zajrzeli jeszcze w parę miejsc, bez efektu. Napastnik rozplynął się w powietrzu. Wrócili, nadkładając drogi – ot, tak na wszelki wypadek. Cały obchód zajął im kwadrans.

Bagiński na widok człowieka stojącego w otwartych drzwiach baraku, do którego wracali, uchwycił rękojeść pistoletu spoczywającego w kieszeni. Jeden ruch i przybrał postawę strzelecką.

– Spokojnie, to nasz człowiek – Denisow śmiało ruszył w stronę obcego. – Witaj, Żigariew.

– Wystraszyliście mojego chłopaka. Miałeś być dopiero jutro, i to sam – odpowiedział tamten z pretensją w głosie. – Kim jest ten drażal?

– Właśnie. W tym cały problem.

Rozdział 17

FLOTYLLA PIŃSKA

Podchorąży Mieczysław Arenfeld spał snem sprawiedliwego. We własnym mniemaniu miał do tego pełne prawo. Temperatura zaczęła w końcu spadać. Z nastaniem nocy zaczęło się przesilenie. Odgłos zbliżającej się burzy wcale mu nie przeszkadzał. Przeciwnie, kumulacja wyładowań i następujący po nich łomot deszczu doskonale wpływał na Arenfelda. Po raz pierwszy od paru dni było czym oddychać. Nawet pobyt w 1 Dywizjonie przestał go tak mierzwić. Rano pewnie wszystko wróci do normy ostatnich dni, więc przynajmniej na razie niech pada...

Jakiś grzmot bliższy niż pozostałe wyrwał podchorążego z letargu. Po wodzie huk niósł się daleko, chociaż jeszcze przed chwilą wyglądało, że wszystko przejdzie bokiem. Następna błyskawica rozcięła powietrze, jeszcze zanim jej poprzedniczka zniknęła na dobre. Na zewnątrz ktoś krzyczał. Kiepsko. Możliwe, że piorun spowodował jakieś szkody. Ale to nie jego sprawa.

– Panie podchorąży!

– Morgała, człowieku, daj żyć... – wymamrotał, wciąż balansując na granicy snu i jawy.

Do ogólnego rozgardiaszu przyłączyły się gwizdki podoficerów i bicie w dzwony. To tyle, jeżeli chodzi o odpoczynek.

– Panie podchorąży! Alarm!

Arenfeld otworzył oczy i popatrzył na bosmana, który coś mówił, nawet krzyczał, widział to wyraźnie, tylko że z powodu regularnych grzmotów niewiele dało się usłyszeć. Gdzie buty? Byle jak okręcił stopy owijkami i wcisnął je w sięgające kostek trzewiki. Przykurczony wypełził z wnętrza kutra, pełen najgorszych przeczuć. Blask palącej się kanonierki po drugiej stronie kotwiczowiska skąpał okolicę w upiornym czerwonym blasku. Ludzie skakali do wody. Okręt płonął od dziobu po rufę. Tam już kompletnie nie było co ratować.

Pozostałe jednostki dywizjonu szykowały się do opuszczenia bezpiecznego do tej pory kotwiczowiska. Najmniej problemu miały z tym kutry takie jak jego. Dla monitorów stanowiło to wyzwanie. Ratowało je tylko to, że ogień artyleryjski był bardzo chaotyczny. Obserwatorzy nie widzieli chyba na tyle dokładnie, by wszystkie pociski lądowały w środku zgrupowania. Trafienie kanonierki to czysty przypadek. Jeden na tysiąc, ale i takie się zdarzają.

Arenfeld objął widok jednym długim spojrzeniem, zanim popatrzył w mrok przed dziobem kutra. Gdy na dobre przebił wzrokiem ciemną przestrzeń, huknęły za nim haubice monitora.

Do czego oni strzelają? – on sam nie widział przed sobą nic szczególnego. Przeciwnie, brzeg był dość daleko. Do tego dochodziła ciemność i deszcz. Zupełnie zdezorientowany, zdołał tylko przytrzymać się nadbudówki, kiedy bosman wykonał zwrot.

Czarny nieboskłon przecięła błyskawica. Na sekundę zrobiło się jasno jak w dzień. Rozdziawił usta z niedowierzania. Trzy potężne okręty Flotylli Dnieprzańskiej nadciągały szeroką ławą. To właśnie

do nich strzelał monitor.

Wymiana ognia przybierała na sile. Teraz w niebo poszły flary. Marynarz przy enkaemie oddał pierwszą serię. Smugacze wskazywały tor lotu pocisków, które szybko przemieszczały się za tymi wystrzelonymi przez pozostałe jednostki polskiej eskadry. Nie widział, jak za jego plecami ORP „Wilno” rusza, tnąc gładką powierzchnię wody. Haubice błyskały w regularnych odstępach czasu jak sprawna, dobrze naoliwiona maszyna.

Wszystkie trzy sowieckie jednostki były teraz w „Wilno”. Gejzery wody wybuchały przy burtach, wciąż nie robiąc monitorowi krzywdy, tak jakby matrosom Flotylli Dnieprzańskiej limit cudów już się wyczerpał i kolej przysłała na ludzi komandora Sierkuczewskiego.

Pierwsza salwa oddana z „Wilna” okazała się za długa, druga przeniosła minimalnie, trzecia w końcu trafiła środkową kanonierkę. Przeciwpancerne granaty przebiły pokład i detonowały w kotłowni. Cała obsada zginęła w ułamku sekundy. Okrętem zatrzęsło, jednak cios nie okazał się śmiertelny. Dopiero dwie kolejne eksplozje wyrwały z podstaw działa i przedziurawiły burty. Jak wcześniej blask płonącej polskiej kanonierki, tak obecnie ogień wydobywający się z sowieckiej jednostki rozświetlił środek przygranicznego jeziora.

Zmiana priorytetów nastąpiła błyskawicznie. Kanonierzy „Wilna” obrócili lufy w lewo, rozpoczynając mordercze dzieło od początku. Przewaga Sowietów znacznie zmalała.

Parę pocisków z karabinu maszynowego załomotało o pokład kutra. Umilkł ich Hotchkiss, co przeraziło Arenfelda bardziej niż padający wkoło artyleryjski złom. Jako jedyny nie miał nic do roboty.

– Panie chorąży! – krzyk bosmana przebił się przez hałas. Nieustraszony Morgała za kołem sterowym stanowią prawdziwą opokę. – Potrafi pan?

– Dam radę – odpowiedział z pewnością, której u siebie się nie spodziewał.

Podskoczył bliżej. Odsunął rannego i spróbował przeładować. Nic z tego. Suwadło nie drgnęło ani o milimetr. Szybko pojął dlaczego. Wystarczyło położyć palec na spuście i oddać strzał. Pochylił się nad enkaemem. Trochę ponad pięćset metrów przed nim, nieco na sterburtę, majaczyła ciemna sylwetka. Zacisnął dłonie na uchwycie i wypruł od razu dłuższą serię. Widział, jak trafia. Gdzieś w nim narastał krzyk. W poukładanym młodym człowieku obudziła się bestia.

– Aaaa!!! – był nieśmiertelny, był bogiem. Broń dała mu moc, której nie był w stanie porównać z niczym. Walił teraz bez opamiętania, wrzeszcząc i przeklinając. Przez głowę Arenfelda przelatywały strzępy myśli. Nie potrafił żadnej zatrzymać na dłużej. Obrazy dawnych wspomnień mieszały się z tym, co widział w tej chwili. Już nigdy więcej nie da sobą pomiatać. Nigdy. Czuł się jak heros z nordyckiej mitologii, gotowy miazdżyć młotem wszystko, co stanie na jego drodze.

Dopiero głuchy szczęk iglicy obwieścił koniec amunicji. Poszukał zapasowej taśmy. Gdzieś tu powinna być. O mało nie fiknął kozła do tyłu, kiedy bosman przyśpieszył. Przytrzymał się karabinu i z wściekłością spojrzął na Morgałę.

– Już nie trzeba. Odchodzą.

– Co?! – słabo słyszał. Prawie wcale.

– Odchodzą! – teraz to i podoficer krzyczał na całego.

– Aha...

Sens słów w końcu dotarł do podchorążego, ale wcale to nie znaczyło, że miał dosyć. Dopiero teraz rozgrzał się na dobre. Całkiem poważnie chciał rzucić rozkaz ataku. Jak się przyłożą, któryś z wrogów będzie ich. Opamiętanie przyszło w samą porę. Czy on postradał zmysły? Owszem, mogą kutrem zatopić sowiecką kanonierkę lub monitor, ale tylko pod warunkiem, że ją staranują, a i to nie było pewne.

O ile dla załogi kutra odwrót Sowietów oznaczał koniec bitwy, to dla komandora Mieczysława Sierkuczewskiego próba odejścia wroga na drugą stronę jeziora właściwie niczego nie zmieniała. Artyleryjska potyczka to dopiero początek. Najważniejsze starcie było dopiero przed nimi.

Jak we wszystkich rodzajach sprzętu, także i we flocie rzecznej Sowietów dysponowali przewagą znaczną, chociaż nie przygniatającą. To, co stało się przed chwilą, oznaczało jedynie rozpoznanie walką. Bezbłędnie wymacali dywizjon i unicestwili jedną z większych jednostek. Kolejnym krokiem będzie wpłynięcie na Prypeć i rajd do serca kraju. Strata własnej dużej jednostki nieco ich przytemperuje, jednak z pewnością nie na długo. Gdy tylko wstanie dzień, na niebie pojawią się samoloty, a przed nimi nie da się tak łatwo schronić. Polskich maszyn jest jak na lekarstwo. Sierkuczewski mógł co najwyżej poprosić o jakiś zwiad, to wszystko. Żadnych bombowców, żadnych myśliwców. Niewiele jak na obronę środkowego odcinka frontu. Sytuacja była bardzo poważna, ale i tak komandora śmieszyło, że w tak odległym od morza zakątku kraju linii frontu broniła flota wojenna. Śródlądowa, ale zawsze flota.

Rozdział 18

Temperatura powoli zaczynała spadać i ku rozczarowaniu Marka ponownie zbierało się na deszcz. Wszystko to widział przez niedomknięte drzwi magazynowego kantorka, gdzie odpoczywali.

Kumpel sztabskapitana, Żigariw – ponury, łysy sześćdziesięciolatek, były żołnierz armii Judenicza, a obecnie właściciel rybackiego kutra „Meduza” – wcale nie ukrywał swojej nieufności wobec Bagińskiego. Dawał jej wyraz wręcz przy każdej okazji. Marek nie liczył na serdeczne przyjęcie, jednak takiej niechęci się nie spodziewał, zwłaszcza po protekcji ze strony generała i sztabskapitana. W końcu poczuł rozdrażnienie. Ciągłe docinki i niedopowiedzenia powodowały, że kontakt z szyprem stawał się coraz trudniejszy.

– Już po was... – powiedział właściciel magazynu, kolejny raz prowokując Polaka.

– Naprawdę?

– Widziałem czerwonych w natarciu.

– Ja też, i to zupełnie niedaleko. Załedwie parę ulic stąd.

Twarz morskiego wilka stężała.

Jak chce dalej tak pogrywać, to proszę bardzo. Estończyk był znacznie niższy od Bagińskiego, za to o wiele szerszy w ramionach. Wyglądał na knajpianego zabijakę zdolnego powalić bawołu. Zmylony wyglądem Marka, chciał go zastraszyć. Ot

chłystek, który ucieknie po mocniejszym tupnięciu nogą.

– Nie będziesz mi tu, szczeniaku, podskakiwał.

– Bo co?

– Żigariew, przestań – warknął Konstantin. –
Generał dostanie wścieklicy, jak się dowie.

– Mam go gdzieś.

– Uważaj, Żigariew. Nie ty podejmujesz decyzje.

– „Meduza” jest moja.

– Jeszcze jej nie spłaciłeś.

– I dlatego nie zamierzam jej tracić.

Sztabskapitan wstał i złapał tamtego za kark jak kociaka, co przy przeciętnej posturze Denisowa wyglądało dość żałośnie.

– Kto cię wyciągnął z samego dna, no kto...? Tak okazujesz wdzięczność? Pamiętasz, co przysięgałeś? Jeśli nie, to mogę przypomnieć. No...? Trochę się odkułeś na przemyście, więc uważaj, żebyś tego nie stracił, bo nowi panowie nie tolerują takich jak ty – wychrypiało to wszystko, oddalony zaledwie o dziesięć centymetrów od twarzy przemytnika. Żigariew odchylił głowę do tyłu, ściągając brwi. Patrzył na Denisowa wzrokiem zupełnie pozbawionym emocji.

– Zostaw, Konstantin. Jak ma coś do mnie, niech w końcu powie – Marek zabębnił palcami po stole. – Śmiało. Wiem, że moja gęba niekoniecznie musi się podobać.

Sztabskapitan puścił Żigariewa i wrócił na miejsce. Estończyk poprawił kołnierzyk i strzepnął niewidoczny pyłek z klap wyświechtanej kurtki.

– Czego w końcu ode mnie chcecie?

– Nie udawaj. Mała wycieczka na drugą stronę zatoki.

- Tak za dobre słowo?
- Dostaniesz dolę. Bądź spokojny.
- Kiedy?
- Jak przyjdzie pora, damy znać.
- Myślałem, że zależy wam na czasie. Każda doba

zwłoki...

– Ruszymy, jak wszystko zostanie załatwione – najwyraźniej dalsza rozmowa z przemytnikiem znudziła sztabskapitana. – Możesz iść.

Kiedy Żigariw wyszedł, w pomieszczeniu zrobiło się znacznie milej.

– Niezbyt sympatyczny – Bagiński skrzyżował ręce na piersi.

– Choleryk, oszust i przemytnik, ale bywa użyteczny.

– Nie walczył razem z wami?

– Walczył. Tylko zdezerterował. Generał odszukał go dużo później i złożył propozycję: albo będzie współpracował z nami, albo kula w łeb. Zgadnij, co wybrał?

– Domyślam się – odparł Marek. – Jest lojalny?

Konstantin wysunął dolną wargę.

– Wykonuje dla nas drobne... hmm... przysługi, tak to określmymy. Ma spore znajomości w różnych kręgach, i to w takich, gdzie nam nie wypada się pojawiać. No i ma dojsście do Petersburga. Nie wiem, kogo smaruje, ale parę razy wyciągnęliśmy stamtąd kilka osób.

Robiło się coraz ciemniej.

Początkowo sądził, że trafił na klub dyskusyjny dawnych weteranów, a tutaj, proszę... Skoro oni działali po tamtej stronie, to NKWD robiło to samo po tej. Być może są infiltrowani równie mocno jak wiele podobnych

organizacji na Zachodzie, gdzie czasem nagle okazywało się, że zawiadujący interesem przywódca jest bolszewickim szpiclem. Służby każdego potrafią zmusić do posłuchu. No, może nie każdego, niemniej jednak wielu.

Denisow sprawdził godzinę.

– Na nas pora.

– Skoro tak...

– Nie chciałeś tu chyba nocować – zaśmiał się były sztabkapitan. – Mam wygodniejsze lokum do dyspozycji.

– To chodźmy.

Stres zaczął go opuszczać w najmniej odpowiednim momencie. Już sądził, że zaraz padnie w kącie i zaśnie. Nie, kolego, nic z tego. Dzień miał przygotowanych jeszcze sporo atrakcji.

Rozdział 19

FRONT PÓLNOCNO-ZACHODNI

Z generała Fiodora Kuzniecowa napięcie lekko opadło. Jako jedyny z wyższych dowódców Armii Czerwonej realizował operacje zgodnie z harmonogramem. Tych kilka jednostek estońskich i łotewskich, które próbowały stawiać opór, zostało rozbitych. Z ust paru pułkowników co prawda padł raczej komunikat o rozproszeniu wroga po walkach o średniej intensywności, ale on wolał mówić o rozbiciu przeciwnika. Rozbity wróg to taki, który nie będzie więcej stawał do boju. Z rozproszonym różnie bywało. Uchodził z jednego miejsca, by rozpocząć walkę w zupełnie innym. Tym na razie się nie martwił. To robota dla dywizji NKWD. Ci już będą wiedzieć, jak postępować. Potężna fala represji popłynie niebawem.

Na razie 8 Armia opanowała Tallin i ruszywszy dalej, dochodziła do brzegu Bałtyku. Jeszcze lepiej wiodło się 25 Dywizji Kawalerii z 11 Armii, nieustannie pracującej do przodu. Jej czołówki podchodziły pod łotewską granicę. Stamtąd, po podciągnięciu tyłów i wzmocnieniu jednostkami strzeleckimi, pomaszeruje na południe, na Kowno i linię Niemna. Tak. To, co osiągnął, stanowiło wyraźny dowód na wyższość oddziałów RKKA nad armiami państw ościennych.

W całej pięknie naoliwionej maszynie sukcesu

zgrzytało jedno: Flota Bałtycka, stanowiąca jedno z ramion kleszczy, radziła sobie nie najlepiej. Straty rosły wprost proporcjonalnie do odległości konwoju od Kronsztadu. Zatopione i uszkodzone okręty stanowiły już około jednej trzeciej ogółu wystawionych jednostek. „Marat” poszedł na dno. Obecnie rolę lidera przejął „Kirow” – przynajmniej tak słyszał, bo w tej materii nic nie było pewne. Informacje od Pantelejewa szły najpierw do Tribuca. Dopiero dowódca floty dzielił się nimi, o ile uznał to za stosowne. Pewnie Tribuc wychodził z założenia, że generałowi nic do tego, co robi marynarka – a przecież to on, Kuzniecowa, dowodzi całością! Parę razy chciał w tej sprawie interweniować u Timoszenki, lecz zarzucił ten pomysł. Na marszałku mającym do ogarnięcia wszystkie fronty uwagi generała nic robiły wrażenia. Dowodzi? Niech więc radzi sobie sam. Na szczęście Kuzniecowski nie zabrakło języka w gębie, by w końcu huknąć na Tribuca. Konsekwencją dotychczasowych przemyśleń była szczerą, proletariacką rozmową z admirałem. Obsztorcował marynarza, jak tylko potrafił, używając nader ważkich argumentów, a ten nie pozostał mu dłużny. Gdyby nie to, że rozmawiali przez telefon, doszłoby do rękoczynów. Teraz przynajmniej wiedział, na czym stoi. W dodatku po godzinie, ku zdziwieniu Kuzniecowa, informacje zaczęły spływać w miarę regularnie. Już rozumiał, dlaczego dzielono się nimi tak powściągliwie. Siły lądowe parły do przodu zgodnie z założeniami. Siły morskie natomiast... No właśnie...

•

Szerokie wejście do Zatoki Ryskiej stało przed nimi

otworem. Estońska Sarema pozostawała w tyle. Wystarczyło wydzielić dywizjon niszczycieli i nic, co pływa, nie wyjdzie na Bałtyk i dalej do Szwecji. Dosłownie kawałek dzielił ich od Windawy i leżącej tylko trochę dalej Lipawy. Za parę godzin koszmarny rejs dobiegnie końca. Osiągnął wyznaczony punkt, teraz zajmą bazę, port i lotnisko, co wydawało się niezmiernie ważne.

Po raz już nie wiadomo który kontradmirał Jurij Pantelejew uważnie obejrzał chmury nad okrętem. Można powiedzieć, że weszło mu to w nawyk. Niedaleko dostrzegł klucz myśliwców. Sprawdził godzinę: 12.28. Siła wiatru trzy do trzech i pół, wiatr północno-wschodni. Byle tak dalej.

Marynarz przy kole sterowym wyglądał jak przyspawany do stalowej podłogi.

– Kurs jeden-osiem-pięć.

Muszą trochę wykręcić na otwarte wody. W razie czego będą potrzebować więcej miejsca do manewrowania. Tfu, byle nie pomyślał tego w złą godzinę.

•

Pierwszy płynącą formację dostrzegł major Alfred Peszke. Na krótko wypadł z chmur, zlustrował tor wodny i ponownie skrył się w obłokach.

Wyprzedzał resztę nadlatujących bombowców o ponad dziesięć minut. Tym razem miał tylko zlokalizować i obserwować. Reszta należała do pozostałych. Nadał odpowiedni sygnał i wzleciał ponad chmury, w oślepiająco białe słońce. Jednolita zbita warstwa waty ciągnęła się pod Mosquito na wszystkie strony. Żadnych wrogich maszyn w zasięgu wzroku. I dobrze.

Teraz sprawdzić, gdzie jest konwój. Określić liczbę statków i rodzaj. Wcześniej na podobną misję poleciał Bagiński. Dobry chłopak. Nikt nie wiedział, co się stało z pilotowaną przez niego maszyną. Po prostu nie wrócił do Pucka. Eskadra, którą dowodził Peszke, rozsypała się zupełnie. Co prawda mechanicy wyremontowali uszkodzonego DH.98 i maszynę ciupasem odstawiono do Morskiego Dywizjonu Lotniczego, ale to wszystko, co udało się zrobić. Widoków na nowy sprzęt na razie nie było, a przynajmniej nie w najbliższym czasie.

Własne problemy zepchnął w zakamarki umysłu. Będzie się martwił, gdy już wróci w jednym kawałku, nie teraz. Skupił się na intrygującym postępowaniu Rosjan – po co za wszelką cenę pchają się na południe? Nadzieja, że zrezygnują po stracie „Marata” i przybiją do nabrzeży Tallina, okazała się płonna. Z determinacją godną lepszej sprawy płynęli nadal ku bałtyckim szlakom żeglugowym. Oczywiście, Peszke potrafił wyobrazić sobie powód – odcięcie Gdyni od dostaw z zewnątrz oznaczałoby niewątpliwie klęskę dla Polaków. Pytanie tylko, jaką cenę są w stanie zapłacić Sowietci, by dopiąć swego.

Przesunął dźwęk w przód, wychylając kłapy sterów. Mosquito zareagował od razu. Przebili ograniczający widoczność całun i wypadli kilkaset metrów poniżej, gdzie wśród mniejszych jednostek dostrzegł pękaty kadłub transportowca. Łakomy kąsek, ale jeszcze nie na teraz.

Przekazał stery pomocnikowi, a sam sięgnął po lornetkę. Rozciągnięty na przestrzeni wielu mil konwój zdawał się nie mieć końca. Statki i okręty nanizane na żyłkę jak paciorki, podzielone na dywizjony i eskadry, płynęły równym tempem. Wciąż tym samym od początku operacji. Znalezienie ich to żadna sztuka, wystarczy mieć

mapę i zegarek. Żadnej finezji. Oficerowie polskiej marynarki przypuszczali, że cała flotylla zostanie podzielona na mniejsze grupy z najsilniejszym zespołem bojowym torującym szlak. Dopiero za nim miały podążać transportowce i wolniejsze jednostki. A tak, wszyscy szli jedną wielką gromadą, prawdopodobnie zakładając, że razem bezpieczniej. Cóż, doświadczenie morskie Sowieców, zresztą podobnie jak Polaków, przedstawiało się raczej skromnie. Duże ambicje zepchnięto do małych akwenów. Nic więc dziwnego, że opanowanie sporego kawałka bałtyckiego brzegu stanowić musiało nieodpartą pokusę.

Naliczył trzydzieści siedem okrętów wszystkich typów. Od małych po duże. Każdy z nich to potencjalny obiekt do zniszczenia. Jeśli tylko wystarczy czasu, zajmą się nimi po kolei. Dzisiaj interesują ich wyłącznie ci najwięksi.

•

Najchętniej z nerwów obgryzłby paznokcie. Coś za spokojnie, za spokojnie... Niepokój przyszedł nie wiadomo skąd. Do niedawna czuł jedynie uniesienie i podniecenie przed finałem ekspedycji, a tutaj nagle takie zdenerwowanie, jak przed mającym za chwilę nastąpić nieszczęściem. Odezwał się w nim szósty zmysł – tylko czy praktykującemu marksiście wypada wierzyć w takie sprawy? Jako mały chłopiec chadzał do cerkwi. Woń kadzideł, świec i liturgiczne śpiewy usypiały małego Pantelejewa równie skutecznie jak bajki na dobranoc. Wiele lat później, już podczas walki z religią, kiedy to rozbijali dzwony, a z wnętrza świątyń wynosili ikony

i zrywali z nich zdobienia, wszystko na większą chwałę rewolucji, nie potrafił zdobyć się na ostatecznie świętokradztwo. Jakaś część jego samego wciąż czciła Boga, odrzucając dialektykę i materializm. Podczas odczytów i antyreligijnych akcji zawsze następowało to samo – doznawał ataków paniki. Podobnie jak teraz.

Zwarta formacja sześciu P.46 nadleciała na wysokości 1500 metrów od lewej burty „Oktyabrskoj Rewolucji”. Miała za zadanie ściągnąć na siebie ogień przeciwlotniczy okrętów, co w założeniach powinno ułatwić torpedowym CANT-om umieszczenie ładunku w opancerzonych burtach. Dławiące napięcie prawie paraliżowało umysł kontradmirała.

Dźwięk elektrycznych dzwonek poderwał całą wolną od zajęć załogę na nogi. Łomot butów o stalowe poszycie przeszedł bardzo szybko w pierwsze strzały artylerii przeciwlotniczej. Huk dział kalibru 75 mm i sprzężonych Maximów bardzo szybko zdominował wszelkie inne odgłosy. Pantelejew sprawdził godzinę.

– Proszę podać do Kronsztadu meldunek. Czas, pozycję i to, że jesteśmy atakowani – nadludzkim wysiłkiem zdobył się, by słowa brzmiały konkretnie i rzeczowo.

– Rozkaz.

– Maszyny cała naprzód.

– Jest maszyny cała naprzód.

Po modernizacji zakończonej w 1934 roku „Oktyabrskaja Rewolucja” osiągała całe 23 węzły. Niczego więcej nie można się było spodziewać po okręcie wybudowanym w 1911 roku.

Pokład pod stopami kontradmirała drżał, kiedy dwadzieścia pięć kotłów osiągało szczyty swoich

możliwości.

Tymczasem bombardierzy rozbitej na mniejsze klucze eskadry brali poprawkę na wyprzedzenie. Pancernik przyśpieszył, przyśpieszały też samoloty. Jeszcze chwila i pierwszy z nich rozpoczął ostre schodzenie w dół. Za nim drugi, trzeci i kolejny.

Pantelejew nie mógł ich dostrzec. Przysunął się bliżej iluminatorów, próbując nawiązać kontakt wzrokowy.

Moment. Wytrzymać. Teraz.

– Ster prawo na burt 120 stopni.

– Jest ster prawo na burt.

Ociężałe cielsko okrętu rozpoczęło manewr z powolnością, która doprowadzała go do pasji. W myślach popędzał maszyny i obsługujących je marynarzy. Siłą woli próbował wygiąć stery do ostrzejszego zwrotu. Widział, jak drzewce na dziobie zatacza coraz ostrzejszy łuk, przesuając się w stronę otwartego morza. Gejzer wody tuż przy burcie zbił go prawie z nóg, podobnie jak resztę obsady mostka, ale udało się, udało się... Parę kolejnych bomb spadło w większej odległości. Nie tak łatwo nas dostać!

Wykonując ten manewr, zapomniał o jednym – całą płaszczyznę burty wystawił wprost pod torpedy CANT-ów. To było jak zaproszenie. Parę metrów od powierzchni wody z torpedowców opadły ładunki. Rozbryzg na powierzchni i biała piana prującej w ich kierunku śmierci.

•

Tym razem wstrząs był o wiele silniejszy. Pantelejew padł jak kot. Podkurczył kolana, przykrywając

jednocześnie głowę rękoma. Panował taki hałas, że nie słyszał własnych myśli. Przeczekał najgorsze i wstał. Z przodu wszystko grało. Zrobił parę kroków po pomoście.

Torpeda trafiła w rufę. Uszkodzeniu uległ ster i lewa śruba. Dosłownie przed momentem „Oktiabrskaja Rewolucja” szła pełną parą, teraz wyraźnie zwalniała – jak zawodnik, który już wie, że nie dociągnie do mety. Szczęściem na razie nie było za dużo dymu. Morska woda, której tony wlewały się przez rozerwane burty, musiała ugasić płomienie.

To dawało im szansę. Jeśli nie dojdzie do kolejnego nieszczęścia, dotrą do portu, to tylko kilkadziesiąt mil. O ile pamiętał, „Seydlitz” w trakcie bitwy jutlandzkiej nabrał tyle wody, że pokład ledwo wystawał ponad wodę, a przecież dociągnął ze Skagerraku do Wilhelmshaven. Byle nie zalać kotłów.

Pancernik zatoczył łuk, zawracając dziobem o 90 stopni. Teraz zwarta sylwetka „Kirowa” znajdowała się na wprost, zaledwie parę stopni na prawo.

Działa i karabiny maszynowe nie przestawały strzelać nawet na sekundę. W przypiływie desperacji wystrzeliły wieże artylerii głównej. Niewiele to pomogło. Kolejne stukilogramowe bomby z P.46 spadały, obramowując flagowiec morderczym uściskiem. Któraś w końcu musiała trafić, i trafiła – dziesięć minut po wybuchu torpedy stało się to, czego obawiał się kontradmirał. Prawie jednocześnie kadłubem wstrząsnęły dwie detonacje. Jeden z ładunków eksplodował na nieszczęsnej rufie, drugi na śródkręciu.

Najważniejsze to zachowanie sterowności. Obserwował zachowanie jednostki z uwagą, jakiej nigdy nie poświęcał zonie i najbliższym. Prędkość spadła

do dziesięciu węzłów. Na dodatek przechył na lewą burłę wzrastał z pięciu do około piętnastu stopni.

Musi wyrównać. Od tego zależał dalszy los okrętu.

•

W ocenie krążącego tysiąc metrów ponad pancernikiem majora Peszke los okrętu nie był ostatecznie przesądzony. Całkiem dobrze trzymał się na wodzie. W końcu parę stukilogramowych bomb nie powinno doprowadzić do zagłady okrętu o dwudziestu czterech tysiącach ton wyporności. O wiele większe nadzieje wiązał z torpedami. Jeszcze jakieś dwie, trzy i bez wątpienia załatwią drania.

Nad „Oktiabrską Rewolucję” nadleciał akurat w momencie ataku P.46. Białe odkosy szły od dziobu, a spieniony kilwater wyraźnie pokazywał dotychczasowy kurs. Zwrot ciągnął się w nieskończoność. Z jego perspektywy wyglądało to, jakby dowódca postanowił zawrócić w przeciwieństwie do reszty formacji, którą akurat pozostawiono w spokoju, płynącą wyznaczonym kursem.

Gdzieś od dziobu nadleciał samolot. Szedł bardzo nisko, przez nikogo niedostrzeżony. Major nie widział spadających ładunków. Nie musiał. Ważny był efekt. Wybuch nastąpił gdzieś za kominem na śródokręciu i wyłączył jedną z wież artylerii głównej. Doskonale, ale wciąż za mało.

Dopingował kolejną maszynę nadlatującą nad pancernik. Tym razem nic z tego. Wulkany wody przy kadłubie, i to wszystko.

Prawdopodobnie będą potrzebowali więcej czasu.

Muszą wrócić do bazy, uzupełnić paliwo, bomby, amunicję i znów dolecieć. I tak do skutku, aż załatwią sukinsyna na dobre.

•

– Zalać prawe komory amunicyjne. Zablokować grodzie!

– Zalać prawe komory amunicyjne. Zablokować grodzie.

Echo rozkazu poszło po pomoście bojowym.

Jakoś przetrwali. Nie wiedział jak, ale jakoś przetrwali. „Oktobrskaja Rewolucja” okazała się mocniejsza, niż wszyscy przypuszczali. Zaraz dostanie pierwsze meldunki o uszkodzeniach. Na tak potrzaskanym wraku to nie hańba wracać do portu. Nikt – ani Tribuc, ani dowódca frontu Kuzniecowa, ani sam Timoszenko – nie zarzuci mu tchórzostwa. Wypełnił z honorem obowiązek, a jak mają płynąć dalej na jednostce, która ledwo trzyma się na powierzchni?

Przechył pod stopami wpięrowo niedostrzegalnie, później już wyraźnie zaczął się zmniejszać.

– Towarzyszu admirale, jest meldunek z maszynowni.

– Meldujcie.

Umorusamy marynarz z twarzą, w której jaśniały wyłącznie białka oczu, stał przed Pantelejewem.

– Trzy kotły uszkodzone. Musieliśmy je wyłączyć. Sprawdzamy szczelność następnych.

Dopiero teraz kontradmirał zorientował się, że rozmawia z głównym mechanikiem, a nie z byle marynarzem obsługi.

– Rypin, to wy?
– Ja, towarzyszu admirale.
– Muszę przyznać, że wątpiłem, czy was jeszcze zobaczę.

– Złego diabli nie biorą.
– To znaczy, że wszyscy żyjecie?
– Co najmniej piętnastu moich ludzi już nie, no i jeszcze kilku z obsługi trzeciej wieży.

– Zdarza się.

Na razie Pantelejewa interesował jedynie los okrętu. Ludzie jak ludzie – można ich zastąpić innymi.

– Kiedy się uporacie z kotłami?
– Nie tak szybko. Potrzebuję paru godzin.
– Rypin, wiecie dobrze, jak jest – przez spokojny tembr głosu kontradmirała przebił się pierwszy gniewny akcent. – I tak ledwo płyniemy.

– Trzymaście węzłów to maksimum.
– Bierzcie się do roboty – uciał dalszą dyskusję.
– To nie wszystko – główny mechanik wyglądał teraz jak diabeł.

– No? – popędził go kontradmirał.
– Ster słabo reaguje. Pełne wychylenie nie jest możliwe. Gwałtowne manewry odpadają, bo wszystko pójdzie w cholere, no i jeszcze ten balast w amunicyjnym. Mamy co najmniej tysiąc ton wody. To nie wyrok, ale blisko.

– Zrozumiałem. Wracajcie do pracy.

Pantelejew odprawił mechanika. Musi... Musi wejść do Rygi. Przejście przez całą Zatokę Fińską odpadało. Za daleko i za długo będzie trwało. Dla „Oktyabrskoj Rewolucji” to prawdopodobnie koniec. Gdy już wejdzie do doku, spędzi tam miesiące, o ile nie lata. Naprawa może

okazać się nieopłacalna. Już lepiej zwodować zupełnie nową jednostkę typu Sawieckij Sajuz, niż modernizować tak starego grata.

Grat nie grat, jak na razie zawdzięcza mu życie.

Rozdział 20

WARSZAWA–WILNO

– Słyszycie mnie? ... Cholera! Słyszycie mnie?! – Pełczyńskiego mało nie zalała krew.

Podobno dowodził wywiadem, a nie jest w stanie spokojnie porozmawiać z własnym ośrodkiem w Wilnie. Sygnał to pojawiał się, to znikał, zupełnie jakby zaczął spełniać polecenia sowieckich komisarzy. – Halo... Wilno? – opanował ochotę trzaśnięcia słuchawką o blat biurka. Z doświadczenia wiedział, że przyciskanie widełek również nic nie da.

– Halo – niespodziewanie usłyszał wyraźny baryton Tychenki.

– Tu Pełczyński – uradowany, omal nie pocałował mikrofonu.

– Tychenko przy aparacie, wasze błagarodie.

Może zostać i wielmożnym panem, byle wszystko się udało.

– Nareszcie was znalazłem – przynajmniej w tej jednej kwestii miał prawo do zadowolenia.

– To ważne?

– Nawet bardzo. Zmiana planów. Halo, pułkowniku, jesteście tam?

– Kto o tym postanowił?

– Ja sam. Musicie wiedzieć o zajęciu Estonii i Łotwy i wyjściu oddziałów 11 Armii nad litewską

granicę. Wiecie czy nie?

– Tak – potwierdził rosyjski pułkownik.

– W tej sytuacji nie jestem pewny, czy uda się nam obronić miasto – w końcu wyartykułował obawy większości oficerów Sztabu Głównego. – Słyszycie?! – krzyknął, bo jakiś trzask ponownie pogorszył łączność. – Tychenko, słyszycie?!

– To co teraz mam robić? – głos pułkownika zabrzmiał znowu tak czysto, jakby ten stał tuż obok. Pełczyński aż się wzdrygnął.

– Wyznaczam nowe miejsce. Zostaniecie przetransportowani do Pińska.

– Dokąd?

– Wszystko już zostało załatwione – sam był zdenerwowany, do tego Tychenko albo udawał idiotę, albo nie chciał podporządkować się rozkazowi. – Powtarzam jeszcze raz: do Pińska. To taka mała błotnista dziura na wschodzie.

Nie wiedział, czy jego słowa trafiły pułkownikowi do przekonania, ale jak na razie on dowodził. Za parę dni ten obowiązek weźmie na siebie Tychenko, o ile jego działania będą miały jakiś sens.

Operacji mającej za cel obejście całego litewskiego występu spodziewał się już wcześniej. Dziwne, że decyzja zapadła po tak długim czasie. Jedyne logiczne wytłumaczenie to fakt, że Stawka nie przewidziała rozwoju wypadków. Na przechwyconych planach wyraźnie określono terminy zajmowania kolejnych rubieży, tak by w piętnastym dniu operacji osiągnąć linię Wisły. Plan wyjątkowo ambitny. Dwa tygodnie i Wisła, do tego parę dni na zajęcie Wielkopolski, Śląska i korytarza pomorskiego. W sumie dwadzieścia dni. Z potencjałem,

jakim dysponowali, przedsięwzięcie było całkiem prawdopodobne. Jednak to, co doskonale wygląda na papierze, niekoniecznie sprawdza się w rzeczywistości.

Niespodziewana wizyta ludowego komisarza spraw zagranicznych Wiaczesława Mołotowa w Berlinie wzmogła jego czujność. Wydane dzień później lakoniczne oświadczenie – o umacnianiu tradycyjnych więzów przyjaźni – niczego nie wyjaśniało. To nie w oficjalnych informacjach należało szukać odpowiedzi. Te najbardziej zaskakujące – o przegrupowaniu poszczególnych dywizji i sztabów większych związków taktycznych – napływały z prowincji i przez Enigmę. Dwa totalitarne monolity jak walec parowy napierały na Polskę. Niemiłe uczucie utkwienia w żarnach historii zdominowało wyobraźnię Pełczyńskiego. Chyba nikt w sztabie nie przewidział czegoś podobnego – wojna na dwa fronty nie leżała w ich możliwościach. Wiązanie jednego z przeciwników nic tutaj nie dawało, podobnie jak wycofanie z frontu poszczególnych jednostek. Pięć czy dziesięć dywizji nic nie zmieni. Bez pomocy z zewnątrz, w tym przypadku Londynu i Paryża, zostaną pogrzebani na amen.

Analizując dane, zupełnie zapomniał o Tychence.

– Pułkowniku...

Wcale by się nie zdziwił, gdyby ten przerwał połączenie.

– Tak?

– Jak powiedziałem wcześniej.

– Wszystko jasne.

Rozdział 21

KRONSZTAD

Po raz kolejny w karierze admirał Władimir Tribuc stanął przed wielką niewiadomą. Owa niepewność dusiła go niewidzialną obręczą. Pozazdrościł własnemu zastępcy, który przynajmniej wiedział, co się dzieje. Troska Tribuca sprowadzała się do podstawowej na wojnie rzeczy – informacji, a w jego przypadku jej braku.

Więści, które napływały do niego, były niespójne i chaotyczne, a niejednokrotnie sprzeczne ze sobą. Już wiadomość o zatopieniu „Marata” wstrząsnęła fundamentami jego myślenia. Taki wielki i piękny okręt teraz spoczywał na dnie. Nie potrafił otrząsnąć się z przygnębiającego wrażenia porażki. Jeżeli przy okazji stracą „Oktiabrską Rewolucję” i „Kirowa”, to będzie koniec.

Radiostacja na pancerniku milczała, co mogło stanowić fatalny znak. Podobno flagowiec został storpedowany i doznał ciężkich uszkodzeń. Jakich – na to pytanie nikt nie znał odpowiedzi. Pantelejew nie przeniósł bandery na „Kirowa”, a to znaczyło, że nie jest źle.

Tylko co oznacza obranie kursu z powrotem na północ? Przecież wydał kategoriyczny zakaz powrotu do Kronsztadu. Za jego złamanie groził sąd polowy. Dopóki mogą płynąć, mogą też walczyć.

Schował twarz w dłoniach. Gdyby to wszystko było takie proste! Pamiętał, jak całkiem niedawno Żukow przedstawił projekt skrócenia całego procesu nauki dla oficerów marynarki do paru tygodni. Skoro w lotnictwie obowiązywał przymusowy nabór i szkolenie ograniczone do dwudziestu godzin dla pilotów bombowców i dwudziestu czterech dla pilotów myśliwców, to po co marynarzom aż pięcioletni okres edukacji?

Admirał Nikołaj Kuzniecowa, ludowy komisarz marynarki wojennej, ledwo zdołał wyperswadować ten pomysł Stalinowi. Przyszło mu to z trudem, gdyż przywódca nie potrafił tego zrozumieć. Okręt, czołg, samolot – wszystko o podobnym stopniu skomplikowania, a według najwyższego można je opanować po raptem paru tygodniach nauki. A jak ktoś nie jest w stanie, to najlepiej zastąpić go kimś innym. Skutki takiego myślenia dopiero teraz dawały o sobie znać. Samoloty spadały z nieba setkami, armia dreptała w miejscu, a flota...

•

Stał nad dziennikiem okrętowym, trzymając w rękach ołówek. Ktoś musiał dokonać wpisu i zdaje się, że ten zaszczytny obowiązek spadł właśnie na niego.

14.32 – Trafienie torpedą w rufę.

14.42 – Trafienie dwiema bombami: jedną w rufę, drugą w śródokręcie.

14.46 – Ponowne trafienie bombą w śródokręcie. Wyłączenie z akcji wieży numer dwa.

14.55 – Prędkość 12 węzłów. Kurs 045. Przechył 5 stopni na lewą burzę.

Sprawdził czas. Do tego wszystkiego doszło zaledwie półtorej godziny temu.

Mimo zapewnień Rypina 12 węzłów okazało się wszystkim, co dało się wycisnąć z maszyn. Na dodatek wciąż nie potrafili uporać się z pożarem, który wybuchł po ostatnim trafieniu. Zginęli wtedy prawie wszyscy artylerzyści obsługujący feralną drugą wieżę. Ogień odciął ich na stanowiskach. Doszło do detonacji ładunków prochowych, co okręt zniósł gorzej niż bezpośrednie trafienie. W sumie meldowano już o ponad dwustu ofiarach. Zginął dowódca okrętu, trafiony odłamkiem w głowę, i paru oficerów. Sporą grupę rannych stanowili poparzeni mechanicy, pewnie kilku z nich nie dożyje zejścia na ląd. Wyli teraz gdzieś w czeluściach kadłuba, otoczeni opieką sanitariuszy. Jedynym sposobem na ulżenie ich cierpieniom była morfina aplikowana w dużych ilościach. Przynajmniej tego jednego im nie szczędzono.

Pisać o tym czy nie pisać? Przecież nie wie, jak to wszystko się zakończy. Lepiej poczekać. Dziwne, że w ogóle miał do tego głowę. Jedno działało na jego korzyść – w ostatnich nalotach uwaga Polaków została skupiona na „Oktyabrskiej Rewolucji”. Pozostałe jednostki nie były atakowane. W sumie prawie cały desant wyszedł bez szwanku. Wysadzi towarzystwo w Rydze i po sprawie. Do Lipawy dojadą zarekwirowanymi ciężarówkami lub dojdą na własnych nogach, jeżeli nie będzie innej możliwości.

Przyglądał się mapie, dokąd ewentualnie mógłby skierować desant. Szlag trafił radio, ale wciąż jeszcze może przekazać polecenia morsem.

– Towarzyszu admirale...

Zaniepokojony, nadstawił ucho, by wsłuchać się w pracę maszyn. Nic, co by wymagało interwencji.

– Jeszcze chwila.

– Towarzyszu admirale – głos wachtowego, stojącego na skrzydle mostka, przybrał płaczliwy ton. – „Kirow” oberwał.

Podskoczył jak oparzony, wrywając lornetkę z rąk drugiego oficera. Nie musiał regulować obrazu, był doskonale ustawiony. Z odległości 1800 metrów wszystko wyglądało w porządku. Ten idiota się pomylił. Dopiero nienaturalny obłok czarnoszarego dymu za pierwszym masztem uświadomił kontradmirałowi grozę sytuacji.

Nigdzie nie widział samolotów. To go zwiódło. Ta nienaturalna cisza. Więc co tym razem – mina? Raczej nie. Torpeda podwodniaka – wytłumaczenie chmury pokrywającej krążownik przyszło samo.

Pantelejew trafił w sedno. ORP „Sęp” komandora podporucznika Władysława Salamona w końcu dopadł przeciwnika. Raid za konwojem, którego, jak się obawiali, już nie dojdą, przyniósł im jednak nagrodę. Tym razem udało się nie spartolić okazji. Jeden z trzech wystrzelonych ładunków doszedł celu. Na razie tyle wystarczyło. „Sęp” zszedł na głębokość 70 metrów i obrał kierunek wprost na „Kirowa”, zamiast – jak poprzednio – starać się wyjść poza zespół. Salamon wołał przeczekać najgorsze w środku płynącej po powierzchni formacji, niż czekać na kolejną sposobność zbliżenia się do ofiary.

Przez następne parę minut nic się nie działo. „Kirow” zwolnił o parę węzłów, ale nie wyglądał na ciężko uszkodzonego. Z jego pokładu nadano krótką wiadomość o opanowaniu sytuacji i wszystko wróciło do normy. Prawie.

O 16.15 Polacy przeprowadzili kolejny tego dnia nalot. Podobnie jak poprzednio, cała ich uwaga skupiła się na jednej jednostce. Dla załogi pancernika wszystko rozpoczęło się od nowa. Już uprzednio solidnie oberwali, a tym razem było jeszcze gorzej. Kilka niszczycieli podpłynęło najbliżej, jak to było możliwe, chcąc skupić na sobie uwagę bombowców i torpedowców, jak również zapewnić szczelniejszą osłonę przeciwlotniczą. Ich wysiłki, chociaż chwalebne, spełzły na niczym. W bardzo krótkim czasie flagowiec spowiły dymy. Przy tak niewielkiej prędkości, jaką rozwijali, każdy manewr trwał i trwał bez końca. Wrogie maszyny nadlatywały z różnych kierunków i nawet jeżeli poszczególne ładunki nie trafiały bezpośrednio w jednostkę, to wybuchając dostatecznie blisko, nadwyreżały konstrukcję wysłużonego bądź co bądź okrętu.

Pantelejew stał i wydawał rozkazy, które nie miały już wielkiego znaczenia. Wszystko działo się gdzieś poza nim. Bez mała czuł się jak widz wielkiego widowiska. Duma floty powoli i systematycznie przemieniała się we wrak. Krótki i gwałtowny szkwał, który odpędził samoloty, niewiele pomógł. Przez popękane poszycie i nieszczelne grodzie woda zaczęła zalewać kolejne niżej położone komory i pomieszczenia. Od dziobu po rufę huczał pożar pochłaniający wszelkie palne przedmioty i nagrzewający stal do temperatury kilkuset stopni. W przeświadczeniu większości żyjących tak wygląda piekło. Krzyki, przekleństwa i płacz uwięzionych marynarzy odbijały się echem wewnątrz jednostki. Dla większości z nich nie było już ratunku.

Mimo wszystko pancernik wciąż jeszcze nie tonął. Nadal zachowywał pływalność i potrafił rozwinać prędkość

w granicach pięciu węzłów. Decyzja o opuszczeniu okrętu nie przyszła kontradmirałowi łatwo, w końcu jednak rozkaz o ewakuacji rannych i poparzonych przeszedł przez gardło Pantelejewa. Na miejscu pozostawały drużyny ratunkowe i szkieletowa obsada. On sam postanowił, że zostanie do końca. Czy miał zresztą inne wyjście?

Do wypalonej skorupy, jaką powoli stawała się „Oktiabrskaja Rewolucja”, podszedł jeden z niszczycieli. Podano liny. Pierwsi poszkodowani przeszli na pokład przycumowanego okrętu. Ciężej rannych przenoszono. Wszystko szło dobrze do momentu, kiedy wewnątrz nie szarpnęła kolejna detonacja. Dwa kadłuby rozdzieliły się na chwilę i kiedy potężniejsza od pozostałych fala uniosła lżejszy niszczyciel do góry i rzuciła na pancernik, nie wszystkim dopisało szczęście. Paru marynarzy zostało zmiażdżonych trącymi o siebie stalowymi burtami. Kilku wpadło do wody. Skutek był ten sam, tyle tylko, że zginęli z dala od ludzkich oczu.

Podczas paniki, jaka wybuchła, stratowano paru następnych ludzi. Ewakuowani skakali teraz z pokładu na pokład, łamiąc przy tym nogi lub ginąc w morskich głębinach. Byle dalej od dochodzącego kresu flagowca. Jeden z młodszych oficerów, chcąc zaprowadzić jaki taki porządek, wystrzelił z Nagana w powietrze. Skutek był przeciwny do zamierzonego: zamiast opanować chaos, wzmógł go jeszcze bardziej. Oficerowi wbito bosak w plecy i ciężko rannego zrzucano wprost do wody. Sprawców tego ohydneho czynu nigdy nie zidentyfikowano. Sprawa nabrała rozgłosu, stając się jedną z czarnych kart marynarki. Wszystkich, którzy przeżyli, przesłuchało NKWD. Pomimo że zastosowało stare i sprawdzone metody, nikt nie puścił pary z ust – albo

winowajcy zginęli, albo solidarność wykorzystywanych okazała się większa, niż można się było spodziewać. Ostatecznie sprawę zatuszowano. Z czasem, podawana konspiracyjnie z ust do ust, zaczęła obrastać mitem, w którym to oficer strzelał do usiłujących ewakuować się ludzi i został przez nich usunięty.

To wszystko miało dopiero nastąpić – na razie wciąż trwała akcja ratunkowa. Ważyły się losy kolejnych istnień.

Minęła kolejna godzina, potem druga i trzecia. Zapadł zmierzch, a zdewastowana góra pogiętych blach wciąż nie chciała zatonać. Nawet z dużej odległości jej widok robił wrażenie – czarne, spiętrzone kontury oświetlała czerwona łuna płomieni, kipiących kłębam smolistego dymu na tle granatowoszarego nieba. Wszyscy, którzy mogli, obserwowali to niecodzienne widowisko.

•

– Peryskopowa – komandor podporucznik Władysław Salamon wydał rozkaz z duszą na ramieniu. Ryzykowali, i to cholernie. Znajdowali się właściwie w środku konwoju. Wynurzywszy się do dziesięciu metrów głębokości peryskopowej, narażali się na staranowanie przez którąś z cięższych jednostek. Pytanie tylko, czy ryzyko było opłacalne. W przeświadczeniu Salamona – jak najbardziej. Ilu z jego kolegów mogło sobie przypisać zatopienie pancernika Floty Bałtyckiej? Nikt. Właśnie o to chodzi. Nikt. Tylko on.

– Jest peryskopowa.

– Peryskop w górę.

– Jest peryskop w górę.

Nie szukał daleko. „Oktiabrskaja Rewolucja” stała

w dryfie o pięć kabli od przyczajonego „Sępa”. Salomon nie wiedział, że to już nie „Marat”, tylko jego siostrzana jednostka.

– Wyrzutnie cztery, pięć, sześć w gotowości.

Rozkaz powędrował dalej.

– Kurs jeden-jeden-zero. Trzy węzły.

Czuł, co się dzieje za jego plecami – pełne skupienie i napięcie.

– Zalać wyrzutnie.

Tak będzie idealnie.

– Pal.

Torpedy poszły, odpalane w sekundowych sekwencjach.

– Peryskop w dół.

Nie chciał dłużej ryzykować. Jeśli trafią, i tak usłyszą pękający kadłub. Żałował, że nie może tego zobaczyć, ale lepiej wynieść cało głowę, niż napawać się widokiem przez krótką chwilę i zaraz potem pójść w ślady storpedowanej jednostki.

– Zanurzenie pięćdziesiąt metrów. Kurs dwa-dwa-pięć.

Tym razem musi im się poszczęścić.

Ślady sunących ku celowi ładunków zostały dostrzeżone dość szybko. Zaraz cały obszar obłożono bombami głębinowymi, acz bez skutku. Pancernikowi to już nie pomogło. Wszystkie trzy torpedy dosięgły celu. Ich detonacje zwały się w jeden donośny huk. Nadwyreżone grodzie nie wytrzymały naporu kolejnych setek ton napierającej na nie wody. W ciągu paru minut okręt położył się na lewą burtę. Stojący na mostku kontradmirał Jurij Pantelejew stracił równowagę. Starał się jeszcze przytrzymać steru. Nic z tego. Przeleciał przez

pomieszczenie i zatrzymał się na stalowej ścianie. Wiedział, że na ratunek jest za późno, a mimo to instynkt samozachowawczy kazał mu walczyć. Tymczasem po osiągnięciu czterdziestopięciostopniowego przechyłu pancernik zaczął zsuwać się pod wodę. Najpierw bardzo powoli i niechętnie, w końcu jednak masy morskiej wody wypełniły ostatnie puste do tej pory przestrzenie i dymiący wrak pogrążył się w czarnej otchłani.

Rozdział 22

Popołudnie i wieczór upłynęły Bagińskiemu w nieustannym ruchu. Dawno się tak nie nachodził. Razem z Konstantinem szli od mieszkania do mieszkania, zanosząc polecenia i rozkazy. Nie wszystkich zastali. Część mieszkańców opuściła Tallin wcześniej. Zostali najwierniejsi i najwytrwalsi.

Parę razy nadłożyli drogi. Sowieckie kolumny wciąż napływały do stolicy Estonii. Zakładano punkty kontrolne i rewidowano pierwszych zatrzymanych. Takich niebezpieczeństw woleli unikać. Konstantin dysponował odpowiednimi papierami – Marek nie. Jedna nieostrożność i pożegna się z wolnością albo i z życiem.

Trzykondygnacyjna kamienica, przed którą stanęli, nie różniła się zbyt wiele od innych wokół. Może była odrobinę nowsza, a może tylko elewacja została niedawno odmalowana, kto to może wiedzieć. Gdy znaleźli się przed nią, Bagiński był już na ostatnich nogach. Mimo to nie dane mu było odetchnąć, czas naglił. Weszli do środka. Drewniane schody prowadziły na wysoki parter, dalej na klatkę i do górnych pięter. Konstantin poszedł przodem.

– Sergiusz Łużyn nas przenocuje – sztabkapitan położył rękę na poręczy i, pojękując, dźwignął się do góry. Jemu również ostatnia doba dała się we znaki. – Jest jednym z najbardziej zaufanych ludzi generała, więc siłą rzeczy na jego barki spada sporo obowiązków. Poza tym wiele razem przeszli.

– Widzę, że staje się to normą

– Słucham?

– Nic takiego – Marek się zreflektował. Powinien powstrzymać się od złośliwości. W końcu od postawy i sympatii tych ludzi zależał jego los.

Na piętrze zobaczyli troje solidnych drzwi strzegących wejścia do mieszkań.

– Padam z nóg – Denisow zapukał do środkowych.

Marek również miał już dosyć. Nie wszedł na piętro, tylko przystanął na schodach, opierając się plecami o ścianę.

– Śpi czy co... – Estończyk załomotał mocniej, aż echo poszło po korytarzu.

– Ciszej – zachowanie współtowarzysza nie pasowało do konspiracyjnego nimbu tajemniczości, jakim starał się otaczać wszystko, co robili.

– Nie mam ochoty sterczeć tu do jutra.

– Spróbuj jeszcze raz. Tylko delikatnie – ostrzegł Bagiński.

Konstantin tym razem spokojnie podszedł do sprawy. Co z tego, skoro efekt ciągle był taki sam.

Jeżeli ten cały kumpel generała jest taki zasłużony, to dlaczego nie otwiera? Chyba nie wyszedł po chleb. Sztabskapitan nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły z cichym jękiem. Popatrzyli na siebie zdumieni. Denisow skinął głową.

W korytarzu sąsiedniego mieszkania Bagiński usłyszał chrobot. Ciekawscy? Szybko przemknął pod judaszem wprost za znikającym szybko w środku Estończykiem. Przymknął drzwi, lecz nie zamknął ich zupełnie. Wszędzie panował półmrok i jakiś niezidentyfikowany zapach.

– Łuzyn, jest pan tam?

Panująca cisza przeczyła czyjejkolwiek obecności. W głębi tykał zegar i to był jedyny dźwięk, jaki dochodził do ich uszu. A jednak ktoś tam był. Leżał w salonie na podłodze, przekrzywiony, z rękoma bezwładnie rozrzuconymi na boki.

Marek przytrzymał Konstantina, który chciał podbiec. Odruch jak najbardziej normalny, tyle że nie wiedzieli, czy w ciemności nie czai się inne zagrożenie. Atak serca od razu można było wykluczyć, zwłaszcza na widok kałuży krwi wokół roztrzaskanej głowy.

Wyminął Konstantina i przykucnął nad zwłokami. Niewiele widział, cień rzucany przez stół i sofę znacznie zawęził pole widzenia. Najdelikatniej, jak potrafił, sprawdził puls. Nic nie zdradzało oznak życia. Pochylił się niżej, by dokonać oględzin. Widział to w kinie. Nic tak nie wpływa na wiedzę, co należy zrobić w tak niecodziennych okolicznościach, jak zręcznie zrealizowana filmowa produkcja. Nie tylko głowa została roztrzaskana. Broczyły również jakieś rany na tułowiu. Pewności nie miał, niemniej wyglądało na to, że w użyciu był nóż.

Czym ten człowiek sobie zasłużył na zasztyletowanie i cios czymś ciężkim w głowę? Kolejność była bez znaczenia. Skuteczność stuprocentowa.

– Idziemy.

– Co z nim?

– Nie widzisz? Koniec. Nieodwołalny i definitywny... – chciał jak najszybciej opuścić mieszkanie. Wewnętrzne porachunki zupełnie go nie obchodziły.

Gdzieś obok szcęknęły otwierane drzwi. Cholera, że też nie zamknął tych, przez które weszli! Znieruchomiał.

Kopniak – i zobaczył przed sobą wyraźną sylwetkę.

– Stoj!

Skórzana kurtka, także czapka oficerki i wycelowany w niego Nagan. Ci na pewno nie służyli w estońskiej policji. Za pierwszym stało dwóch kolejnych. Ależ im się trafiło. Trup i podejrzani na miejscu zbrodni. Na dodatek kontrrewolucyjni działacze. Czyż mogło być lepiej?

Ten z korytarza wyglądał na pewnego siebie. Wycelowany między oczy Bagińskiego rewolwer nie drgnął ani o milimetr.

– Ot, swołocz...

Wpieprzyli się po same uszy. Zastawiono na nich pułapkę, a oni weszli w nią jak w masło. Enkawudzista podszedł całkiem blisko. Prawie przyłożył lufę Nagana do skroni Bagińskiego.

– My znamy takich... – Rosjanin nigdy już nie dokończył tej kwestii, bo Marek zszedł z linii strzału. Nie sądził, że to jeszcze pamięta, ale widać londyńskie treningi nie poszły na marne. Założył blok na rękę z rewolwerem, wytrącając go enkawudziście. Ten, zaskoczony, nie próbował się bronić. Zresztą nie zdążył nawet pomyśleć, jak to zrobić, bo poleciał do tyłu na podłogę.

Na wyciągnięcie Visa Marek nie miał czasu. Przeskoczył nad powalonym, jednocześnie wymierzając kopnięcie do tyłu. Zmiażdżył szczękę i tchawicę tamtego, nawet nie wiedząc kiedy. Pozostali szarpali się z kaburami. Nos pierwszego z ohydnych chrupnięciem znikł pod uderzeniem głowy Marka. Akurat w porę, by Polak zasłonił się bezwładnym ciałem przed wystrzeloną kulą.

Popchnięty zewłok wyładował na ostatnim przedstawicielu resortu, na którego czele stał Ławrientij

Beria. Lewą nogą przycisnął dłoń z rewolwerem, miażdżąc palce zaciśnięte na spuście i rękojeści broni.

– Pustiii!

W sentymenty będą bawić się inni. Z poharatanej dłoni wyciągnął Nagana i podał stojącemu za jego plecami Konstantinowi.

– Wiesz, co robić.

Nie oglądając się za siebie, zbiegł po schodach. Dosyć narobili hałasu. Już na dole usłyszał strzał. I to tyle, jeżeli chodzi o zasadzkę.

– Ten u góry to ktoś ważny? – zapytał, gdy sztabskapitan stanął obok.

– Prowadzi siatkę wywiadowczą. Zawsze taki ostrożny – pokręcił głową.

– No, to już wiemy, dlaczego na nas czekali – Bagiński pośpiesznie pomaszerował w prawo.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Konstantin starał się dotrzymać mu kroku.

Zignorował pytanie. Cała znajomość z organizacją emigrantów zaczęła prowadzić donikąd. O ile początek przedstawiał się obiecująco, to potem... Aż do fatalnej końcówki. Swoją drogą, nigdy nie sądził, że jego isticie cyrkowe umiejętności okażą się tak przydatne. Ćwiczenia pod okiem mistrza Czanga uważał za stratę czasu, a tutaj – proszę bardzo – zupełnie niespodziewanie powalił trzech sowieckich czekistów i nawet się przy tym nie zasapał. Samym boksem niewiele by wskórał.

Jednak nie to było najważniejsze. Morderstwo – bo właściciela mieszkania zlikwidowano w brutalny sposób – raczej nie wskazywało na działania NKWD. Regularny kocioł, w który wpadają wszyscy przeciwnicy władzy ludowej, pasował do nich bardziej. W końcu nie byli aż

takimi idiotami, żeby mordować podejrzanych przed przesłuchaniem. A może byli? Kto ich tam wie.

Łużyn stawiał opór, oberwał i zszedł. To tłumaczyłoby rozbitą głowę, ale nie klute rany tułowia. Przecież nie szturchali go szpikulcami. Gdzieś tkwił haczyk, o którym nie miał pojęcia. Akurat o niego samego chodziło najmniej. Do niedawna nie wiedzieli o jego istnieniu. Już raczej wuj Franciszek. Ten miał doświadczenie i głowę nie od parady. Jeśli nie wyjechał z Warszawy, to pewnie spiskuje z Pełczyńskim. Na pewno nie pozostał bierny i nie obserwuje z bezpiecznej odległości zachodzących wydarzeń. Tęsknota za krajem szarpnęła Markiem z niespodziewaną siłą. Po prostu czuł się tu obco. Tak naprawdę nic go nie łączyło z ludźmi tutaj. Był na ich łasce i już.

– Słuchaj, Konstantin, nie będziemy tak łązić bez końca – Marek przystanął i pochylił się, oparłszy ręce o kolana. Adrenalina krążąca w krwioobiegu powoli przestawała działać. Zmęczenie brało górę.

– Wracamy do magazynu – zdecydował Denisow, równie wykończony.

– W którą to stronę?

– Tam.

Znacznie wolniejszym niż dotąd krokiem przecięli po skosie jezdnię i niewielki placyk. Po jego drugiej stronie ponownie zagłębili się w kręte uliczki.

– Nie chcesz zawiadomić generała?

– Poproszę Żigariewa. Wyśle łącznika.

– Najlepiej będzie, jak staruszek zniknie. Nie jestem specjalistą, ale na miejscu NKWD miałbym go na oku. Takich jak on zatrzymują w pierwszej kolejności.

– Wiem – mruknął ponuro sztabskapitan.

Ominęli szerokim łukiem rozkraczoną na poboczu ciężarówkę pełną sowieckich bojców. Spod uniesionej maski silnika szły kłęby pary. Oficer darł się na kierowcę, który bezradnie rozkładał ręce. Reszta zachowywała obojętność. Wszystko dobrze, póki to nie oni padają ofiarą szykan.

W niewielkim sklepiku kupili chleb, kawałek sera i paczkę tytoniu. Tylko tyle wystawiono na sprzedaż. Idąc coraz wolniej, dotarli w końcu do magazynu.

Marek opadł na krzesło. Prawie jak w domu.

Rozdział 23

MOSKWA

Nie pamiętał, kiedy ostatnio panowała taka cisza jak podczas zebrań biura politycznego. Wszyscy milczeli, nikt nie chciał zabrać głosu. Przedmiotem kontemplacji było głównie zielone sukno stołu, często też własne paznokcie. Doprawdy sądził, że wybrał najlepszych i najwierniejszych. Takich, którzy zechcą się z nim podzielić dobrymi i złymi nowinami. Tymczasem ci tutaj wyglądali jak wypchane kukły bez życia. Chwilami wątpił, czy niektórzy choćby oddychają. Taki Timoszenko na przykład. Łysa, wielka głowa podparta szerokim kołnierzem kurtki, której wielkie złote gwiazdy z wieńcami wskazywały rangę marszałkowską. Wzrok wbity nieruchomo w portret Lenina wiszący naprzeciwko. Siedzi i patrzy. Niewiele, jak na ludowego komisarza obrony. Podobnie jak były szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej Borys Szaposznikow. Tego od Timoszenki odróżniał tylko przedziałek na środku głowy. Cała reszta – nieruchomy wzrok i ociążałe oblicze – jak wyżej.

Jedyne ludzkie odruchy dostrzegął w Żukowie. Na jego ustach igrał uśmiech wioskowego idioty, nasuwając skojarzenie z osobą nie za bardzo wiedzącą, gdzie jest i co tu robi. Więcej wojskowych nie było. To w końcu posiedzenie władz państwowych, nie generalicji.

Najważniejszy punkt programu: w końcu najwyższe władze dowiedzą się o zawartym i parafowanym już przez niego sojuszu z Berlinem. Rozmowa, jaką przeprowadził z Mołotowem, gdy ten powrócił ze stolicy Niemiec, upewniła go w przeświadczeniu o dokonaniu właściwego wyboru. Wszystko zapowiadało się wprost idealnie. Niemcy przyjęli ludowego komisarza spraw zagranicznych z otwartymi ramionami. Jak mówił, czuł się tam jak wśród starych, wypróbowanych partyjnych towarzyszy. Kanclerz Göring i minister Ribbentrop nie czynili żadnych trudności. Aż dziw, że sami nie zaproponowali sojuszu.

To wszystko przedstawi później, obecnie chciał pozyskać informacje o innych ważnych sprawach.

– Powiedzcie mi, Siemionie Konstantynowiczu, jak tam operacje naszej floty? Podobno nie wszystko idzie zgodnie z założeniami.

Twarz Timoszenki nawet nie drgnęła. Marszałek w końcu opuścił wzrok i skupił się na zebraniu.

– Odnotowujemy przejściowe trudności.

– Te trudności to rozwalenie „Marata” i „Oktiabrskiej Rewolucji”?

– Mówiąc szczerze, wydarzenia nas przerosły.

Samokrytyka marszałka spodobała się Stalinowi. Nie zrzucał odpowiedzialności na Kuzniecowa, Tribuca czy pozostałych dowódców floty. Najgorsze brał na siebie – licząc się z konsekwencjami. To pewnie dlatego Żukow jest taki zadowolony. Pewnie ma ochotę na jego miejsce. Niedoczekanie.

– Czyli co, mamy spisać bałtycką flotę na straty? – pytanie zabrzmiało cicho, lecz dobitnie. – Gdyby, podkreślam, gdyby chodziło o wyeliminowanie równorzędnego przeciwnika, przyjąłbym

to do wiadomości.

Równorzędnym przeciwnikiem dla Floty Bałtyckiej była jedynie Kriegsmarine. Nikt inny na Bałtyku nie posiadał sił choćby zbliżonych do potęgi reprezentowanej przez te dwa państwa. Co z tego, skoro czas ciężkich pancerników i liniowców mijał bezpowrotnie. Lepszy efekt dawały sprawne siły powietrzne, co właśnie udowodnili Polacy. Tyle tylko, że na tym polu Armii Czerwonej również nie wiodło się najlepiej. Nikt nie znał nawet szacunkowej liczby straconych przez nich maszyn. Słabo wyszkoleni piloci ginęli setkami, jeśli nie tysiącami, w maszynach nie całkiem dla nich odpowiednich. Owszem, założenia konstrukcyjne i plany wyglądały znakomicie, gorzej z wykonaniem poszczególnych płatowców. Seryjnie produkowane bombowce i myśliwce odbiegały od wymuskanych prototypów, na co składała się zła jakość materiałów i wykonania. Rannego piechociarza czy czołgistę dało się wynieść z pola bitwy. Lotnicy ginęli wraz ze swoimi maszynami. Jeśli cokolwiek zawiedzie na wysokości kilku tysięcy metrów, szanse na przeżycie nie były wielkie.

Josif Wissarionowicz machnął ręką, jakby chciał odgonić to, co wcześniej powiedział.

– Jesteście jak dzieci we mgle – jeszcze trochę pogroził pięścią Timoszence. Tak na pokaz, niech wiedzą. Akurat dzisiaj im daruje. Czas przejść do spraw zasadniczych.

– Niektórzy z was już wiedzą... – powiódł spojrzeniem po reszcie zebranych – o wizycie Wiaczesława Mołotowa w Berlinie.

Wiedzieli. Wyczytał to z ich oczu i twarzy. Na pewno pobyt ludowego komisarza spraw zagranicznych

w Berlinie nie uszedł ich uwadze. Nie wiedzieli tylko, o co chodziło.

– Stajemy przed trudnym zdaniem, towarzysze – tak jak się spodziewał, oczekiwali szczegółów. – Drogi Wiaczesławie, przedstaw wypracowane przez nas i naszych niemieckich sojuszników stanowisko wobec Polski.

Mołotow mówił przez parę minut. W zasadzie sprowadzało się to do prezentacji projektu Stalina i odpowiedzi, jaką uzyskał w Berlinie.

– W jakim terminie nastąpi atak? – zapytał Szaposznikow.

– Wehrmacht nie jest dostatecznie gotowy do działania. Przejście do pełnej gotowości i bezpośredniego natarcia zajmie im minimum tydzień.

– Tydzień, kiedy my ściągnęliśmy na siebie wszystkie polskie dywizje? Zaplecze jest zupełnie odsłonięte. Oprócz paru jednostek rezerwowych nie ma tam nic godnego uwagi.

– Tak myślicie?

– W przeciwieństwie do nas Polacy zaangażowali wszystkie siły, żeby nas powstrzymać. A skoro niemieckie siły zbrojne są tak dobre, jak o nich mówią, powinni uporać się z problemem w parę dni.

– Skoro tak, to jaką mamy pewność, że pozostaną na określonych przez traktat pozycjach? – w słowach Timoszenki było sporo racji.

– Słusznie rozumujecie – pochwalił marszałka Josif Wissarionowicz. – Dlatego musimy wzmóc czujność i stanowczo egzekwować decyzje polityczne.

Jemu również podobna myśl przyszła do głowy. Rozważając decyzję o operacji „Burza”, brał pod uwagę siły zbrojne wszystkich przeciwników. Najbardziej obawiał

się Francuzów. Nie Niemców, Anglików czy Polaków, ale właśnie Francuzów. Niemiecki Ober Ost sam poszedł w rozsypkę pod wpływem rewolucyjnego wrzenia i załamania państwa. Brytania królowała na morzach i oceanach – co prawda w świetle dokonań jego własnej floty mogło mu to podnosić ciśnienie w żyłach – ale na lądzie niewiele miałyby do powiedzenia. Z Polakami właśnie się borykał. Zagadkę stanowili jedynie Francuzi ze swoją doskonałą, jak oceniał, armią lądową. W końcu pobili boszów w krwawej i zażartej wojnie pozycyjnej. Co zrobią, stanowiło zagadkę. Jeżeli uderzą na tyły Wehrmachtu, to Niemcy na pewno przeniosą część jednostek na zachód. Czy w takim razie te, które zostaną na wschodzie, wystarczą do zajęcia Pomorza, Wielkopolski i Śląska?

Ta cholerna Polska okazała się twardszym orzechem do zgryzienia, niż się spodziewał. Zresztą – wszystko jedno, co się stanie, najbliższy tydzień przyniesie rozstrzygnięcie.

Rozdział 24

Zasnął na siedząco, z głową opartą o stół. Konstantin drzemał na pośpiesznie skleconym posłaniu z worków. Przynajmniej do rana nikt nie powinien zakłócać im spokoju.

Pod czaszką Marka wciąż kotłowały się obrazy ostatnich godzin. Właśnie ostatnich, bo epizod zestrzelenia powoli schodził na dalszy plan, za to trup szefa tutejszej siatki szpiegowskiej białogwardzistów jakoś nie chciał ulecieć z jego wyobraźni.

Kto mógł załatwić staruszka – to pytanie wracało jak bumerang, nie znajdując odpowiedzi. Major Dobrzański – ten by wiedział, co należy zrobić. Bardzo żałował, że go tutaj nie ma. Wspomniął walkę stoczoną w Moskiewskim Pałacu Sportu z Zacharem Pielepinem. Jego ówczesny przeciwnik równie dobrze mógł już nie żyć, a Pe-2, którym latał, spoczywać w kawałkach na ziemi. Nie życzył mu źle, ale trwała wojna, a na wojnie, jak na wojnie – nikt nie wybiera kuli dla niego przeznaczonej.

Pomimo zmęczenia i pogmatwanych myśli był czujny jak kot. Szmer na zewnątrz – to był człowiek. Dźwignął głowę ze stołu i usiadł wyprostowany, wpatrując się w drzwi wejściowe.

– Och, kłopoty z zaśnięciem? – stary przemytnik przystanął zaskoczony. Chociaż jego twarz ginęła w mroku pomieszczenia i w cieniu lusterka na lampie naftowej, którą trzymał przed sobą, to zdumienia nie udało mu się ukryć.

– Proszę wejść. W końcu jest pan u siebie.

Konstantin mocniej zachrapał. Jemu najwyraźniej rozmowa nie przeszkadzała. Żigariw wszedł ostrożnie jak do gniazda żmij.

– Co się tak gapisz? Człowieka nie widziałeś? – Estończyk przeszedł przez kantor, najwyraźniej w nie najlepszym humorze. W czarnej skórzanej kurtce sięgającej uda i marynarskim golfie robił posępne wrażenie. Lekko zezujące oczy wodziły spojrzeniem wokół, omijając rozmówcę.

Marek wyciągnął z kieszeni papierosy.

– Zapalimy?

– Za słabe. Wolę własne.

Gdy przemytnik podniósł zawiniętą w papier machorkę do ust, Bagiński dostrzegł ciemne obwódki wokół paznokci. Patroszył ryby czy co?

– Nie sądziłem, że was tu spotkam.

– Tak wyszło – odparł enigmatycznie Bagiński. – Długo znacie Konstantina?

– A od początku. Jeszcze z poprzedniej wojny – Żigariw wypuścił kłęb dymu prosto w twarz Marka. – Wszyscy dostawaliśmy po dupie, aż piszczało.

– Niektórych dotknęło to bardziej.

– Straciłem warsztat. Jakieś pięćset rubli rocznie. Majątek – rozmarzył się Estończyk. – Jak na ślusarza całkiem porządna robota. Żyłem jak pan, a zlecenia brałem z całego Petersburga, od hrabiów i książąt. Sam wielki książę Mikołaj mnie chwalił – łypnął okiem na Polaka, sprawdzając, czy aby nie przesadził. – Byłem młody – dodał jakby na usprawiedliwienie czy wytłumaczenie samochwalstwa. – Potem przyszła rewolucja, a przed nią wojna z Niemcami. Widziałem początek. Tylu pełnych

zapału i poświęcenia poszło na front i zginęli co do jednego.

– Wierzył pan w cara?

Szyper popatrzył na Bagińskiego co najmniej zdziwiony.

– W cara, w Lenina, co za różnica.

– Chyba jednak jakaś jest. W końcu wybraliście właściwą stronę.

– Ja wybrałem? Za mnie wybrali. Wystarczyło znaleźć się w nieodpowiednim miejscu i w nieodpowiednim czasie. Wyboru wielkiego nie było. Przynajmniej walczyć nie musiałem. Dłubałem przy broni jako rusznikarz.

– Widywaliście Sergiusza Łużyna?

– Czemu was to interesuje?

– Nic, tylko pytam – Marek rzucił niedopałek na deski podłogi i przydeptał obcasem. – Znaczący się, od dwudziestu lat mieszkacie w Tallinie, prowadzicie interesy i pomagacie starym przyjaciółom.

– Coś w życiu trzeba robić.

– Słusznie.

– Zresztą, co to za życie. Raczej wegetacja – stary wskazał brodą otaczające ich ściany.

Bagiński zupełnie nie wiedział, co sądzić o tym człowieku, zgorzkniałym i pełnym pretensji do wszystkich. W miarę pewne było to, że jeszcze do niedawna wiodło mu się lepiej niż pozostałym i że własny interes stawiał ponad wszystko. Zawsze taki był czy dopiero w ostatnich dniach tak mu się zawężyły horyzonty?

– „Meduza” jest zacumowana niedaleko. Mały spacer dobrze nam zrobi.

– Wolę zostać – szwendanie się po śliskich kejach

o czwartej nad ranem w tak antypatycznym towarzystwie zupełnie nie interesowało Bagińskiego. Skąd ten nagły pomysł i dowód sympatii?

– To najszybsza łódź na całym Bałtyku. Zobaczysz.

– Nie wątpię – Marek ziewnął przeciągle. – Idź sam.

Ja poczekam.

– Mam tam parę rzeczy, które mogą cię zainteresować – kusił Estończyk.

– Wyobrażam sobie – burknął pod nosem. – Jeżeli nie jest to składany samolot, to raczej sobie daruję.

– Co takiego?

– Nic.

Nie chciał zrazić do siebie przemytnika. W końcu był na jego łasce. Na obecnym etapie szukanie nowych kontaktów w mieście opanowanym przez NKWD to zajęcie obciążone sporym ryzykiem. Już widział siebie, jak przemierza zrujnowane ulice, wypytyując: – Przepraszam, czy będzie pan łaskaw podrzucić mnie na drugą stronę zatoki? Tylko chaosowi pierwszych godzin okupacji zawdzięczał fakt, że jeszcze był na wolności.

– I trochę samogonu się znajdzie.

Marek starł resztki snu z twarzy.

– Prowadź.

Zagłębili się w labirynt magazynów i drewnianych szop. Pomiędzy nimi rozwieszono rybackie sieci. Pod nogami wały się boje i przerdzewiałe części silników. Wydeptana ścieżka prowadziła bezbłędnie aż do nabrzeża.

Plusku fal o burty ustawionych jeden przy drugim kutrów i drewnianych słupów nie dawało się pomylić z niczym innym. Tak zapamiętał wakacje z dzieciństwa. Zupełnie nie potrafił wskazać miejsca, gdzie je spędzał. Pamiętał tylko szum falującego morza.

„Meduza” nieznacznie odbiegała wyglądem od przycumowanych obok jednostek. Odrobinę dłuższa i może nieco szersza, z masztem pośrodku kadłuba. Przeszli na pokład po trapie z deski.

– I jak? – Żigariw zachowywał się jak handlarz oferujący towar na sprzedaż.

– Ummm.

– Jest szybka i niezawodna – szyper uwijał się jak w ukropie, przestawiając skrzynki tarasujące zejście do ładowni.

Ile razy to będzie podkreślał? Pływała, i tyle. Ta jego nagła egzaltacja wydała się Markowi nieszczerą, podszyta nerwowością. Czego on chce? Po nieskrywanej nieufności i opryskliwości nagle taka przyjaźń. Podświadomie odnotował, że Estończyk cały czas ustawiał się za jego plecami, obchodząc go z obu stron. Zawsze był gdzieś z boku, kręcąc się i zagadując. Za każdym razem Marek stawał doń frontem, co wynikało bardziej z bokerskiego doświadczenia niż z jakiejś strategii. Brakowało jedynie wymiany ciosów i uników. Za każdym takim podejściem Żigariw irytował się coraz bardziej, maskując emocje gadulstwem.

W pewnym momencie Marek pozwolił się zająć, odwracając głowę w ostatniej chwili. Stanęli twarzą w twarz. Szyper zmrużył oczy i dość silne klepięcie, którego już nie zdołał wycofać, spadło na ramię Polaka.

Już teraz walnąć go w pysk czy poczekać? Powstrzymał chęć oddania ciosu, czekając, co zrobi tamten.

Estończyk zacisnął usta. Nerwowy grymas przebiegł mu przez twarz.

– Na dole mam wódkę. Chcesz?

– Jasne. Ty przodem.

Zeszli w dół ładowni śmierdzącej rybami. Gospodarz wyciągnął z zakamarków flaszkę mętnego płynu. Przechylił ją do ust i pociągnął spory łyk. Przewyciężając obrzydzenie, Marek zrobił to samo. Samogon czuć było fuzlem. Odbiło im się potężnie.

– Jeszcze?

– Wystarczy.

Poprzedni dzień nie miał końca. Obecny zapowiadał się podobnie.



Rozdział 25

Przez noc zasnutą mgłą podążała w szyku torowym eskadra okrętów. Na początku ORP „Gryf”, za nim w półmilowych odstępach „Błyskawica”, „Grom”, „Wicher” i „Burza”. Wszystkie duże polskie okręty w komplecie i wszystkie z jednym zadaniem – przechwycić i zniszczyć każdą wrogą jednostkę, jaka do tej pory utrzymała się na wodzie. Na razie Flota Bałtycka została rozbita, ale bynajmniej nie unicestwiona. Po wyeliminowaniu „Marata” i „Oktiabrskoj Rewolucji” oraz uszkodzeniu „Kirowa” cała tak starannie wypracowana przewaga Sowietów znacznie stopniała. Z ostatnich doniesień powietrznego zwiadu wynikało, że większość konwoju poszła w rozsypkę. Dowódcy poszczególnych jednostek na własną rękę podejmowali decyzje o dalszym działaniu.

„Kirow” w towarzystwie „Leningrada” płynął z prędkością około pięciu, sześciu węzłów na północ. Obszar, w którym znajdowały się obie jednostki, komandor Stefan Kwiatkowski zdecydował się ominąć szerokim łukiem. Na północ od tego miejsca pływało dość okrętów godnych uwagi. Poza tym rozkazy przekazane przez radio jasno mówiły, że transportowce z desantem są ważniejsze od ostatniego dużego okrętu Sowietów. Ich zniszczenie stało się priorytetem.

Kwiatkowski ze zdziwieniem skonstatował, że jest pierwszym od kilkuset lat polskim dowódcą prowadzącym

tak duży zespół bojowy do akcji. Już same okoliczności zatopienia pancerników przejdą do legendy. Ponad dwadzieścia lat wcześniej doszło do cudu nad Wisłą, czyżby obecnie szykował się cud na Bałtyku? Niezależnie, jaki to wszystko będzie miało koniec, zrobili, co do nich należało, nie zawiedli. Niestety, pogoda im nie sprzyjała. Zanosilo się na piękny, pogodny dzień, grożący w każdej chwili rojem bombowców nad głową i stadem torpedowców z kronsztadzkiej bazy. Polskie niszczyciele już niedługo będą musiały odejść bardziej na zachód, na pełne morze, gdzie przyjdzie im czekać do wieczora. To oznaczałoby kolejną straconą dobę, a tymczasem Rosjanie nie próżnowali, tylko gnali co sił do własnych portów. Taki rozgardiasz oznaczał brak kontroli. Wniosek – strata głównodowodzącego to konsekwencja wczorajszego starcia.

Ta myśl nieco poprawiła humor Kwiatkowskiemu. W końcu oficerowie i marynarze Floty Bałtyckiej to tacy sami ludzie jak oni, a mając niezbyt kompetentnych dowódców ponosili o wiele wyższe straty. Lęk przed Sowietami ustąpił zupełnie. Prawdziwy respekt budziła w nim jedynie Kriegsmarine. Tam wyszkolenie stało na naprawdę wysokim poziomie, podobnie jak w Royal Navy. Niemieckim okrętom nie daliby rady tak łatwo.

– Ster prawo trzydzieści.

– Ster prawo trzydzieści stopni – powtórzył sternik.

Linia horyzontu nie stanowiła jednolitej mrocznej kurtyny. Gdzieś tam błyskały jaśniejsze plamy. Zdaniem komandora bardzo możliwe, że któraś z jednostek oberwała, ale od kogo i w jakich okolicznościach, pewnie nigdy się nie dowiedzą. Może trwa tam akcja ratunkowa – tego nie wiedział. To dopiero należało sprawdzić. Jeśli

będzie okazja, dorzucą swoje trzy grosze.

Ponowny błysk podobny do uderzenia pioruna.

– Panie trzeci, widział pan to?

– Jakież trzy mile, trzy i pół, panie komandorze, ale to na pewno łajba.

Kwiatkowski przestał obserwować ciemność za iluminatorem i podszedł do mapy. Przejście pomiędzy Saremą a Hiumą dla uciekających statków wydawało się idealne – w razie niebezpieczeństwa mnogość zatoczek i wysepek pozwalała ujść pogoni. Do tego bliskie porty na wyspach i w Haapsalu czy Vasalemmie pozwalały przeczekać najgorsze. Mając na pokładzie ludzi z desantu, sam by tak postąpił. Będzie musiał się na którejś jednostce skoncentrować, a w tym czasie inne uciekną, unosząc cało głowy.

Sprawdził godzinę. Do świtu pozostało naprawdę niewiele czasu.

Wyprostował zgarbione plecy, aż strzeliło coś w kręgosłupie.

– Widać oznaki życia, panie trzeci?

– Nic, kompletnie nic, panie komandorze.

Szkoda. Niemniej zagadka błysków intrygowała Kwiatkowskiego coraz bardziej. Chciał to sprawdzić, chociaż podejście wiązało się z ryzykiem – jeśli napotka rozbitków, będzie musiał ich podjąć. Zmarnuje cenne minuty, a przy okazji wystawi dywizjon na atak lotniczy.

Przez następne, ciągnące się bez końca minuty nic nie zaszło. Trzeci przemaszerował przez mostek, wnosząc trochę ruchu w miejsce, gdzie wszystko wydawało się przykręcone do podłogi.

Zostało im najwyżej trzydzieści minut, później zarządzi odwrót i opłyną Hiume, biorąc kurs na północ.

Najwyżej ponowi próbę kolejnej nocy. Jeżeli nic nie upolują, to trudno, nie musi im zawsze sprzyjać szczęście.

Trzeci oficer podskoczył, tknięty impulsem.

– Pół kabla od sterburty.

Kwiatkowski popatrzył we wskazaną stronę. Nic nie dostrzegł.

– Co jest?

– Szalupa, panie komandorze. Na pewno szalupa. Widziałem. Daję słowo.

– Maszyny pół naprzód.

Oświetlenie morskiej toni reflektorem to jak wskazanie ich aktualnej pozycji. Akurat na to nie chciał sobie pozwolić. Ponownie przyjrzał się najbliższej okolicy i w końcu dostrzegł łódkę. Jakaś większa fala zniosła ją tuż pod burtę „Gryfa”, na odległość kilkudziesięciu metrów. Jak na razie panował na niej zupełny bezruch. Nikt nie wzywał pomocy ani nie machał rękami.

Kompletnie nic. Musi wiedzieć na pewno.

– Panie trzeci, szperacz na obiekt.

– Tak jest.

Błysk światła trwający zaledwie dwie sekundy wystarczył. Szalupa była pusta. Żadnych spoczywających na dnie ciał, kapoków ani wiosł. Sama łódź pomalowana na białą z czerwonym pasem biegnącym u góry.

Sprawa wyjaśniła się sama. Teraz ta cholerna łajba, do której zdążali.

– Cała naprzód – każda chwila stawała się cenna.

Wpłynęli w całun mgły znacznie ograniczający widoczność, lecz dość szybko przez nią się przebili. Tutaj Kwiatkowski nie potrzebował lornetki. Długi na około 50 metrów kabotażowiec wyrzucał w powietrze chmury dymu. Gdzieś widać było pomarańczowe płomienie

trawiące drewniany pokład. Poza tym wyglądał jak Latający Holender – podobnie jak w przypadku szalupy ani jednego człowieka, zupełnie jakby stateczek sam wyszedł w morze i tu postanowił dokonać żywota.

Na mostku wszyscy jak jeden mąż wpatrywali się w zjawisko. Nie dało się nawet określić, czyja była ta jednostka – rosyjska, estońska czy może jeszcze inna. Nazwy nie sposób było już dostrzec – od panującego wewnątrz gorąca farba odłaziła od kadłuba całymi płatami. Ogień powoli wypalał wnętrze skorupy. Przygnębiający widok dla każdego marynarza.

Przynajmniej z grubsza wiedział, co zaszło. Dalsze przebywanie na tym akwenie stawało się niebezpieczne. Niedługo pierwsze promienie wschodzącego dnia przebija ciemną zasłonę nocy.

Rozdział 26

W nocy wypoczął niewiele. Bogiem a prawdą – wcale. Samo siedzenie na zydłu nie było zbyt relaksujące, a jeśli dodać do tego nocną wycieczkę do portu, wychodziło, że właściwie nie zmrużył oka. Teoretycznie zatem rano powinien być do niczego, tymczasem, o dziwo, organizm zareagował odmiennie niż zazwyczaj – może byłby zdolny do walki, ale ogólnie Marek czuł się nie najgorzej.

Zjedli, co przyniósł szyper. Konstantin kroił chleb rzeźnickim nożem, obkładając pajdy grubymi plastrami wędzonej ryby. W przeciwieństwie do Bagińskiego wyglądał tak sobie. Pewnie dlatego, że jemu w nocy dano spokój.

– Gdzie Żigariew? – zapytał sztabkapitan.

– Kręcił się, a potem wyszedł. Nie mówił dokąd – o eskapadzie na „Meduzę” nie wspomniał ani słowem. Konstantin widział przemytnika rano, i to wystarczy. O reszcie nie miał pojęcia.

– Co dzisiaj robimy? – Marek upił letniej herbaty. – Znow obchód po mieście czy coś innego?

– Dzisiaj czekamy – powiedział Konstantin z pełnymi ustami.

– Na co?

– Nie ciebie jednego muszę przerzucić na tamtą stronę. Tak między nami, popłynię co najmniej dziesięć osób. Nie chciałem tego mówić przy nim. Sam wiesz, jaki

jest. Nie musi wszystkiego od razu wiedzieć – w końcu przełknął ostatni kęs. – Jak da radę, popłyniemy dzisiaj.

– To znaczy, jeśli zjawią się wszyscy? – upewnił się Marek.

– Jeśli nie, również. To nie miejscówki na Moskwa–Petersburg.

W końcu się doczeka. To naprawdę mili ludzie, może nie wszyscy, w większości jednak przychylnie do niego nastawieni, ale on rwał się do latania. Usiąść w końcu za sterami, odpalić silnik i wznieść się w przestworza. Zresztą, wszystko jest lepsze od tego bezsensownego czekania.

– Chcesz jeszcze? – Konstantin wyciągnął w kierunku Marka ostatni kawałek ciemnego chleba.

– Nie, dzięki – podłubał małym palcem w zębie, gdzie jak na złość coś musiało utknąć.

– Zrobimy tak... – sztabkapitan rozważał kolejny wątek. – Mamy parę godzin w zapasie. Chętni zaczną schodzić się po południu i wieczorem, to nam daje jakieś osiem godzin – podrapał się po brodzie. – Osiem – powtórzył sam do siebie – Na początek sprawdzimy „Meduzę”.

– Jak Żigarijew nam pozwoli.

– Pozwoli, nie ma wyjścia. Łaski nie robi.

– Wygląda jak pies ogrodnika.

– Ale to my płacimy.

– Przypominasz o tym za każdym razem – bąknął Bagiński, wzdychając. – W końcu ten argument przestanie działać.

– Nie przestanie. On jest chciwy jak dziwka.

Coś zaskrobało w drzwi. Bagiński odwrócił głowę. Żigarijew stał oparty o framugę, wpatrując się w Denisowa

zmrzużonymi oczami.

Słyszał czy nie? Trudno powiedzieć. Na jego nieruchomej twarzy nie odbijały się żadne emocje ani myśli. Bagiński uświadomił sobie, że nad wszelkimi ludzkimi odruchami w przemytniku zdaje się dominować arogancja i interesowność. Chyba bardziej to drugie. Sam wolał nie wchodzić z nim w żadne układy. To wyłącznie sprawa Konstantina i jego grupy.

– Skończyliście?

– Prawie – odpowiedział Denisow.

– Pomożecie mi przetoczyć beczkę z paliwem. Sam nie dam rady.

Wyszli przed barak.

Dzień znów wstał pochmurny i deszczowy. Marek postawił kołnierz palta i zapiął szczelnie przy szyi. Na poprawę pogody jakoś się nie zanosilo. Cholery można dostać. Ostatni raz, jak sobie przypominał, słońce widział w Pucku. Później już nie.

Prawie udało mu się ominąć błotnistą kałużę, która nad ranem uformowała się przy wejściu, jednak ufajdał obcasy butów. Dobrze, że nie wylądował tyłkiem w środku. Taby dopiero chłopaki miały ubaw.

W nocy wszystko wyglądało nieco inaczej – mrocznie i tajemniczo. W świetle dnia za to nudno i banalnie. Nawet łajba robiła bardziej przyjazne wrażenie – większa i nie tak zapuszczona, jak ją zapamiętał.

Załogi paru zacumowanych kutrów kręciły się w pobliżu. Nie żeby chciały wyjść w morze, co to, to nie, ot zwykła codzienność, czymś trzeba się zająć. Miasto trzeba będzie odbudować – przynajmniej sporą część, a ludzie muszą jeść. Nikt z obecnych nie wyobrażał sobie zakazu połowów. Życie musi toczyć się dalej.

Zdezorientowani szyprowie gawędzili w niewielkich grupach, wymieniając uwagi. Co rusz któryś spluwał na ziemię lub rzucał grubszym słowem. Jedyne znaki okupacji czaił się daleko, tam gdzie linia horyzontu łączyła się z morzem – samotny okręcik był ledwo widoczny. Tu, gdzie przebywali, nie widać było nic więcej. Podobno ktoś coś zauważył... Podobno płynął tędy wielki konwój. Plotka mówiła o co najmniej kilkuset jednostkach mających dokonać najazdu na Sztokholm. Wszystkie wybudowano w wielkiej tajemnicy daleko na południu i w stosownym momencie przetransportowano śródlądowymi kanałami i Newą do zatoki.

Konstantin przystanął przy jednej z takich grup za plecami Żigariewa, posłuchał i podszedł do Marka.

– Wierzysz im? – zapytał Polak po wysłuchaniu najświeższych informacji.

– Podobno ty ich widziałeś.

– Najwyżej czterdzieści jednostek. Mogę się mylić o parę, nie więcej.

– Sam wiesz najlepiej – podsumował Estończyk, kierując na „Meduzę”.

Na pokładzie zastali najwyżej szesnastoletniego wyrostka, wyglądem zbliżonego do Żigariewa i zapewne o podobnym charakterze. Wystarczyło jedno spojrzenie pogardliwych żółtych oczu, by się domyślić, czyim jest synem.

– Zapytaj, gdzie ta beczka.

– Co?

– Beczka z paliwem do silnika. Zapomniałeś.

– Aaa...

Nastąpiła krótka wymiana zdań pomiędzy Konstantinem a chłystkiem.

– To jedna z tamtych.

Magazyn od kei oddzielał pas dobrych stu pięćdziesięciu metrów. Przed nim piętrzyły się dwustulitrowe pojemniki z ropą.

– Całą?

– Całą. Muszą jakoś wrócić.

Przewrócili jedną z nich i potoczyli przez piach i błoto, odpychając się nogami. Parę razy nie wyhamowali i potem przyszło im wygrzebywać utyłaną beczkę z co większych kałuż. Upaprali się przy okazji od stóp do głów. Cała wypracowana z takim trudem elegancja poszła w diabły – buty, spodnie i płaszcz, dosłownie wszystko, oblepiało rzadkie błocko. Najgorzej wyglądały dłonie i rękawy. Dziadostwo pryskało i pluło na boki przy byle okazji.

Gdy Żigariw ich zobaczył, ryknął śmiechem.

– Czego on charczy?

– Że tam jest wózek.

Wyszli na idiotów, ale wkrótce sami zaczęli chichotać, rozbawieni sytuacją.

Kolejne pół godziny upłynęło im na doprowadzeniu się do jako takiego porządku. Zostawić przyschnięte grudy do ubrania, żeby się same wykruszyły, czy też zmyć wodą, której akurat nie brakowało? Dylemat, przed jakim stanęli, rozwiązał się niejako sam. Trzech strzelców nadeszło od strony miasta. Nie wyglądali bynajmniej na zakłopotanych, raczej na takich, którzy obchodzą nowe włości, oglądając wszystko z zainteresowaniem, a przy okazji wypatrując, co by uszczknąć dla siebie. Nikogo nie zaczepiali, nie próbowali agitować ani nie grozili, skupieni wyłącznie na obserwacji.

– Długo to nie potrwa – powiedział Konstantin.

– Co masz na myśli?

– Tych trzech. Nie wyglądają na zabłąkane owieczki. Węszą. Zobaczysz, jutro albo pojutrze wprowadzą zakaz swobodnego wypływania. Zaczną się przepustki i ograniczenia.

– A wszystko w związku ze strefą działań wojennych – dopowiedział Marek.

– Jakbyś zgadł – w głosie Konstantina słuchać było czystą nienawiść. – Słyszałeś o dekreście o kłosach z 1932?

– Nie bardzo – odpowiedział Bagiński zgodnie z prawdą.

– Naprawdę? Gdzie ty żyjesz?

– Wtedy chodziłem do szkoły – nie powiedział, że o wiele bardziej interesowały go pierwsze loty szybowcami niż to, co się działo za granicą.

– A o głodzie na Ukrainie, o aktach kanibalizmu, o rajach obiecwanym przez bolszewików?

– Jestem pilotem, nie politykiem.

– Wydali dekret grożący karą śmierci lub więzieniem każdemu, kto ukradnie pięć kłosów zboża z kolchozowego pola. Wszystko pod pretekstem ochrony własności państwowej – gorzko dokończył sztabkapitan.

Marek nie wiedział, co ma odpowiedzieć – że przebimbał młode lata, zajmując się błahostkami, a nie zgłębiając problemy krajów sąsiednich? Jak przypuszczał, białogwardyjski oficer miał w zanadru sporo takich opowiastek, którymi potrafił sypać jak z rękawa przy byle okazji. Czy to znaczy, że był od niego gorszy? Umiejętność tańczenia fokstrota nie czyniła z nikogo potwora bez uczuć.

Trzech żołdatów znikło w oddali. Nic nie zrobili, a już atmosfera stężała. Mniej pilne zajęcia poprzesuвано na później. Szyprowie porozchodzili się, podobnie jak ich

pomocnicy. Rybacki porcik bardzo szybko zaczął świecić pustkami.

•

Na obiad wybrali jedną z pobliskich gospód. W towarzystwie Żigariewa nie rzucali się tak bardzo w oczy. Obojętne spojrzenie szynkarza przesunęło po nich i powędrowało dalej. Pewnie wziął ich za uciekinierów z tych lepszych lub zniszczonych dzielnic.

– Jest piętnasta. Najdalej za trzy godziny zaczną się schodzić – powiedział Konstantin, łamiąc kawałek chleba.

– O dziewiątej wypływamy.

Stary przemytnik wysmarkał nos, jakby to zupełnie go nie dotyczyło.

– Masz być trzeźwy.

– A jak przyjdę wcięty, to co mi zrobisz? Wynajmiesz kogoś innego?

– Dla mnie to bez znaczenia – zaznaczył Marek, chcąc załagodzić rodzący się spór.

O tej porze sala powoli się wypełniała. Przybywało marynarzy i rybaków szukających towarzystwa. Wszyscy mówili dość głośno, zapewne komentując ostatnie wydarzenia. Szkoda tylko, że nic z tego nie rozumiał. Dowiedziałby się wielu ciekawych rzeczy – chociażby tego, że zatrzymano premiera i cały rząd pod zarzutem działalności antysocjalistycznej. Uwięzionych już transportowano do Moskwy na pokładzie specjalnego samolotu na pokazowy proces.

Niespodziewanie Żigariew wstał i odszedł na bok. Nie zwrócili na to zbytnej uwagi, w końcu szyper nie był ich zakładnikiem. Zresztą nie oddalił się zbyt daleko –

przystanął przy ladzie i wdał się w rozmowę z jakimś człowiekiem, na oko równie nieciekawym jak on sam. O czym dyskutowali, nie wiadomo. Stali pochyleni do siebie jak dwaj namawiający się na kradzież kieszonkowcy.

– Tego tam znasz? – Marek szturchnął Konstantina.

– Widzę go pierwszy raz – Denisow łypnął we wskazanym kierunku. Na więcej brak mu było ochoty.

Szczurowaty – jak zaraz przeważał go Bagiński – słuchał i potakiwał. W końcu skierował kaprawe oczka na ich stolik. Nie trzeba było kończyć psychologii, by domyślić się, o kim gadają. Spojrzenie Marka i szczurowatego skrzyżowało się na moment. Kumpel szypra szybko przeniósł wzrok dalej jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku.

O co chodzi tym razem? Czy nic nie może iść swoją koleją, tylko musi komplikować się za każdym razem?

Rozdział 27

MOSKWA

Ech, żizn', szto by ty żopu imiela... – marszałek Siemion Timoszenko stał przy wielkiej ściennej mapie, gdzie pozycje dywizji starano się aktualizować w mare postępow ofensywy.

Otwarcie należało powiedzieć, że początek był jak najbardziej obiecujący. Ruszyli z przytupem i przyklaskiem, miażdżąc napotkany opór. Tyle że wraz z upływem kolejnych dni wszystko zwalniało jak źle naoliwiony mechanizm.

Finlandia – nikt nie mówił o tym wprost, słowa starannie dobierano, ale gdyby postawić sprawę jasno, to katastrofa. Imano się wszystkiego – od zmiany komdiwów i kombrygów aż po całkowite przemodelowanie planów operacyjnych i wymyślanie na poczekaniu czegoś zupełnie nowego. Nic nie pomagało.

Wszelkie zamierzenia paraliżowała aura. Takiego niżu w lipcu nie pamiętano od bardzo dawna. Samoloty startowały dosłownie na parę godzin dziennie, a i to było sporo. Czasami nie latano w ogóle. Finowie jakoś nie chcieli ustąpić, co więcej, lokalnie kontratakowali, wypierając oddziały RKKK z zajmowanych pozycji. Istniało uzasadnione ryzyko zorganizowania przez wojska fińskie większej akcji mającej odciąć połączenie kolejowe Archangielsk–Leningrad. Za taką bezczelność ktoś będzie

musiał odpowiedzieć – Timoszenko przyłożył palce do swojej grdyki. Bądź co bądź, był z nią związany na dobre i złe.

Pewne środki ostrożności przedsięwziął już wcześniej. Cała dywizja strzelecka patrolowała teraz tory na najbardziej zagrożonym odcinku. Trzyście tysięcy chłopów strzegło tego newralgicznego miejsca. I dobrze, przynajmniej mają zajęcie, zamiast grzać tyłki przy ogniskach i oddawać się dyskusjom i wiecom.

Podobno kadry decydują o wszystkim – skoro tak, to oni powoli się kończą. Straty wśród partyjnych i komsomolców sięgały trzydziestu, czterdziestu procent stanów wyjściowych. Zwyczajnych żołnierzy nikt nie liczył, bo też nikt nie miał pojęcia, do jakiej kategorii zaliczyć większość z nich – zabitych, zaginionych czy dezertarów. Zwłaszcza ta ostatnia kategoria przekraczała już jego zdolność pojmowania i jakiegokolwiek rachuby. Bywały wypadki, kiedy całe kompanie bez mrugnięcia okiem ruszały w przód, mając za plecami oddziały zaporowe. Ruszały, i tyle było je widać. Nie wracał nikt. Tak zniknęła jednostka z 2 Pułku 13 Dywizji Strzeleckiej. Poszli rażno do natarcia i ślad po nich zaginął. Wszystkich wciągnięto na listy poległych na polu walki. Co innego mieli zrobić...

Na froncie polskim wszystko wyglądało podobnie, a jak twierdzili niektórzy: lepiej. Czyli „lepiej nie informować o wszystkim góry”.

Jedyny jaśniejszy punkt to Front Północno-Zachodni. Osobiście wiązał z nim wiele nadziei. Aneksja Estonii, Łotwy i Litwy postępowała bez zarzutu. Nie bez powodu generał Fiodor Kuzniecowa wciąż chodził uśmiechnięty, budząc tym zawiść i zdenerwowanie. Czy nie wie, że nie należy drażnić kolegów, którym wiodło się

zdecydowanie gorzej? Wie czy nie wie? W końcu Żukow strzeli w tę zadowoloną gębę, sprowadzając pyszałka na ziemię.

Mimo wszystko były powody do umiarkowanego optymizmu. Kiedy tylko dywizje 11 i 27 Armii zajmą nowe rubieże, przystąpią do natarcia na tyły Polaków. To co prawda skróci front, za to zdeorganizuje odwrót z rejonów umocnionych na wschodzie akurat wtedy, gdy oni przemkną się tuż przy granicy Prus Wschodnich. W końcu jakieś pewne zwycięstwo po serii niepowodzeń.

Na koniec pozostawały dwie sprawy. Przynajmniej jedna z nich wiązała się z działaniami Frontu Północno-Zachodniego.

Tym razem flota nie popisała się niczym szczególnym. Chyba nikt nie przewidywał, jak dużą rolę odegra w tej bitwie lotnictwo. Dotychczas sądzono, że tak jak przed dwudziestu laty los walki będzie zależał od pancerników i liniowców. Wielkie drednoty, które tak urzekły Josifa Wissarionowicza, nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Samolot to broń tańsza, a jak się okazało, również skuteczniejsza. Wystarczyło parę godzin i po sprawie. Szkoda, że nie zainteresował się tym problemem wcześniej. Oczywiście dysponowali lotnictwem morskim, tylko gdzieś w tym wszystkim te pułki się zagubiły.

Po części była to wina pogody. Z lotnisk pod Leningradem nie dawało się wzbąć w powietrze, w przeciwieństwie do tych na polskim wybrzeżu. Zadziałało prawo korzyści. Z tego, co wiedział, resztki potężnego do niedawna konwoju wracały do bezpiecznych przystani. I on, i admirałowie Kuzniecowa oraz Tribuc żywili nadzieję na uratowanie jak największej liczby

okrętów. W końcu ten konflikt o światowym zasięgu przechodził dopiero wstępną fazę. Niewiele jeszcze zyskali, to fakt.

Tu nasuwał się ostatni problem: stary-nowy sojusznik. Z informacji przekazywanych półgębkiem przez Mołotowa wynikało, że Niemcy aż się palili do podpisania paktu. GRU już przekazywało dane o szybkiej koncentracji korpusów wzdłuż korytarza pomorskiego i Śląska. Sytuacja przedstawiała się aż nazbyt ciekawie. Razem zajmą tę część Europy, do jakiej zobowiązywał ich traktat, i co dalej?

Jak zareaguje Paryż? Będą siedzieć spokojnie na linii Maginota czy też spróbują wbić Niemcom nóż w plecy? Jeżeli już podejmą działanie, to kiedy to nastąpi – dobę, dwie, pięć później? Może pokrzyczą i wrócą do swoich Brigitte, Charlotte i Josephine, by spokojnie popijać beaujolais? Do wszystkiego są zdolni.

Dla Rosji oczywiście lepiej byłoby, gdyby przystąpili do natarcia i Francuzi, i Niemcy. Ciekawe, jak długo trwałby taki konflikt. O ile pamiętał, Wehrmacht dysponował niespełna trzema tysiącami wozów bojowych. Francuzi posiadali ich tylko trochę więcej. Wynik ewentualnego starcia był niebywale trudny do przewidzenia. Zresztą, co znaczy te parę tysięcy czołgów i samolotów po obu stronach. W porównaniu z Robotniczo-Chłopską Armią Czerwoną jedni i drudzy dysponowali zaledwie okruciami wojsk.

Wbijając wzrok w mapę, nawet nie usłyszał, kiedy stanął przy nim Stalin. Dopiero ciężka woń tytoniu zasugerowała Timoszence czyjaś obecność.

– Imponujące.

– Owszem – marszałek postąpił krok do tyłu, chcąc

stanąć za plecami wodza.

– Musimy wzmocnić prawe skrzydło – Stalin postukał fajką w odpowiedni rejon na mapie, czym wywołał zaniepokojenie Timoszenki.

Przeciw Finlandii wystawili już prawie milionową armię, która operowała głównie w rejonie Wyborga. Wojska było już tam tyle, że z trudem dałoby się wcisnąć więcej. W takim razie prawdopodobnie chodziło o całą wschodnią granicę. Tylko po co pchać tam kolejne oddziały, skoro potem będzie kłopot z ich zaopatrzeniem, ewakuacją chorych i rannych. Takie niedomówienia najbardziej denerwowały marszałka. Jeżeli Stalin coś wie, to niech podzieli się informacjami, a to pozwoli wojskowym na zorganizowanie odpowiedniej akcji.

– Czy to na pewno konieczne? – zapytał, chcąc rozwiać dręczące go wątpliwości.

– Wątpicie w słuszność moich decyzji?

– Nie wiem tylko, ile dywizji mam skierować w tamten obszar.

– Tak między nami, bo to jeszcze nieoficjalne nawet dla naszych: przedwczoraj ludzie Golikowa dowiedzieli się o chęci wprowadzenia przez sztab francuski i angielski części wojsk do Finlandii.

Timoszenkę zamurowało. To oznaczało wojnę z tymi państwami. Oba miały spore doświadczenie w organizowaniu sił ekspedycyjnych i wysyłaniu ich na drugi koniec świata. Francuska armia i brytyjska flota szły pod tym względem ręką w rękę. Wyzwanie spore, ale możliwe do zrealizowania.

– Zdążą przed interwencją Niemiec?

– Nie wiem. Osobiście bym tego nie wykluczył. Dlaczego pytacie?

– Kriegsmarine skuteczniej odetnie Bałtyk niż nasze samoloty.

– Też o tym myślałem, ale ci wszyscy generałowie nie są tacy głupi. Pominą Bałtyk, przejeżdżając przez Norwegię i Szwecję. Na Morzu Północnym są nie do pokonania.

– A co powie Oslo i Sztokholm?

– Norwegowie zrobią to, co powie Londyn. Podobnie Szwedzi. To znacznie uprości komunikację z Finlandią i polskimi portami, zwłaszcza po ostatnich wypadkach... – wódz wymownie zawiesił głos.

Jasne i proste operacje zaczęły się właśnie mocno komplikować. Pal licho przecięcie linii żeglugowych, ostatecznie ich przydatność i tak była ograniczona. Klęska Floty Bałtyckiej spowodowała inne niebezpieczeństwo – bezpośrednią interwencję wojsk anglo-francuskich. Dyskutowali o wysłaniu sił aż do wschodniej Skandynawii, więc co stoi na przeszkodzie, by wesprzeć Polskę, tym bardziej że... – odpowiednie słowa z trudem torowały sobie drogę do świadomości – że ci niepodzielnie panowali na morzu. Coś takiego z trudem mieściło mu się w głowie. Do niedawna nie posiadali nic większego od rzecznej kanonierki. Na skutek doskonałego planowania lub, jak kto woli, niepomyślnego zbiegu okoliczności dyktowali warunki. Francuzi już raz chyba lądowali na Westerplatte. Francuska misja wojskowa działała w Warszawie w trakcie marszu Tuchaczewskiego. W końcu Polska była potrzebna Paryżowi do utrzymania Niemiec w szachu. Nad Sekwaną strach przed potężnym sąsiadem nie wygasł zupełnie. Jak się wydawało – całkiem słusznie.

Rozdział 28

Już pierwszy chętny przysporzył im kłopotów. Miał stawić się sam, a przyszedł z rodziną. Żona i trójka dzieciaków stały spłoszone przed wejściem, kiedy Konstantin beszał delikwenta niewybrednymi słowy. Ze względu na najbliższych czynił to dyskretnie, co nie znaczyło, że poprzestał na groźnej minie. Mężczyzna, starszy od sztabskapitana o dobre dziesięć lat, przyjmował wszystko w milczeniu, z rozpaczą na twarzy. Nawet nie próbował tłumaczyć tego, co zrobił. Tu nic nie było do tłumaczenia. W akcie desperacji próbował ratować bliskich, to wszystko.

W końcu zmęczony Denisow odesłał ojca rodziny z powrotem, każąc mu zaczekać.

– Co się tak piekiesz? – Bagiński skrzyżował ręce przed sobą. – Nie zajmą wiele miejsca.

– Nie wykonał polecenia – Konstantin próbował bronić wstępnej decyzji.

– I dlatego chcesz go odesłać?

– Możemy zginąć.

– Równie dobrze może to nastąpić tutaj.

– To wbrew zasadom.

– Jakim, do cholery, zasadom?! Facet wyciąga rodzinę z tego bałaganu, a ty masz mu to za złe? Bądź poważny. I jeszcze jedno: wyzywając na nim, nie zdobędziesz sympatii. Ty pomożesz jemu, on pomoże tobie. To przecież proste.

Paru następnych dotarło samych, za to jeden z nich targał aż pięć walizek, przy okazji głośno pomstując na czerwonych. W przypadku bagażu Denisow pozostał nieustępliwy, tym bardziej że kolejny z ewakuowanych również przyszedł z kobietą. On liczył sobie jakieś czterdzieści pięć lat, ona dwadzieścia. W pierwszej chwili Bagiński pomyślał, że to ojciec z córką. Szybko jednak został wprowadzony z błędu. Tych dwoje łączyła zupełnie inna relacja.

Organizatorowi całego przedsięwzięcia opadły ręce. Bruzda na czole i zaciśnięte zęby dobitnie świadczyły, co o tym myśli. Para zakochanych zupełnie zignorowała Konstantina. Stanęli z boku, zajęci wyłącznie sobą.

Kolejny chętny do wyjazdu i kolejna rodzina. Tym razem trzyosobowa. Wyglądało, że wywiozą pół Tallina, a nie dziesięciu najbardziej zagrożonych zatrzymaniem działaczy politycznych. Marek przeliczył wzrokiem wzbierający tłumek – w jego najbliższym otoczeniu stało dwadzieścia osób, o bagażach nie wspominając. Taki spęd mógł już wzbudzić zainteresowanie. Kiwnął na Konstantina.

– Zrobię obchód.

– Rób, co chcesz, tylko bądź za kwadrans. Żigariew dostanie szafu, jak ich zobaczy, nie chcę być przy tym sam.

– Ludzi do ładowni, walizy do magazynu. Na dodatkową dolę dla niego jak znalazł.

– Wy tłumacz to temu pułkownikowi – Konstantin wskazał właściciela największej sterty waliz, który jak gdyby nigdy nic ćmił cygaro. – Mówią, że nieźle obłowił się na wojnie.

– To chyba nie mija się prawdą.

– Nic nie zostawi.

– W razie kłopotów ja z nim pogadam. Znasz moją siłę perswazji.

Marek wsunął ręce do kieszeni płaszcza, gdzie wymacał kolbę Visa. Wyminął podstarzałego lowelasa z młodą damą.

– Madame – uchylił szarmancko kapelusza i poszedł dalej.

Gwar za jego plecami ścichł, gdy dotarł do końca przejścia pomiędzy magazynem a płotem. Tam przystanął, skryty za stertą skrzynek, i zaczął nasłuchiwać. Im bliżej finału, tym bardziej stawał się przewrażliwiony. Niespiesznie obszedł cały teren, zaglądając we wszystkie możliwe kąty. Czego właściwie się spodziewał? Kumpli Żigariewa szykujących noże i tasaki na grupę ludzi przeważnie w średnim i starszym wieku?

Analizując krok po kroku zachowanie właściciela „Meduzy”, jakoś nie potrafił sobie tego wyobrazić. Inna sprawa, że raz wszystko, co tamten robił, wyglądało podejrzanie, a innym razem Marek znajdował dla tego racjonalne wytłumaczenie.

Najbliższa okolica wyglądała na pustą. Wyjrzał jeszcze na ulicę. Z jednej strony płot, z drugiej małe rybackie domki. Nic godnego uwagi. Zawrócił.

– I jak?

– W porządku – postanowił nie rozwijać tej kwestii.

– Brakuje jednego. Nie widziałeś może jakiegoś starszego gościa kręcącego się w pobliżu?

– Nie. W ogóle nikogo nie widziałem.

– Szkoda.

Sztabskapitan ruszył w stronę pułkownika i rodziny z dziećmi, by rozwiązać rodzący się spór. Zdaje się, że dwójka starszych latorośli głośno skomentowała ilość

bagażu zabieranego przez wojskowego.

Ciągle nie było widać szypra. Bez niego stawali się gromadą czekających na zmiłowanie uciekinierów. Marek sprawdził czas. Dwadzieścia minut to jeszcze nie tragedia. Poczekaj chwilę i rozejrzy się za nim. Już chciał wyciągnąć papierosy, kiedy gardłowy, gniewny okrzyk beczkowatego pułkownika przywrócił go do rzeczywistości. Były oficer darł mordę, dzieci płakały, a Konstantin nie bardzo wiedział, co robić. Awantura przerwała rozmowy pozostałych uczestników ucieczki. Na to wszystko przyszedł Żigarijew, patrząc z bezbrzeżnym zdumieniem, co się wyprawia.

Marek stanął przy sztabkapitanie.

– Sprawia kłopoty – wskazał na pułkownika.

– Tępy jak but.

– Dobra. Pogadam z nim, a ty wytłumacz się NN.

Całym ciałem pchnął grubasa w stronę otwartych drzwi magazynu.

– Coś pan!

– Na dwa słowa.

Zatrzasnął drzwi i wyszarpnął pistolet.

– Przysługa za przysługę – musi wyperswadować temu durniowi takie zachowanie, inaczej nigdy nie wypłyną.

– O co chodzi?

Przeładował od niechcienia i wycelował w ziemię.

– Przez wzgląd na kolegę będę taki dobry i nie rozwalę twojego durnego łba – desperacja dodała słowom Bagińskiego stanowczości. – Masz dwa wyjścia: albo zamkniesz jadaczkę i odezwiesz się dopiero jutro rano, albo rozwalę cię tu i teraz. Wybieraj.

– Jestem...

– Nic mnie nie obchodzi, kim jesteś. Wybieraj – naparł mocniej, wpychając ofiarę w kąt.

– Dobrze już, dobrze.

Żeby tylko nie przesadził, bo ten gotów się jeszcze sfajdać w spodnie.

– Twój cholerny bagaż zostanie tutaj.

– To...

– Nie igraj z losem.

– Jedna walizka – wojskowy spróbował negocjacji.

– Dobra. Teraz spływaj – przepuścił pułkownika, który czmychnął w stronę drzwi.

Otarł pot z czoła. Jeden problem załatwiony.

Na zewnątrz nie było dużo lepiej. Konstantin stał obok szypra, tłumacząc coś cichym głosem. Z początku wyglądało na to, że wszystko pójdzie dobrze, ale nie. Przemysłnik odburknął coś po swojemu, wsadził dłonie w kieszenie i odszedł.

– Co z nim?

– Zapłacą, to popłyną – odparł sztabskapitan. – Inaczej nie bierze za nikogo odpowiedzialności.

No tak, przemysłnikowi nie przyłoży lufy do skroni, żądając wypełnienia umowy. A on się na nich wypnie. Umowa była inna: paru ludzi, nie cały tłum z kobietami i dziećmi na dokładkę.

– Zaczynij kwestę od niego – wskazał na grubasa. – Na pewno się dorzuci.

Konstantin nie wiedział, czy Polak żartuje, czy mówi poważnie. W końcu jednak podszedł do pułkownika, wyluszczając sprawę. Tak jak się można było spodziewać, spora suma gotówki zmieniła właściciela.

Reszta nie miała wyjścia. W końcu każda podróż kosztuje. Zwitek banknotów zrobił się naprawdę spory. Nic

tak nie wpływa na hojność jak nóż na gardle.

– Pójdiesz ze mną czy mam to załatwić sam?

Bagiński rozejrzał się po przestraszonych twarzach.

– Załatwmy to jak najszybciej.

„Meduzę” znaleźli bardzo szybko. Żigariew stał obok, wpatrując się w wodę. Fale mieniły się różnymi odcieniami szarości. Im dalej od brzegu, tym stawały się jaśniejsze i bardziej połyskliwe. Wiatr przynosił zapach soli i wodorostów. Nad głową krążyły stada mew przysiadające bądź na drewnianych palach kotwicowiska, bądź na małych skalistych wysepkach rozsianych tuż przy brzegu.

– Jak decyzyja? – przemytnik wyglądał na pewnego siebie. Pytał raczej dla formy, bo niby jakie mieli wyjście. Muszą popłynąć dzisiaj i koniec. Konstantin przekazał część pieniędzy.

– Resztę dostaniesz, jak wysiadziemy.

– Żartujesz – szyper przestał się uśmiechać.

– Masz moje słowo.

Przez chwilę wyglądało, jakby Żigariew chciał wyrwać zwitek banknotów z dłoni Konstantina. Marek od niechcienia wsunął ręce do kieszeni płaszcza, czym natychmiast ściągnął spojrzenie przemytnika. Kawał żelastwa wyraźnie odznaczał się pod materiałem, a pistolet stał się ostatecznym argumentem.

– Dawać ich tu... – wyszczerzył drapieżnie zęby.

Napięcie nieznacznie opadło.

– Płynę za pięć minut. I na nikogo nie czekam.

•

Potężny budynek z czerwonej cegły został zaadaptowany bardzo szybko. Starych lokatorów

wyrzucono na bruk, nowi weszli na ich miejsce niemal z marszu. Przed wejściem postawiono warty, nad bramą zawieszono czerwoną szturmówkę. Brakowało odpowiedniej tablicy, ale jak obiecywali estońscy towarzysze, zostanie wykonana bardzo szybko w ramach czynu społecznego. Odpowiedni kawał blachy już się znalazł. Czerwona farba na tło również. Białą lub czarną pociągną litery: „Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych”, i już można będzie działać.

Nie tablica była jednak istotna, tylko ludzie. Ci wkroczyli do Tallina zaraz za czołówkami 180 Dywizji Strzeleckiej. Gmach już wybrali, więc nie krążyli bezsensownie po mieście, tylko udali się wprost do obranej delegatury.

Całą operację przygotowano odpowiednio wcześniej, wybierając samych najlepszych, wypróbowanych towarzyszy. Chciałoby się rzec – starych, ale ci akurat odeszli w niebyt wraz z dawnym przewodniczącym Nikołajem Jeżowem. Nic nie trwa wiecznie. Nawet szefowie NKWD bywają śmiertelni, a co dopiero mówić o szeregowych funkcjonariuszach.

Właśnie jednym z takich nowych nabytków był Izaak Iwanow – szczupły, a właściwie przeraźliwie chudy trzydziestodwuletni komisarz pierwszej rangi o czarnych oczach, ostrych rysach twarzy i wielkim orlim nosie. Jedną z cech charakterystycznych Iwanowa były kręcone jak sprężynki włosy, które w niekontrolowany sposób powiększały jego głowę, czym doprowadzały właściciela do wściekłości. Przekroczył już trzydziestkę, a na swej głowie wciąż nie zaobserwował żadnych oznak łysienia. Pozostawało mu jedno wyjście – strzygł włosy tak krótko, jak się dało. Te jednak odrastały w błyskawicznym tempie,

przysparzając mu wciąż tych samych zmartwień, bo socjalistyczna ojczyzna nie wezwwała go przecież do przesiadywania u fryzjera, tylko do wyteżonej pracy.

W tej chwili jednak nie włosy stanowiły główne zmartwienie komisarza, a siedzący na krześle naprzeciw niego więzień. Mężczyzna miał dłonie równo ułożone na kolanach, bose nogi i podbite oko – dowód na zbyt szybkie pięści niektórych pomocników Iwanowa.

Komisarz przesunął dłonią po przystrzyżonych włosach, sprawdzając, czy przypadkiem nie odstawiły mu jakiegoś numeru. W porządku. Na kartce przed sobą trzymał notatki. Potem zrobi z tego raport, na razie musi poskładać wszystko w całość, a tutaj wszystko pieprzyło się od samego początku. Nigdy nie sądził, że zwinięcie kilku kontrrewolucjonistów przysporzy mu tylu kłopotów. Grupa, którą wysłał do pierwszego, na miejscu zastała trupa, i to wcale niewyglądającego na samobójcę. Dowiedział się o wszystkim z rozmowy telefonicznej. Od razu zarządził kocioł. Trzech funkcjonariuszy stanowiło doświadczoną ekipę wydziału operacyjnego. Zarekwirowali mieszkanie obok i czekali. Jak się okazało, niezbyt długo. Kolejny meldunek – dwóch podejrzanych wkraczających do mieszkania i... Tego nie potrafił wytłumaczyć sobie do tej pory. Po urwaniu się kontaktu z pierwszą grupą wysłał drugą. Na miejscu oprócz martwego właściciela zastała ona ciała trzech zamordowanych czekistów. To nie mieściło się w głowie. Oczywiście nikt nic nie wiedział, bo większość mieszkańców kamienicy uciekła. Pozostawało mu jedynie to, co usłyszał przez telefon. Niewiele. Trop się urywał.

Na osłodę dorwali tego tu – były oficer wojsk Judenicza i znany przeciwnik władzy radzieckiej. Parę dni

wcześniej głośno szczeakał na towarzysza Stalina i resztę przywódców, teraz zamilkł, a Iwanow dałby głowę, że coś wie. Cóż, jak wie, to i powie.

Nie lubił patrzeć na bitego. Raz widział, jak wygląda pogrom – śniło się mu to później przez wiele lat. Jednak praca to praca, nie ma co się roztkliwiać.

– Zostaliście zatrzymani na ulicy z walizką – zadał pierwsze od dłuższego czasu pytanie. – Dokąd uciekaliście?

Postać skuliła się w sobie jeszcze bardziej.

– Zrozum, człowieku, już wieczór. Nie jesteś jedyny.

– Ja... Nic nie wiem.

– Liczę do trzech.

– Panowie...

– Panów to my już dawno. Raz...

Takie spojrzenie u więźnia Iwanow widział nie raz. I nie dwa. Zaszczute zwierzę wciśnięte w kąt wyglądało tak samo.

– Dwa.

– Kiedy ja naprawdę...

Najwyraźniej ten tutaj lubił dodatkowe bodźce. Czy on myśli, że samymi zapewnieniami o niewinności wywalczy sobie drogę do wolności?

– Trzy.

Cisza.

– Sami jesteście sobie winni, towarzyszu.

Skinał na pomocników. Krótka szamotanina i jeden z palców prawej ręki chrupnął jak gałazka. To nie zrobiło na komisarzu wrażenia, tylko ten wrzask, do jasnej cholery. Trzeba ich kneblować czy co? Sam trochę grywał na skrzypcach. Nieraz to, co się wydobywało z pudła,

przypominało zawroźenie zatrzymanych, ale ten tutaj przechodził wszelkie granice.

W ramach poprawki otrzymał dodatkowy cios w splot słoneczny, co bardzo skutecznie przerwało wycie.

– Oj, jak wy nie szanujecie zdrowia, towarzyszu. Jak można było do tego dopuścić.

– Czego ode mnie chcecie?

– Policzcie lepiej, ile macie palców. Jak z wami skończymy... – machnął ręką. Wiedział z doświadczenia, z tym problemów już nie będzie. Kij już był, pora na marchewkę.

– Szczere przyznanie do winy bardzo wam pomoże. Naprawdę. Jak będziemy z was zadowoleni, zostaniecie konsultantem – znalazł to słowo w jakimś słowniku. Spodobało mu się. Brzmiało o wiele lepiej niż „kapuś” czy „donosiciel”. – I co najważniejsze, pozostaniecie na miejscu. Przecież widzę, że Syberia nie dla was.

Więzień cicho pochlipywał.

– To jak? Dogadaliśmy się czy mam poprosić kolegów o pomoc?

– A papierosa dostanę?

– Ależ oczywiście.

Tą kwestią musi zająć się bliżej. O co chodzi z tymi papierosami? Sam nie palił, więc trudno mu było się wczuć, jednak musi być jakiś związek pomiędzy przesłuchującym, przesłuchiwanym a tytoniem. Tylko raz trafił na niepalącego – kobietę, a właściwie dziewczynę, pal ją sześć – a tak kurzyli wszyscy.

Na wszelki wypadek nosił paczkę kazbeków w górnej kieszeni bluzy. Wyciągnął jednego i podał więźniowi. Ten wziął papieros ostrożnie go palcami zdrowej ręki. Teraz najlepsze – mistyczna chwila, kiedy

więzień zaczyna mówić. Coś jak spowiedź, tylko bardziej szczerą i przeznaczoną dla większej liczby zainteresowanych.

Po dziesięciu minutach wiedział już co najważniejsze. Szczegóły poczekają. Jak chce awansować, musi działać. Sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Stećko, słuchajcie: pluton strzelców i samochody. Zaraz, nie na jutro.

•

Stali zbici w gromadę na nabrzeżu i, co tu mówić, wyglądali dość osobliwie. Wszędzie walały się rybackie akcesoria, a tutaj wycieczka jak z biura podróży. Bał się jednego – jeśli ktoś wpadnie do wody, narobi im nielicznego kłopotu. Zwłaszcza ta lalunia miała tendencje do potykania się. Pasowała raczej do sali balowej, a nie na „Meduzę”. Dzieciaki jakoś sobie poradzą, gorzej ze starszymi panami, którym wciąż się wydawało, że są tak samo sprawni jak dawniej. Żigariew, wychylony ze sterówki, z łokciami opartymi o framugę, kiwał na całe towarzystwo.

– Pojedynczo! I do ładowni.

Łatwo powiedzieć, gorzej zrobić. Konstantin stał na krypie, podając rękę każdemu potrzebującemu. On na nabrzeżu kierował ruchem. Złapał najmniejszego z maluchów i ten z piskiem radości powędrował na kuter. Starsze przeszły same.

– Teraz pani – matka dzieci z wdzięcznością przyjęła ofiarowaną dłoń. Poszło.

– Moment – powstrzymał kolejnego chętnego, odsuwając go na bok. – Proszę.

Całkiem niedawno nie omieszkałby poznać bliżej tej

miłej dziewczyny. Blondynka w typie skandynawskim, z małym noskiem i wesołymi oczami. Szkoda, że czuł się zupełnie wypruty z emocji. Jej partner zmierzył Marka pogardliwym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Dalej poszło gładko. Jedynie tęgawy pułkownik na środku deski zachwiał się jak linoskoczek nad przepaścią. W ostatniej chwili złapał równowagę, zgiąwszy się jak scyzoryk, i powoli pokonał ostatnie metry.

Na koniec Bagiński wrzucił deskę na pokład i przeskoczył jednym susem ponad relingiem. Konstantin bosakiem odepchnął kuter od nabrzeża. Diesel zadudnił mocniej. Przed nim kolejny etap. Przed uchodźcami dopiero pierwszy.

Mimo oporu większości wpakowali towarzystwo w głąb mrocznej ładowni, sami pozostając na górze. W końcu należała im się jakaś nagroda. Ktoś to musi kontrolować. Poza tym nie do końca ufał szyprowi.

Przy wyjściu z przystani przysiadł cały rój małych skalistych wysepek, na których żyły stada mew. Już prawie osiągnęli ostatnią z nich, kiedy błysk samochodowych reflektorów przeciął szarówkę. Pewnie nie zwróciliby uwagi na taki szczegół, gdyby nie to, że za pierwszym wozem pojawił się następny. Postacie w szarych szynelach zeskakiwały z platformy na ziemię i rozbiegały się we wszystkie strony.

Marek wyrwał lornetkę z ręki Żigariewa, zupełnie ignorując jego protesty.

– Jak ci się wydaje, to normalne? – zapytał sztabskapitana.

– Akurat. Szukają kogoś – odpowiedział zaskoczony.

Właściwie sam udzielił sobie odpowiedzi. Ci

na nabrzeżu wyglądali o wiele lepiej od zwykłych czerwonoarmistów. Płaszcz i okrągłe czapki, sporo automatów. Nie, to nie oddział piechoty. Zbyt dobrze ubrani i wyekwipowani. Przyjrzał się dowódcy wydającemu komendy. Ten, z początku zajęty dyrygowaniem własnymi ludźmi, stał odwrócony do nich tyłem. W końcu odwrócił się jak ściągnięty magnesem. Nie widział dokładnie twarzy, mógł się tylko domyślać uczuć.

•

– Stećko.

– Tak jest, towarzyszu dowódcu – podkomendny wyprostował plecy tuż przy Iwanowie.

– Zbierzcie pluton.

– Ale...

– Już nieaktualne.

Znikająca w oddali i zapadającym zmierzchu krypa stawała się coraz mniejsza, a irytacja komisarza wprost przeciwnie.

– Stećko.

– Tak jest.

– Aresztuj wszystkich podejrzanych.

– Tych samych co zwykle?

– Tak. I wywołajcie Wołgę Jeden.

Jeżeli tym żalonym sukinsynom wydaje się, że okpili władzę radziecką i uciekli w ostatniej chwili, to nie mają pojęcia, w co wdepnęli.

•

Wyglądało to na ostatni moment na opuszczenie

Estonii. Zmarudziliby pięć minut dłużej i koniec. Nie zostałyby po nich nawet nekrologi w gazetach. Każda upływająca chwila oddalała ich od okupowanego kraju, co jeszcze wcale nie oznaczało, że są bezpieczni. Zawsze istniało ryzyko wpakowania się na patrolujący akwen okręt lub rozpoznawczy samolot. Parę serii z karabinu maszynowego i podziurawiona „Meduza” nie utrzyma się na wodzie. Już obecnie pompy pracowały na najwyższych obrotach. Na szczęście silnik chodził równo i miarowo.

– To nie był przypadek – powiedział Bagiński.

Wszyscy trzej zbili się w gromadę przy sterówce.

– Wiemy, do cholery, że nie! – wybuchnął przemytnik. – Jak teraz wrócę do domu, no jak, cwane paniczki?

– Nie nasza wina – odparł Konstantin.

– A czyja? Co ja teraz będę robił?

– To samo, tyle że zmienisz miejsce zamieszkania – Marek zasugerował rozwiązanie. – Pójdę sprawdzić, co z naszym ładunkiem – oderwał się od bocznej ścianki i powędrował w stronę schodków wiodących w głąb krypy.

Większość pasażerów mało go obchodziła. Co najwyżej dzieci, dla których rejs „Meduzą” musiał jednak stanowić nie lada przygodę. Nie próbował oszukiwać samego siebie. Chodziło mu o tę młodą damę. Podejdzie i zapyta, czy wszystko w porządku. Nie wypadało jej się narzucać. Ale w końcu rano będą na miejscu i nigdy więcej jej nie zobaczy. Zszedł na dół, ostrożnie wymacując nogą kolejne szczeble drabinki.

Tkwili w półmroku, upchani jak sardynki. Wykorzystano każde wolne miejsce – mężczyźni siedzieli na skrzynkach, kobiety i dzieci na bagażach. Nie ulegało wątpliwości, że do rana będą nieprzytomni ze zmęczenia.

Nie widział dobrze, ale już teraz jedno z dzieci, zielone na twarzy, było blisko... Stało się. Ostra woń wymiocin zdominowała wszelkie pozostałe. Raz, drugi i trzeci. Ile tego się mieści w tak małym żołądku...

Będący najbliżej instynktownie cofnęli się, nie chcąc się upaprać cuchnącą mazią. Oczywiście, zaraz zaczął się rwetes i narzekania. Najwięcej do powiedzenia mieli ci, którzy siedzieli najdalej. Oprócz rodziców nikt nie kwapił się do pomocy. Nie ich dzieci, nie ich problem. Jedyne wyjątkiem stanowiła blond piękność. Ruszył jej w sukurs.

– W czym mogę pomóc? – przyklęknął przy dziewczynie, starającej się wytrzeć usta chłopca chusteczką.

– Trochę wody nie zaszkodzi.

– Oczywiście.

Flaszkę samogonu potrafił zlokalizować bez problemu, z wodą może być kłopot. Musi zapytać szypra.

Wylazł z ładowni i poszedł do sterówki, gdzie Konstantin i przemytnik wymieniali uwagi o pogodzie.

– Gdzie woda?

– Po co ci?

– Na dole jeden z dzieciaków miał wypadek – wyjaśnił.

– Coś poważnego?

– Choroba morska, a ty o czym myślałeś?

– To wszystko, co mam.

Jedna butelka podana przez szypra nie rozwiązywała problemu. Parogodzinny rejs i po sprawie. Kłopotów nie przewidywali. Jak już ktoś chciał prowiant – wszystko we własnym zakresie. W końcu na drugą stronę zatoki było raptem pięćdziesiąt mil. Żaden problem.

Wracając na dół, z niepokojem zaobserwował wzbierające fale. I bez tego mieli dość kłopotów. Niektóre z grzywaczy osiągały metr wysokości. Piana rozbijała się o nadburcia, a strugi wody zalewały pokład.

– Niestety, tylko tyle – podał butelkę dziewczynie.

Część wody wylała na chusteczkę i starła z ust chłopca resztki wymiocin.

– A pani dobrze się czuje?

– Nic mi nie jest – odpowiedziała z uśmiechem. – Nie wiem, jak byśmy sobie poradzili bez pana pomocy.

– Proszę nie przesadzać – rozumiał doskonale jej angielski, chociaż mówiła z silnym akcentem. – W końcu wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

– Niech pan spojrzy dookoła. Jakoś żaden z nich nie wykonał najmniejszego gestu. Wszyscy zajęli się sobą.

– Zaczyna kołysać. Do rana trudno tu będzie wytrzymać.

– Podobno jestem uodporniona. Nie wiem, co robi Franz – wskazała głową na siedzącego opodal partnera. – Wszystko bardzo przeżywa. Nawet bardziej niż ja.

Franz, jak zauważył Marek, od dłuższego czasu pozostawał nieruchomy, tylko wbijał w niego mordercze spojrzenie. Czyżby wyczuł konkurenta?

Przysunął się odrobinę bliżej dziewczyny.

– Przykro mi, że musi pani przez to przechodzić.

– Nie ma o czym mówić.

– Mark, jesteś tam? – głowa Konstantina pojawiła się w jaśniejszym prostokącie stanowiącym oszalowanie ładowni. – Lepiej jak przyjdiesz.

– Przepraszam. Obowiązki wzywają.

– Rozumiem – spojrzała na niego bardziej przychylnie. – Jestem Katia – przedstawiła się.

– Mark.

– To już wiem.

– Pospiesz się! – ponaglił Denisow.

– Sama pani widzi. Beze mnie ani rusz – w tym momencie mało obchodziło Bagińskiego, co też Estończyk ma mu do zakomunikowania, niemniej pożegnał nową znajomą kiwnięciem głowy i podążył do drabiny.

– Masz wyjątkowy talent wtrącania się w najmniej odpowiednim momencie – zakomunikował Konstantinowi.

– Lepiej spójrz tam.

Byli już jakieś dwie i pół mili od brzegu, który dawało się rozpoznać tylko po nielicznych jaśniejszych punktach latarni. Reszta szczegółów zacierала się we mgle, ciemności i siąpiącym deszczu.

– Nic nie widzę.

– Nie tam – Konstantin trącił łokciem Polaka, wskazując na wschód.

Zmrużył oczy, by lepiej wiedzieć. Przez ułamek sekundy nie zobaczył nic poza przetaczającymi się falami. Już chciał powiedzieć, że coś im się przywidziało, jednak widok patrolowego kutra nie był mirażem, tylko groźną rzeczywistością.

– Są jakieś półtorej mili od nas – zauważył Żigariew.

– Dasz radę wyciągnąć z tej łajby chociaż parę węzłów więcej? – zapytał Marek.

– Cudotwórcą nie jestem.

Obie łodzie szły mniej więcej jednakowym tempem, tyle tylko, że patrolowiec miał dłuższą drogę do przebycia. W końcu ich dogoni, ale to dopiero za jakiś czas.

– Zajrzę do maszyny.

W końcu znalazł się na silnikach równie dobrze jak

większość mechaników. Może i nie popłyną szybciej, za to nie zmarnuje najbliższej godziny.

Luk prowadzący do przedziału z motorem znajdował się tuż za sterówką. Właściwie stanowił jej integralną przybudówkę z paroma okrągłymi bulajami mającymi doprowadzać do środka minimalną ilość światła. Drzwiczki otwierały się na zewnątrz.

Zejscie równie strome co do ładowni. Ostrożnie wymacał poszczególne schodki.

Blok diesla przymocowano do stalowej podstawy, z której wychodził wał. Do tego dochodziła cała reszta rur, zbiornik paliwa oraz kolejny, nie wiadomo po jaką cholerę. Wszystko mocno zużyte i pordzewiałe. Mimo brudu pracowało jak należy. Zajrzał w każdą możliwą szczelinę i sprawdził drewnianą skrzynię z narzędziami pełną śrub, wkrętów i kłębów drutu. Pogrzebał wśród nich. Spod złomu błysnęła mosiądz. Odsunął wierzchnią warstwę i wyciągnął nabój zakończony ostrym czubkiem. Ciekawostka. Sprawdził bicia na kryzie. Znaki nic mu nie powiedziały. Nigdy wcześniej takich nie widział.

Opukał skrzynię i wyczuł drugie dno. No proszę. Faktycznie długa na metr skrzynia otwierała się jeszcze jedną parą zawiasów. Manipulował przez dłuższą chwilę, jednak bez rezultatu. W końcu podważył całość łomem. Leżący w skrzyni peem wyglądał normalnie, o ile jego obecność na przemytniczym kutrze można uznać za coś normalnego.

Nie uważał się z eksperta w dziedzinie broni strzeleckiej, więc zadowolił się stwierdzeniem, że to, co widzi przed sobą, jest fińskim pistoletem maszynowym Suomi. Obok leżał pudełkowy magazynek i luzem trochę amunicji 9 mm.

Ten stary drań nie puścił pary z gęby. Nawet się o tym nie zająknął. Inna sprawa, że nikt go nie pytał. Wyciągnął automat ze skrzyni. Obrócił w dłoniach. W kontraście do wszechogarniającego brudu broń była czyściutka i gotowa do działania. Dla pewności sprawdził. Trzask iglicy zabrzmiał jak najpiękniejsza muzyka. Umieścił magazynek w gnieździe, resztę amunicji spakował do kieszeni.

Wśród pocisków błysnął jaśniejszy przedmiot. Pierścionek albo męski sygnet. Sięgnął po niego i podniósł do oczu. Rubinowe oczko wyglądało jak martwe. Nie przeskoczyła po nim żadna wesoła iskierka. Przejechał opuszką palca po kamieniu, a gdy to nic nie dało, zrobił to samo paznokciem, zdrapując wierzchnią warstwę przyklejonego smaru. Palec zrobił się brudnobrazowy, prawie czarny. Splunął na niego i przejechał ponownie. Z początku pomyślał, że to farba, ale kto smarowałby cenny przedmiot czymś takim? To jednak nie damski pierścionek, raczej sygnet, chyba o sporej wartości. Nagroda za wykonaną usługę – taka myśl jako pierwsza przyszła do głowy Bagińskiemu. Tylko dlaczego tak utyłana? Olśnienie przyszło niespodziewanie.

Schowwał przedmiot do kieszeni spodni. Zarzucił taśmę automatu na ramię. Podobno głupi ma szczęście.

Kiedy stanął przy sterówce, zapalił papierosa.

– Nie będę pytał, skąd to masz.

Szyper nie wyglądał na zmieszanego.

– Znajdź sobie dobre miejsce, bo od ciebie będzie wszystko zależało – podał Suomi Konstantinowi razem z wygrzebaną resztką amunicji.

Sztabskapitan przyjął broń i pytająco spojrzał na szypra.

– Odepierście się od mnie. Moja sprawa.

– Nic ci nie zarzucamy – uspokoił go Polak. – Ale na przyszłość dziel się takimi rzeczami.

Pościgowy kuter był teraz znacznie bliżej. Płynął o wiele szybciej, niż się spodziewali.

Marek widział już szczegóły przez lornetkę – działko z przodu, zaraz za nim przechodząca w pomieszczenia załogi masywna nadbudówka z okrągłymi iluminatorami i karabinem maszynowym na stojaku z tyłu. Komin wyrzucał w powietrze spaliny. Spienione odkosy rozbijanych fal układały się symetrycznie po obu stronach kadłuba. W porównaniu z pościgowcem „Meduza” wyglądała jak stara kwoka.

Zbiegł od ładowni. O mało nie poleciał na plecy, kiedy fala wzniosła krypę dziobem do góry. W ostatniej chwili złapał szczebel. Stał na środku.

– Kto z was posiada broń? – warknął zduszonym głosem. – Karabinów się nie spodziewam, wystarczą pistolety.

– Pan raczy żartować – ojciec rodziny wstał, ale zaraz usiadł, kiedy pokład pod nogami zmienił kąt nachylenia. – Obiecano nam...

– Kto. Chyba nie ja?

– Proszę powiedzieć, o co chodzi – Katia jako pierwsza ruszyła Markowi z pomocą.

– Sprawa jest prosta. Za dwadzieścia minut zatrzyma nas łódź pościgowa. Nie wiem, jakie mają zamiary – rozłożył ręce. – Powinniśmy spodziewać się najgorszego.

– Aresztują nas? – spytał gruby pułkownik.

– W najlepszym razie. Być może spuszczą na dno. Tego nie wiem i nie chcę sprawdzać.

– Tu są dzieci – ojciec rodziny koniecznie musiał przypomnieć o własnym nieszczęściu.

– Możecie wysiąść – powiedział pułkownik. – Jestem z panem – zadeklarował, a Marek wyczuł w jego głosie nutkę satysfakcji.

Jako pierwszy wstał i z walizki, na której siedział, wyciągnął rewolwer Webleya.

Nieźle.

– Kto jeszcze? – rozejrzał się dookoła.

Więcej chętnych nie było. W końcu z ociąganiem Franz wyjął małego automatycznego Walthera, bardziej pasującego do Katii niż do męskiej dłoni.

Dysponowali czterema jednostkami broni. Z czego jedynie peem dawał solidną siłę ognia. W konfrontacji z działkiem kalibru 20 mm wyglądali prawie na bezbronnych. W otwartej walce zostaną zmasakrowani, zanim upłynie pół minuty. Na zdrowy rozum nie mieli szans.

•

Wokół siebie zgromadził najbardziej bojowych. Jeden z nich weźmie bosak, drugi nóż do patroszenia ryb. W zasadzie to wszystko, co udało mu się wymyślić.

– Słuchajcie, zaczniemy dopiero, jak dam znak. Nie wcześniej, inaczej powystrzelają nas jak kaczki. Ja albo Konstantin – podkreślił.

Do końca nie wiedział, jak to rozegrać. Na pewno przez zaskoczenie. Tylko jak? Przez myśl przeleciało mu parę pomysłów. Odrzucił wszystkie, zdając się na improwizację. Kazał poczekać ochotnikom i przemknął do sterówki.

– Gdzie są? – rozejrzał się w stronę miejsca, gdzie ostatnio dostrzegł kuter.

– Tam – szyper skorygował wyobrażenia Marka.

Przez ostatnie minuty patrolowiec znacznie skrócił dystans.

– Podobno to najszybsza łajba na Bałtyku – podrażnił przemytnika. – Spodziewałem po niej o wiele więcej.

– To jednostka cywilna, nie wojskowa.

– Co nie znaczy, że mamy stać w miejscu.

Z oddalonego o około trzysta metrów kutra otrzymali wezwanie do zastopowania maszyn.

– Co robimy? – zapytał właściciel „Meduzy”.

– Zwolnij, ale nie stawaj zupełnie.

– Pół naprzód?

– Może być.

Zmiana prędkości dała się wyczuć od razu. Pokład chwiał się w przód i w tył, powodując, że żołądek raz po raz podjeżdżał do gardła.

– Pamiętaj, od ciebie wszystko zależy – poinstruował Estończyka przyczajonego wewnątrz sterówki.

– Tu kuter wojsk ochrony. Zastopować maszyny! Przygotować się do inspekcji! – dobywający się z tuby krzyk był nad wyraz oficjalny.

– Na jakiej podstawie nas zatrzymujecie? – odkrzyknął przemytnik.

– Naruszacie granicę strefy wojennej – usłyszeli w odpowiedzi.

Długi na jakieś czterdzieści metrów, może czterdzieści pięć. Załogę ocenił na sześciu marynarzy. Jeżeli nawet się pomylił, to niewiele. Najważniejszy jest

ten obsługujący działko.

– Zrobimy tak... – wyłuszczył pomysł sztabskapitanowi, który w odpowiedzi skinął głową, nerwowo oblizując usta językiem.

Marek wyrzwał ostatni raz i wypelzł na zewnątrz, osłonięty przed widokiem z kutra nadburciem łodzi. W ostatnim momencie porwał też zwinięty w rogu kawałek brezentu. W paru słowach wyjaśnił pułkownikowi i jego pomocnikom, o co chodzi.

– Dacie radę?

– Nie mamy wyjścia.

Teraz wystarczyło znaleźć dobrą pozycję, a nie miał dużego wyboru. W akcie desperacji wcisnął się pomiędzy pokład a dziobnicę i przykrył brezentem.

Szybko się okazało, że pomysł był fatalny. Strugi wody oblewały Bagińskiego raz za razem, a kołysanie było tu bardziej dotkliwe niż z tyłu. Jednak tylko z tego miejsca nie był widoczny. Przynajmniej tak mu się zdawało.

Upłynęła minuta, potem kolejna. Chciał wyrzec. Szybko zerknie i zaraz schowa głowę.

– Przyjmijcie cumy.

Szlag, są bliżej, niż się spodziewał. Wyciągnął pistolet i schował pod pachę.

Zderzenie dwóch burt zaświdrowało mu w głowie nieprzyjemnym zgrzytem. Tuż obok załomotały czyjeś buty. Kto ma zaczynać? On czy Denisow? Widział znaczną część patrolowca, razem ze stojącym u góry dowódcą i jeszcze jednym marynarzem.

Odrzucił nakrywającą go płachtę. Ci na górze mogą poczekać. Najważniejsze to rozpoznać, gdzie przód, a gdzie tył kutra. Wstał na kolana i wyrzwał ponad nadburcie. Zdumiona twarz obsługującego działko marynarza pojawiła

się parę metrów przed nim. Wymierzył i strzelił. Jednak to, co na strzelnicy wychodzi doskonale, na rozchybotanym pokładzie kutra już niekoniecznie. Musiał walczyć o utrzymanie równowagi, a to zdecydowanie nie pomagało w celowaniu. Gdzieś z boku zajazgotał peem Konstantina i Webley pułkownika, eliminujący wszystkich w zasięgu wzroku poza jego przeciwnikiem. Nie dość, że wciąż stał przed nim, to na dodatek z lufy działka poszedł błysk i ogłuszający huk.

Seria przeszła gdzieś nad nim. Spanikowany marynarz również nie wymierzył dobrze, jednak bardzo szybko opanował strach i kolejny jęzor płomienia strzaskał burtę obok Marka. Ten w końcu wziął się w garść. Wystrzelił już cztery razy. Magazynek zawierał osiem pocisków. Zaraz będzie zmuszony go wymienić. Najprawdopodobniej straci czas i życie.

Wymierzył nieco niżej, celując w brzuch. Najwyżej trafi w głowę. Pociągnął za spust. Niewiele się pomylił. Tamten z przedziurawionymi płucami zaprzestał ekwilibrystycznych popisów i spojrzał na zakrwawioną rękę, którą wpierył do rany. Usta wymamrotały dawno zapomnianą modlitwę i osunął się na pokład.

Nie marnował więcej czasu na dogorywającego marynarza. Począł chwilę, aż oba pokłady mniej więcej się zrównają. Przeskoczył przez nadburcie i reling i stanął na kutrze. To kosztowało go więcej nerwów niż wcześniejsza strzelanina. Wymienił magazynkę na pełną i podbiegł do bakburty akurat w momencie, gdy z bocznych drzwiczek wyskoczył jeden z matrosów. Automat w garści wyraźnie świadczył o jego zamiarach. Zastrzelił go prawie z przyłożenia. Zabrał peem i rozejrzał się dookoła.

Walka przenosiła się w stronę rufy.

Powinien tam pomóc, ale nie chciał zaliczyć kulki w plecy. Szarpnął za drzwiczki i wymierzył broń w stronę wnętrza. Pusto. Bał się wchodzić. Z drugiej strony, jeżeli nie dokończy sprawy...

Przestąpił wysoki próg i ostrożnie zrobił krok. Ze środka dochodziło dudnienie maszyny. Tylko jak ją znaleźć? Pierwsze pomieszczenie było puste, dalej wiódł korytarzyk zakręcający pod kątem prostym. Odetchnął i jak linoskoczek wymacał stopą pokład przed sobą. Z duszą na ramieniu wyjrzał za róg. Jedna żarówka skąpo oświetlała dalsze przejście i schodki wiodące w głąb patrolowca. Przemknął chyłkiem, przystając właśnie przy nich. Niżej musi być tylko maszynownia i mechanik. Panująca wokół czerwona poświata przywodziła na myśl piekielne czeluście. Stał niezdecydowany. Nie miał ochoty schodzić niżej. Zdesperowany gwizdnął na palcach. Zauważył cień zbliżający się do schodków i głowę zaciekawionego mechanika w brudnym kombinezonie.

Więcej nie potrzebował. Uśmiechnął się głupekowato i zrobił, co miał zrobić. Drogę powrotną pokonał błyskawicznie. Wskoczył na zewnątrz, zderzając się z pułkownikiem obchodzącym kuter z drugiej strony. Jego rewolwer o mało nie wywiercił dziury w brzuchu Bagińskiego. Z tyłu ktoś jeszcze strzelał, a może dobijał rannych.

– Tutaj było trzech.

– Ja zaliczyłem jednego. Z tego, co widziałem, Konstantin dorwał co najmniej dwóch: kapitana i zastępcę. Jednego Franz, ale sam oberwał – oficer w geście zupełnie do niego niepodobnym strzyknął śliną za reling.

Ta wiadomość poruszyła Marka. Własnych strat

zupełnie nie brał pod uwagę. Jakoś nie chciał przyjąć do wiadomości, że ktoś oprócz załogi kutra może odnieść obrażenia. Wszyscy, tylko nie oni.

•

Co tam się, do cholery, dzieje?

Izaak Iwanow zdegustowany zmierzył krokami pomieszczenie, gdzie zainstalowano radio. Teoretycznie wszystko powinno się zakończyć już pół godziny temu. Ostatnia informacja z K-127 mówiła wyraźnie – wezwali podejrzaną jednostkę do zatrzymania i przystąpili do czynności z tym związanych. Skoro tak, to dlaczego nie przekazali dalszych informacji?

Najczarniejszy scenariusz – wywrotowcy stawili opór – wydawał się niedorzeczny. Choćby nawet mieli karabiny, jak niby sprostają dobrze wyszkolonej i zdyscyplinowanej załodze? Takiego rozwiązania w ogóle nie powinien brać poważnie pod uwagę. Bardzo możliwe, że nawaliło radio lub mają sporo roboty z samymi jeńcami i są zajęci.

– Wywołaj ich jeszcze raz – polecił operatorowi. W tej materii chciał mieć absolutną pewność.

– Tak jest, towarzyszu komisarzu – odparł regulaminowo łącznościowiec i przez eter popłynęło wezwanie – K-127, K-127, tu centrala. Zgłóście się. K-127, K-127, tu centrala. Zgłóście się. K-127...

Iwanow sprawdził listę dostępnych opcji. Nie było ich za wiele. Właściwie... O tej porze nie wysłał samolotu, a drugi kuter, K-118, przebywał w zupełnie innym rejonie. Da radę ściągnąć go najwcześniej na rano. Pozostawał jeszcze niszczyciel patrolujący redę. Z kolei ten podlegał

dowództwu floty. Odpowiednie struktury do tej pory nie zostały w mieście zorganizowane. Chcąc nakazać okrętowi pościg, musiałby połączyć się z Kronsztadem. Dopiero stamtąd odpowiedni rozkaz skierowałby go do służby poza przypisanym akwenem. Kolejne godziny starań, a podejrzani w tym czasie wymykali mu się z rąk. Nie, cała nadzieja w K-127.

Pacnął łącznościowca w ramię, a wtedy jego głos odezwał się z nową mocą:

– K-127, K-127... Towarzyszu komisarzu, brak połączenia.

– Nie strzeliła wam jakaś lampa w nadajniku? – zapytał, szukając dziury w całym.

– Ależ co wy... – operator wyglądał na urażonego.

– Tylko pytałem.

Pozostało czekanie. Nic więcej nie wymyśli – uspokoił sam siebie. Pewnie niedługo wpłyną do portu, holując uciekiniera. Wszystko ułoży się samo. Innego rozwiązania nie dopuszczał do myśli.

•

Oberwał paskudnie. Co do tego nikt nie miał wątpliwości. Pociski utkwily w trzewiach. Krwi nie było dużo, ale to pozory. Może na sali operacyjnej chirurdzy dokonaliby cudu, ale tutaj... Nikt nie ludził się, jak to się skończy, łącznie z rannym, zachowującym na razie świadomość.

Drugi poszkodowany, ten z bosakiem, przebywał w ładowni. Dostał rykoszetem w bark i w przeciwieństwie do Franza powinien wytrzymać do rana. Obecnie odpoczywał w glorii i chwale pod opieką mniej bojowych

uczestników rejsu.

Marek pozbiarał porzuconą broń i amunicję. Sowiecki patrolowiec wyglądał o wiele solidniej niż „Meduza”. Nawet przez chwilę rozważał pomysł zmiany jednostki, szybko go jednak porzucił. Sama przesiadka na wzburzonym akwenie byłaby karkołomną operacją. Stara krypa musiała wystarczyć. W kutrze otworzyli zawór denny i zostawili jednostkę jej losowi.

Żigarijew zakręcił kołem sterowym i zwiększył maksymalnie obroty silnika, pozostawiając za sobą patrolowiec.

Ranny Franz wciąż spoczywał na pokładzie, gdyż każdy ruch potęgował jego cierpienie. Skupieni przy nim Katia i Konstantin oraz stojący nad nimi pułkownik sprawiali posępne wrażenie.

Marek zrzucił ciężące na ramieniu żelastwo tuż przy sterówce i wyprostował zgarbione plecy. Chwila wytchnienia, chociaż patrząc dookoła, nikomu nie było lekko. Najchętniej skłąby siebie za zachowanie godne idioty. Popłynęli w rejs bez prowiantu, zapasów, o lekarstwach nie wspominając. Tylko kto mógł wiedzieć... No kto? Ratował siebie, a w konsekwencji stał się poniekąd odpowiedzialny za wszystkich.

Konstantin uniósł głowę i poszukał go wzrokiem. Agonia nie jest przyjemnym widokiem.

Plecami Katii wstrząsały dreszcze. Wyglądała na dzielną, ale co można powiedzieć o człowieku po zaledwie jednej rozmowie.

– Zabierz ją na dół – machnął na Marka.

– Zostanę.

– Już po wszystkim. Nie ma powodu moknąć na deszczu – Konstantin starał się przemówić jej

od rozsądku.

Marek nie bardzo wiedział, co robić – objąć ją czy po prostu przytrzymać za łokieć. W końcu wybrał to drugie. Dziewczyna wstała, lecz nie chciała odstąpić od ciała.

– Proszę – powiedział najdelikatniej, jak potrafił.

Poszła za nim posłusznie. Spokojnie sprowadził Katię po drabinie. Ranny bohater przestał nawijać jak nakręcony i umilkł speszony.

Usiedli w kącie.

– Ma pani jakąś rodzinę w Helsinkach? – to jedno pytanie wydawało się logiczne i w miarę neutralne.

– Podobno – usłyszał w odpowiedzi.

– Albo się ma, albo nie – cholera, nie zabrzmiało to dobrze.

– Daleka krewna. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

– Na pewno wszystko się ułoży – że też podobne banały przechodzą przez gardło.

Siedział na tyle blisko dziewczyny, że czuł bijące od niej ciepło. Wyglądała na zagubioną, co kłóciło się z demonstrowaną niedawno pewnością siebie. Od prawienia dalszych bzdur uwolnił go sztabkapitan schodzący w głąb ładowni powoli jak po wykonaniu ciężkiej i wyjątkowo niewdzięcznej pracy.

– Co z nim? – Katia wyglądała na przestraszoną widokiem.

Konstantin wzruszył ramionami. Odstawił automat i przysiadł na wolnym miejscu. Wyglądał przy tym na osobę ciężko doświadczoną przez los.

Szyper dał jakiś worek i ciało Franza, zgodnie ze starym marynarskim zwyczajem, wyleciało za burtę. O czym tu mówić.

Rozdział 29

FLOTYLLA PIŃSKA

– Panie podchorąży.

To na pewno nie do niego. Dosyć już zrobił i miał prawo do odpoczynku. Skulony w rogu budynku zajętego na kwaterę, chciał stać się niewidzialny. Dostyc wojny, dosyć tego ciągłego napięcia. Właściwie przechodził przez dwa stany świadomości: albo porażająca nuda i bezsensowne czynności mające ją zabić, albo taki skok napięcia, że zbierało mu się na wymioty.

Ktoś przy nim kucnął i potrząsał za ramię.

– Panie podchorąży.

Arenfeld udawał, że jego to nie dotyczy.

– Podchorąży...

Został brutalnie złapany za mundurową kurtkę i mocno potrząśnięty.

– Co jest?

– Komandor czeka. Natychmiast.

Arenfeld otworzył oczy. Zdaje się, że ten bosman nie miał poczucia humoru, do tego lewą cześć jego głowy zakrywał opatrunek. Pomniejsze oparzenia znaczyły samą twarz, co robiło dość niesamowite wrażenie.

– Proszę za mną.

Podchorążemu przez chwilę wydawało się, że bosman zaraz postawi go na nogi jak niesfornie dziecko. Na wszelki wypadek poderwał się sam, doprowadzając

odzież do ładu.

Ruszyli przez folwarczny dziedziniec z długą, niską oborą po jednej stronie i drewnianym domem po drugiej. W każdej chwili liczono się z atakiem, i to zewsząd – z rzeki, powietrza i ładu. Pierwszą stoczoną bitwę wszyscy uznali za remis. Poturbowali przeciwnika, ale i sami oberwali. W rezultacie cofnęli się i połączyli z III Dywizjonem, który wcześniej odpierał lotnicze ataki.

W sumie stało się to, co chciał – stacjonowali obecnie tuż przy Mostach Wolańskich – z zadaniem obrony podwójnego mostu kolejowego przerzuconego nad Prypecią. Przebiegający tędy szlak stanowił ważne połączenie komunikacyjne pomiędzy dwoma odcinkami frontu przegrodzonymi bagnami Prypeci, więc należało go utrzymać najdłużej, jak to możliwe. W ostateczności wysadzą oba mosty, blokując tym jakikolwiek ruch na rzece, ale i odcinając od dostaw sporą część własnych oddziałów.

Obie strony doskonale zdawały sobie sprawę ze strategicznego znaczenia tego miejsca – Polacy skupili na małym odcinku wszelkie dostępne środki przeciwlotnicze, łącznie z tymi przysłanymi przez 30 Dywizję Piechoty. Sowieci raz za razem podejmowali próby zbombardowania przepraw. W rezultacie zaciętych zmagañ okolicę gęsto znaczyły leje po bombach i leżące gdzieniegdzie wraki bombowców, ale same mosty stały. Żadna ze stron nie odpuszczała. Spośród lokalnych walk te na pewno przewyższały uporczywością wszystko, co działo się na tym odcinku frontu.

Oczywiście, flotylla rzeczna wspierała obronę, jak potrafiła. Zaimprovizowano nawet specjalną kanonierkę przeciwlotniczą, wyposażając ją we wszystkie dostępne

działa, działka i ciężkie karabiny maszynowe.

Komandor Sierkuczewski już na nich czekał w towarzystwie potężnego łysego mężczyzny. Jeszcze przez chwilę prowadził z nim cichą rozmowę, w czasie której zerkał co rusz w stronę Arenfelda.

– W końcu jesteście – powiedział pod adresem podchorążego. – To pułkownik Tychenko – przedstawił rozmówcę.

– Tak jest.

– Sprawa jest taka, podchorąży... – komandor przeszedł na bardziej nieoficjalny ton rozmowy. – Zabierzecie ludzi pułkownika i jego samego do miejsca, które zostanie wam wskazane.

– Czy to znaczy?...

– Jak najbardziej. Uprzedzając dalsze pytanie: nie będziecie sami. Grupa jest dość liczna jak na jeden kuter. Dlatego popłyniecie wy i jeszcze dodatkowa łódź. Tak zdecydowałem. Gotowość do rejsu wyznaczam za czterdzieści minut. Teraz dochodzi trzecia... Tak, czterdzieści minut to maksimum. Im szybciej, tym lepiej. Zgodzi się pan ze mną, pułkowniku?

– Oczywiście.

– Biercie się do roboty – komandor pogonił Arenfelda.

Zdaje się, że został wmanewrowany w kolejne zadanie, które wcale mu się nie podobało. Już sama wyprawa Prypecią kosztowała go wiele nerwów, bitwa na jeziorze stanowiła jej kontynuację, a tutaj jeszcze przyplątuje się jakiś pułkownik i wszystko zaczyna się od nowa. Kto to w ogóle jest i kim są ci ludzie?

W przedświcie wstającego dnia od strony torów nadchodziła rzeczona grupa. Myślał, że śni. Boże święty –

po rozmowach i śmiechach rozpoznał Rosjan. Ilość przenoszonych przez oddział bagaży przeraziła go. Ileż tego było! Paki i pakunki, skrzynki, nawet tekturowa tania walizka.

Arenfeld przyśpieszył, wyprzedzając całą grupę. Zaraz zwał mu się na głowę z całym tym majdanem, a nie wyglądali na takich, nad którymi da się łatwo zapanować.

– Morgała! Ej, Morgała!

Załoga kutra już się krzątała przy stanowiskach.

– Podobno mamy gdzieś płynąć. My i Kmita.

– Dobrze słyszeliście – Arenfeld poślizgnął się na stoku schodzącym do rzeki. Przeskoczył na dającą jakieś takie oparcie kępę trawy i przystanął tuż nad wodą. Jeszcze jeden skok i stanął na pokładzie.

– Idą goście.

– Sierkuczewski? – zapytał bosman.

– Lepiej.

Morgała ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Zupełnie nie wiem, o co chodzi – zaczął podchorąży, zastanawiając się, jak wyłuszczyć problem.

– Komandor nie wyjaśnił?

– Co ja będę mówił. Zaraz sami zobaczycie.

Nie miał zamiaru nikomu niczego ułatwiać, a już zwłaszcza Rosjanom. Jak komandor mógł im to zrobić?

Na dalsze uzalenie się zabrakło czasu, bo pasażerowie akurat stanęli nieopodal kutra. Dowódca podzielił ich na grupy i każdą skierował do odpowiedniej jednostki. O, zesz... Jak ma ich wszystkich upchnąć? Sami ludzie to nie problem, ale dodatkowe toboły już tak.

– No to już wiecie – Arenfeld zerknął na Morgałę.

– Dziwni jacyś.

– Postarajcie się wszystkich wcisnąć. Wygód nie

musimy im zapewniać.

– A daleko płyniemy?

– Diabli wiedzą – kształtu erkaemu i automatów nie dawało się ukryć. Lejkowata osłona Diektariewa wystawała z pakunku jak wężący wszędzie ryjek zwierzęcia. – Coś mi się widzi, że zostaliśmy chłopcami na posyłki.

– Nie nasza sprawa wnikać w zamysły wyższych szarż od nas – filozoficznie odparł podoficer.

Wbrew początkowym obawom wszystko potoczyło się gładko, a jak się miało szybko okazać, część pakunków w ogóle znikła w ciemnych odmętach rzeki. Już po wyprowadzeniu kutrów na środek nurtu i pokonaniu pierwszych zakrętów Tychenko wydał zaskakującą dla załogi kutra dyspozycję. Rosjanie jak jeden mąż ściągnęli z siebie cywilne ubrania i przebrali się w sowieckie uniformy. Wkrótce na pokładzie przebywała w pełni wyekwipowana i uzbrojona drużyna. Oczywiście, najbardziej imponująco wyglądał sam pułkownik – w skórzanym płaszczu i okrągłej, niebieskiej czapce wojsk NKWD na głowie.

– *No szto wy, czekisty nie widieli?* – zagadnął Arenfelda, kiedy ten zdumiony wytrzeszczał oczy.

Odpowiedział mu rehot rozbawionych żołnierzy. Zresztą Tychenko zachowywał się tak, jakby na rzece spędził znaczną część życia. Bardzo szybko wdał się w pogawędkę z Morgałą, ustalając najlepsze miejsce do zejścia na ląd.

Pułkownik przez ostatnie parę dni już myślał, że nic z tego nie będzie. Przerzucano ich z miejsca na miejsce. Na dłużej utknęli dobre sto pięćdziesiąt kilometrów przed Pińskiem, a to z powodu działających na zapleczu polskiego frontu band i dywersantów. Z drogi widział

kawalerzystów czeszących całe połacie lasów. On to nazywał wojną w wojnie. Utrata panowania nad własnym zapleczem równała się klęsce na samej linii frontu. Widział już niejedną spaloną wieś i niejednego powieszono rebelianta.

Znał problem jak mało kto. I teraz te umiejętności zostaną wykorzystane raz jeszcze.

Płynęli prawie idealnie na wschód. Ten etap w planowaniu wyglądał na najłabszy punkt. Przekraczanie linii walki dwóch armii wiązało się ze znacznym ryzykiem. Tu wszyscy byli nerwowi. Kręcący tu i tam swoi i obcy. No i w pewnym momencie wszystko należało przestawić na nowy sposób myślenia – obcy stawali się swoimi, a swoi obcymi. Każdy lepiej zorganizowany punkt kontrolny mógł wychwycić mistyfikację. Nie wszystko da się załatwić krzykiem. A potem znów las i wskrzeszona idea.

Przez jakiś czas Pełczyński zapewni pomoc. Obiecał, więc pewnie się z tego wywiąże. Podeśle ludzi i najpotrzebniejsze wyposażenie, ale główną część zadania musi wykonać on sam, a nie osiągnie celu, błakając się niedaleko dawnej granicy. By coś z tego wyszło, trzeba iść na wschód – na ukraińskie i rosyjskie ziemie. Wygniatać bolszewików jak pluskwy, rozbijać rady i palić komitety. Na miejsce tamtych zakładać własne, tyle że sprawiedliwe. Tylko wtedy wyniosą cało głowy.

Swoją drogą taka łajba jak ta, którą płynęli, bardzo by się przydała. Można błyskawicznie zmieniać miejsce postoju i przemieszczać się na długich dystansach, raz być tu, raz tam. Szkoda, że nie pomyślał o tym wcześniej.

Za kolejnym zakolem rzeki zobaczyli miejsce, które Morgała uznał wcześniej za odpowiednie. Drewniany pomost wybiegał w nurt krótkim odcinkiem, na tyle jednak

długim, by dało się przybić kutrem i zejść na brzeg suchą nogą.

Pierwszy na chybocliwy pomost wytoczył się sam Tychenko. Jeżeli zmurszałe deseczki wytrzymają ciężar pułkownikowskiego ciała, wszystko wytrzymają. Pełen obaw, lekko napięty i skulony, stanął na trzeszczącej platformie. Wytrzymało. Dobra. Ostrożnie balansując, skierował się na błotnistą łakę. Dalej w głąb lasu prowadziła wydeptana ścieżyna. Przynajmniej na początek będzie łatwo.

– Dawaj! – machnął na oczekujących poleceń ludzi.

Wyładunek przebiegł bez zakłóceń.

Wciąż byli na terytorium Polski. Od granicy dzielił ich szmat drogi, chociaż tutaj o wiele łatwiej napotkają oddziały Armii Czerwonej niż jednostki Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”.

•

Zbędnego „balastu” pozbył się bez żalu. Kiedy już Tychenko dokonywał przeglądu przed samym zejściem na ląd, wciąż nie wyczuwał w nim sojusznika. Bosman chyba miał podobne zdanie, bo odetchnął z ulgą, kiedy ostatni z wojaków opuścił pokład kutra.

– Już myślałem, że zaczną do nas strzelać – mruknął pod nosem, manewrując kołem sterowym. – Różne rzeczy widziałem, ale takiej nie.

– Wierzę wam na słowo – Arenfeld jak doświadczony wilk morski przemknął sprawnie przez odcinek od dziobu do kabiny. Sprawdził, czy po pasażerach nic nie zostało. Usatysfakcjonowany, przystanął obok Morgały.

– Bosmanie, kurs powrotny – to zdanie wypowiedział z wyraźną ulgą. Drugi kuter już manewrował na środku rzeki, ustawiając dziób w stronę, skąd niedawno przyплыnęli.

– Się robi, panie chorąży.

Również dla bosmana to nie był przyjemny rejs. Udawał niewzruszonego, choć przebywanie tak daleko poza rejonem zorganizowanej obrony powodowało u niego pewne obawy, żeby nie powiedzieć wprost – strach.

W jedną stronę płynęli cztery godziny. Właśnie minęło w pół do dziewiątej, więc około trzynastej, jak wszystko dobrze pójdzie...

Wyłaniającej się z pasma porannej mgły jednostki nie mogli dostrzec w żaden sposób. Zresztą i tak wypłynęła za ich plecami, kiedy kuter korygował kurs. Ustawione na przedzie działko 45 mm z odległości niespełna trzystu metrów wypluło pocisk, który trafił ustawiony jak na strzelnicy cel. Odłamki uśmierciły bosmana w ułamku sekundy. Nawet nie wiedział, co go zabiło.

Tak szybkiej i bezbolesnej śmierci Arenfeld mógł mu tylko pozazdrościć. Przy pierwszym wybuchu oberwał niewiele – wyłącznie powierzchowne rany. Zaskoczony, odwrócił się. Kilka krótkich salw z Maxima poszatkowało kuter, przy okazji druzgocząc obie nogi młodego podchorążego. Ruszającego na pomoc marynarza rozszarpał kolejny pocisk działa. Kuter przechylił się na bok i zaczął nabierać wody.

Dramat dopiero teraz dotarł do umysłu Arenfelda. Zdumiony patrzył na wystające z ciała kawałki kości i krew obficie brocząca dookoła. Życie upływało z niego tak szybko, jak zewsząd podchodziła woda. Koniecznie chciał usiąść. Dźwignął się na łokciach, ale zaraz opadł na deski

z głuchym łomotem. Jeszcze nigdy nie był tak słaby, a jednocześnie pobudzony. Ta sprzeczność go zaskakiwała. Zapierając się dłońmi, z dziką desperacją przesunął się parę centymetrów w tył. To wszystko. Panika zalała umysł podchorążego nową falą.

Podobno przed śmiercią staje przed oczami całe życie. Tak słyszał. Nie wiedział, czy to prawda, chyba nie, bo akurat jemu przebiegały przez myśli jedynie wszystkie niewykorzystane szanse. Gdyby tylko postarał się nieco bardziej, dał z siebie odrobinę więcej, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Długi ciąg zdarzeń od dzieciństwa do chwili obecnej – te wszystkie małe zaniechania – prowadziły do odległych światów, bardzo, ale to bardzo daleko stąd. Czyżby piekło to właśnie to? Najbardziej żałował... No właśnie, czego? Odpowiedź nasuwała się jedna – wszystkiego.

Kuter przechylał się coraz bardziej, wciąż dziurawiony pociskami z karabinu. W pobliżu nie było nikogo, na kogo mógłby liczyć. Głowę oparł o burtę, a ręce sięgnęły wyżej. Może jak zdoła przewrócić się na brzuch, to wyczołga się na zewnątrz. Podjął ostatnią próbę, podobnie jak poprzednie zakończoną niepowodzeniem. Był zbyt słaby.

•

Kanonada na rzece zaskoczyła Tychenkę. W obezwładniającej ciszy pierwszy wystrzał zabrzmiał jak huk gromu. Skryty w leśnej gęstwinie na wysokiej skarpie dysponował doskonałym widokiem. Celowniczy erkaemu przeładował broń, czekając na polecenie. Furażerkę zsunął na tył głowy, a policzek przyłożył do kolby, podobnie jak

strzelec uzbrojony w Mosina z optyczną lunetą.

Jeden jego znak, jeden jego gest i rozpęta się pandemonium. Powinien to zrobić, ale z jakichś powodów zwlekał.

Łódź, którą przy płynęli, tonęła. Nic nie było w stanie tego zmienić. Cała wściekłość sowieckiego okrętu skupiała się właśnie tam.

Druga polska jednostka odpływała. Zwykła motorówka nie mogła sprostać kanonierce. Wynik potyczki był przesądzony.

– *Spakojno*.

Właściwie to tyle, jeżeli chodzi o rzeczny transport. Posiadanie własnego kutra nie przedstawiało się już tak atrakcyjnie, tym bardziej że za pierwszą kanonierką nadpływał holownik ciągnący barkę i parę mniejszych jednostek.

W miejscu, gdzie woda pochłonęła kuter, przepływał teraz jej pogromca. Gwizdki na mostku obwieściły zwycięstwo przeciągłym buczeniem. Znowu przez moment nasza pułkownika ogromna ochota wydania rozkazu. Puścić parę serii w stronę pomostu, gdzie stał dowódca i komisarz w towarzystwie oficerów. I pomyśleć, że jeszcze niedawno szedł w bój z takimi jak oni.

– *Spakojno* – powtórzył bardziej do siebie niż dla uszu podwładnych.

Nie spodziewał się aż tak dramatycznego początku misji. W końcu uznał, że nic tu po nich. Wstał i poganiając resztę oddziału, cicho wycofał się do lasu.

Teraz byli zdani wyłącznie na siebie.

Rozdział 30

Ciemna kreska lądu ukazała się przed „Meduzą” tuż po szóstej rano. Właściwie tylko Żigarijew wiedział, gdzie znajdowało się wejście do portu. W normalnych czasach cały tor wodny byłby zapchany wchodzącymi i wychodzącymi w morze statkami. To jednak nie były normalne czasy, więc „Meduza” stanowiła jedyny pływający obiekt w promieniu wielu mil.

Wczesnym rankiem przeżyli sekundy grozy. Wprawne ucho Bagińskiego wcześniej od pozostałych wychwyciło buczenie lotniczego silnika. Ciemny punkcik szybko nabrał kształtów. Dwupłatowy Gloster Gladiator z błękitnymi swastykami na skrzydłach i kadłubie przemknął nad nimi z wyciem motoru. Pilot dokonał ponownego nalotu. Jakoś nie mieścił się w jego głowie rejs przez zatokę w tak niespokojnym okresie. Szybko dał im spokój, nie wyczuwając niebezpieczeństwa. O wiele bardziej interesowały go pogłoski o czmychających w głąb morza kolejnych sowieckich okrętach.

Nikt już nie musiał siedzieć w ładowni. Kto chciał, mógł wyjść na pokład, tyle że chętnych brakowało. Porywisty zimny wiatr nie sprzyjał przechadzkom. Od chwili opuszczenia Tallina szyper przez całą noc stał przy sterze i nikogo do niego nie dopuszczał, chociaż Konstantin, który podobno trochę się na tym znał, proponował mu zmianę.

Właściwie czuwali we trzech, kiedy reszta

towarzystwa spała. Co prawda – nie wszyscy. Ranny bohater cichutko postękiwał, nie mogąc znaleźć ukojenia, a Katia i tak wolała być sama.

Obraz jasnowłosej dziewczyny splótł się w umyśle Marka w jeden sentymentalno-tkliwy supeł. Poznał ją zaledwie wczoraj, na dodatek w towarzystwie innego mężczyzny, a po zaledwie paru godzinach roił sobie w głowie niestworzone historie. W tych sprawach zawsze był prędki, ale żeby aż tak go przycisnęło? I jeszcze ten zbieg okoliczności – wczoraj zajęta, dzisiaj bez zobowiązań i obietnic.

– Co się tak rozmarzyłeś? – sztabkapitan nie wyglądał na tak zadowolonego jak Marek. – A, domyślam się, o kogo chodzi.

– Wyobraziłem sobie minę polskiego przedstawiciela dyplomatycznego w Helsinkach, jak mnie zobaczy. Przeżyje ciężki szok.

– Najpierw idź do fryzjera i poproś o golenie. Jeśli nie masz drobnych, Mayer ci chętnie pożyczy – kumpłowi chodziło o tęgawego pułkownika. – Nie sądziłem, że zapalacie do siebie aż taką sympatią.

– To źle?

– Nie, dobrze. Słuchaj, pogadałem o tobie. Z jego koneksjami odstawią cię pierwszym lotem do domu.

– Chętnie poczekam.

Poczeka, poczeka. Przecież nie zostawi Katii na pastwę losu. Wyszarpie z ambasady jakieś fundusze, a jak się nie da, to od Mayera, i jakoś ją zabezpieczy. Przynajmniej na najbliższe dni. Lepsza jego pomoc od zupełnej niepewności. Jak da radę, zabierze ją... Absurdalność tej myśli dotarła po niego po paru sekundach. Co on bredzi? Szansa na związek z Katią przedstawiała się

jak jeden do dziesięciu. Czym on jej może zaimponować? Prawdę mówiąc – niczym. Ona nawet nie wie, kim jest. Jakimś przybłądą, bo za Estończyka na pewno go nie wzięła. Lepiej jak przestanie zawracać dziewczynie głowę.

W kieszeni spodni wymacał jakiś przedmiot. Zapalniczka, owszem, ale nie przypominał sobie, by wkładał tam coś jeszcze. Ledwie palce dotknęły krążka, już wiedział, o co chodzi.

– Poznajesz? – podsunął sygnet pod nos Konstatina. Sztabskapitan odchylił głowę.

– Na damski nie wygląda.

– Nie o to mi idzie.

– Pokaż – Konstantin zaczął obracać przed sobą złote kółko. – Gdzie to znalazłeś?

– Nie zgadniesz.

– Mayer zgubił, a ty boisz się oddać.

– Prawie – Marek oparł się pośladkami o burłę i skrzyżował przed sobą ręce.

– No gdzie?

– Tam – głowa Bagińskiego wskazała rufę kutra.

Zdezorientowany Estończyk spojrział w tył, gdzie oczywiście niczego nie dojrzał i nic nie zrozumiał.

– W maszynie tej cholерnej „Meduzy”, jeśli chcesz wiedzieć.

– Tak po prostu leżało? – Konstantin wytrzeszczył oczy. Wciąż nie próbował zrozumieć, w czym rzecz. – Może to rodzinna pamiątka, trzeba oddać.

– Stój – Marek nadepnął mu na nogę. – I przestań się wydzierać.

Żigariew ciekawie zerkał w ich stronę.

– Schowaj sygnet – nie bał się konfrontacji z szyprem. Nie widział tylko potrzeby, by kłuć go w oczy

swoimi podejrzeniami. – Nie leżał na wierzchu, tylko razem z automatem i amunicją, ukryty w skrzyni.

– Co kompletnie nic nie znaczy.

– Początkowo myślałem, że jest pokryty smarem. Później okazało się, że to krew. Więc poznasz czy nie?

– Mogę zerknąć raz jeszcze?

Bagiński zasłonił Konstantina, stając tyłem do sterówki. Ten poobracał sygnet na wszystkie strony. W końcu potarł złoto o skraj płaszcza.

– Tu jest inskrypcja – powiedział po oględzinach.

Sam tego wcześniej nie zauważył.

– Jaka?

– Bagatirom graždanskoj wajny i rok 1919 – powiedział cicho dawny oficer wojsk białogwardyjskich. – Paru wyższych dowódców zrobiło sobie pamiątki. Rozumiesz: krzyżyki, medaliki i takie sygnety.

– Żigariem nie wygląda na wyższego dowódcę.

– Mógł to otrzymać za zasługi wymagające wyjątkowego męstwa.

– Sam mówiłeś, że był dezserterem, a mnie wspominał o robocie rusznikarza, więc jak było?

– Nie wiem wszystkiego.

– Ale przyznasz, że czegoś takiego nie trzyma się z amunicją.

– W końcu było schowane, no nie? – Konstantin jak najszybciej chciał przejść nad tym do porządku.

– Powiedz mi tylko jedno – Bagiński pochylił się do ucha Estończyka. – Ten wasz koordynator, u którego był kocioł, mógł posiadać taką błyskotkę?

– Oczywiście, że tak.

– Tylko tyle chciałem wiedzieć.

Odebrał sygnet i schował z powrotem do kieszeni.

Nie czuł wyrzutów sumienia z powodu kradzieży. Zresztą, czy to była kradzież? Jak ukradnie się łup złodzieja, to jak to nazwać – przecież nie złodziejstwem. Sygnet miał całkiem sporą wartość. W ostateczności złoto zawsze stało wyżej od papierowych banknotów. Przemysłownik nie zubożeje, a jemu się przyda.

Mrużąc oczy, dawało się dostrzec wieżę i kopułę wielkiej katedry górującej nad Helsinkami. Szlak pomiędzy skalistymi wysepkami wyznaczał pomalowany na czerwono latarniowiec zakotwiczony tuż przy torze wodnym. Oczywiście, obecnie żaden słup światła nie wskazywał drogi ani w nocy, ani przy ograniczonej widoczności. Po co ułatwiać zadanie nadlatującym raz za razem nad miasto bombowcom?

Dopływając do nabrzeża, zobaczyli, że przy pirsach cumowało tylko parę niewielkich jednostek. Wszystko, co tylko mogło, uszło dalej na zachód lub do Szwecji. Dlatego też wszyscy pracujący w pobliżu przerywali zajęcia i wpatrywali się w nich ze zdumieniem.

– Powiem, że to już koniec wycieczki – zaofiarował się Bagiński.

– Tak, niech się przygotowują.

Na pewno pierwsze kilka godzin spędzą w najbliższym komisariacie policji, wyjaśniając, co, gdzie, kiedy i dlaczego. Wszyscy mieli dokumenty, a to znacznie ułatwi pracę odpowiednich służb. Z nim nie pójdzie tak łatwo. Zanim ściągną konsula czy oficera z ataszatu, przekażą odpowiednią informację do Warszawy, gdzie przecież niekoniecznie muszą zająć się tym od razu, i w końcu odeślą odpowiedź, upłynie doba. W najlepszym razie.

– Szanowni państwo – staną na środku ładowni –

za dziesięć minut przybijamy.

Brakowało tylko „dziękuję za miły rejs” czy „świetnie się z wami podróżowało”. Ważne, że dali radę. Chociaż nie wszyscy.

Bardzo szybko w środku zrobiło się pusto. Po co siedzieć w zatęchłym pomieszczeniu, skoro można odetchnąć świeżym powietrzem wolności. Na dole został tylko on i Katia.

Najgorszy kryzys już minął. Wyglądała na spokojną i opanowaną, tylko nieco osowiała.

– Powinam się cieszyć. W końcu jestem, gdzie chciałam – pociągnęła noskiem.

– Nie mamy wpływu na wszystko – co tu powiedzieć, by nie wyjść na idiotę? Cały czas myślał o Franzu. Ciekawe, czy ona też.

– Franz miał plany...

Więc jednak.

– Tyle że to były jego plany. Nie moje.

– Jeżeli mogę jakoś pomóc, to bardzo chętnie – w końcu ubrał w słowa męczącą duszę niepewność.

– Pan zawsze taki szybki w pomaganiu nieznanym?

– Tylko wtedy, kiedy robią na mnie takie wrażenie.

W końcu uśmiech ozdobił jej twarz.

– Skoro tak, to chętnie się zgodzę.

•

Od początku zadanie oscylowało pomiędzy trudnym a karkołomnym. Miotał się pomiędzy ministerstwami a urzędami różnych szczebli. Co prawda wszędzie podejmowany był z gościnnością znacznie wykraczającą

poza dyplomatyczne frazesy, jednak w sytuacji, kiedy Finlandia walczyła o przetrwanie, jego rozmówcy koncentrowali się na zupełnie innych sprawach.

Komórka polskiego wywiadu w Helsinkach liczyła trzy osoby – majora Józefa Ekierta i dwóch pomocników. Jak do tej pory ich kontakty z Finami ograniczały się przeważnie do wymiany informacji oraz koordynacji działań na morzu. O ile kwestie bezpieczeństwa żywo interesowały obie strony, to drugie zagadnienie pozostawało niejako w cieniu. Kiedy Flota Bałtycka opuszczała Kronsztad, Ekiert prawie nie wychodził z pomieszczeń Sztabu Generalnego. Wystarczyła korekta kursu na południe i strach trzymający do tej pory wszystkich za gardło osłabł. Problem w całości został zrzucony na barki polskich lotników i marynarzy. Gdy zaczęły dochodzić informacje z pola walki, majora poklepywano po plecach w dowód uznania. W kręgach generalicji i polityków zaczął przeważać ostrożny optymizm. To tu, to tam przebąkiwano o brytyjskiej eskadrze mającej jakoby już forsować Cieśniny Duńskie i iść na pomoc wymęczonym Polakom i Finom. Nie był pewien, co o tym myśleć. Jakieś posunięcia na pewno zostały wykonane – co do tego nie miał wątpliwości. Chodziło o ich skalę.

Właśnie przeglądał największy fiński dziennik „Helsingin Sanomat”. Na pierwszej stronie przedstawiono zdjęcie marszałka Mannerheima wizytującego w otoczeniu najbliższych oficerów jeden z miejskich szpitali, pełen rannych przetransportowanych wprost z północnego frontu. Spokojną lekturę przerwało mu dyskretne chrząknięcie.

– No co tam? Nie widzicie, że jestem zajęty? – poranna kawa to rytuał, którego nie lubił zakłócać.

Wszelkie odstępstwa od reguł sprawiały, że reszta dnia była do kitu.

– Eeee...

– Wyduście w końcu z siebie, o co chodzi – ten podporucznik tak nadawał się do ataszatu jak on – nie przyrównując – na ułańską kobyłę.

– Ktoś chce się z panem widzieć.

Ekiert wstał i dopiął górny guzik kurtki.

– Wprowadź.

– Ale to nikt z tutejszych władz, panie majorze – wykrztusił z siebie pomocnik.

– Jak to? – major popatrzył na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Poranny nalot odbył się godzinę temu. Teraz przerwa do obiadu, alarm między dwunastą a trzynastą i tak do wieczora. Właśnie teraz załatwiano większość spraw urzędowych.

– Ta... osoba została przywieziona przez policję na własną prośbę.

– Bandyta?

– Trudno powiedzieć. Bardzo, ale to bardzo domaga się widzenia.

Wychodziło na to, że nie pozbędzie się natręta ot, tak sobie. Dobra. Im szybciej to załatwi, tym szybciej wróci do gazety.

– Dawać go tu – usiadł i założył nogę na nogę, wpatrując się w prostokąt drzwi.

No tak, bandyta, miał rację. Gęba zarośnięta, krok pewny, wejrzenie aroganckie. Wcale się nie zdziwi, kiedy delikwent wyjedzie z propozycją ubicia interesu. Jakiś handelek – sterta bezużytecznych kapoków czy śrubek bez nakrętek. Nie – zreflektował się szybko. Nie ta kategoria. Tu bardziej chodzi o informacje. Szpieg. Na pewno szpieg

lub osoba mająca dostęp do ciekawych, acz niekoniecznie mających wojskowy charakter wiadomości.

– Przejdźmy od razu do meritum – powiedział Ekiert, zanim przybysz zdążył powiedzieć choćby słowo. – Nie kupuję, nie sprzedaję, a to, co chce mi pan powiedzieć, wiem od dawna.

– A to ciekawe, co pan major chciałby kupić, ewentualnie sprzedać, o plotkach nie wspominając – odezwał się doskonałą polszczyzną natręt w pomiętym garniturze, ubłoconym płaszczu i z kapeluszem trzymanym na wysokości klatki piersiowej. Jego beczelne wejrzenie zirytowało oficera.

Marek jednym spojrzeniem obrzucił gabinet. Z jednej ściany w interesantów wpatrywał się Piłsudski, z drugiej strony znaczny kawałek muru przysłaniał olbrzymi portret prezydenta Mościckiego.

Doskonale wiedział, jak wygląda. W tym, w czym przebył zatokę, nie nadawał się na salony. Tu brudne, tam rozdarte. Jednak nie o galanterię chodziło. Stuknął obcasami półbutów, przyjął w miarę regulaminową postawę. Wyrecytował zwyczajową formułkę, patrząc, jaki przyniesie efekt.

Oficera o mało nie raził grom. Brakowało tylko: „A co wy tutaj robicie!?”. Zamiast tego major wstał, poderwany impulsem.

– Jeżeli to jest polski ataszat, to dobrze trafiłem – nie sądził, by fińscy policjanci z portowej komendy przywieźli go gdzieś indziej, ale zapytać nie zaszkodzi.

– Poruczniku, niech was licho, co wy...

A jednak się nie mylił.

– Ostatni przydział: Morski Dywizjon Lotniczy. Zostałem zestrzelony parę dni temu nad Estonią podczas

misji specjalnej – ostatniego zwrotu nie musiał wygłaszać, chociaż momentalnie ustawiało go to w zupełnie innej pozycji. Więcej ten bubkowaty major nie musi wiedzieć.

– I?... – zapytał Ekiert.

– I nic, panie majorze. Zarówno pana, jak i mnie obowiązuje tajemnica wojskowa. Resztę swojej wiedzy przekażę w Pucku, jak już tam się znajdę.

Właściwie ten major miał prawo wiedzieć to co i on. Służył w II Oddziale, podobnie jak Bagiński. Poza tym po tych paru dniach i nocach wszelkie obserwacje, jakie poczynił podczas lotu, już dawno stały się nieaktualne. Na co komu pozycja „Kirowa” czy „Oktyabrskoj Rewolucji” sprzed kilku dni, skoro oba okręty, jak wiedział, spoczywały na dnie.

– A jak chcecie tego dokonać? – major wybałuszył oczy.

– Czyżby nasze placówki dyplomatyczne nie były zobowiązane do pomocy w takich przypadkach?

– Staje pan przede mną i twierdzi... I podaje się za pilota, jakoby zestrzelonego, i tak dalej. Książeczki żołądu pan oczywiście nie posiada?

– Przepadła, panie majorze.

– W takim razie trochę potrwa, zanim sprawdzimy, coście za jeden.

– O ile mnie pamięć nie myli, zupełnie niedawno każdy pilot i każdy samolot był na wagę złota.

– O ile wiem, nic się nie zmieniło – Ekiert przespacerował się do biurka, poprawiając skórzany pas. – Ale nie sądzicie chyba, że zorganizujemy wam przerzut w ciągu paru godzin. To potrwa. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak długo. Możecie być natomiast pewni, że nie zapomnimy o was.

- To co mam teraz robić?
 - Idźcie do kancelarii, sporządźcie raport.
- My zajmiemy się resztą.

Rozdział 31

Szkła lornetki nieco przekłamywały rzeczywistość. To, co z boku, zaokrągliło się i traciło ostrość, na szczęście wyskalowana podziałka w środku pola widzenia wynagradzała te drobne wady optyki.

Właśnie wyszli z burzowego szkwału – ukryci przed wzrokiem wroga, ale też sami niewiele widzący. Przy tak niskiej podstawie chmur lotnictwo raczej im nie zagrozi. Komandor Stefan Kwiatkowski co godzinę sprawdzał komunikaty meteo i w końcu postanowił zaryzykować. Dzisiaj to ostatni dzień na akcję, inaczej jednostki rozproszonego konwoju dotrą do bezpiecznych przystani, a im co najwyżej pozostanie kurs na Gdynię. Bardzo tego nie chciał. Uznał to za swoje być albo nie być. Dostał szansę i był gotów poświęcić dla niej wiele.

– Dziesięć stopni na sterburtę – obserwował niewyraźny horyzont, prawie nie odejmując szkieł od oczu. Odrobinę ciemniejsze tło mogło oznaczać dym z kominów.

– Panie trzeci, będzie pan tak łaskaw...

– Ma pan rację, panie komandorze. Wygląda na transportowiec.

– Dziękuję.

Więc jednak. Przeczucie go nie myliło. Wraz z upływającymi minutami wiedział, że trafił w dziesiątkę. Dopadli nie jeden transportowiec, a kilka, być może w towarzystwie jakiejś wojennej łajby. Najwyżej lidera, bo większe jednostki już przestały się liczyć.

- Alarm bojowy – zarządził krótko.
- Alarm bojowy – powtórzył trzeci oficer grobowym głosem. Każda akcja wyzwaliała w nim potężne emocje. Po prostu nie potrafił ustać w miejscu. Chodził z miejsca w miejsce, uważając tylko, by przypadkiem nie napatoczyć się na dowódcę.

Sami również musieli zostać dostrzeżeni. Komandor nie miał złudzeń.

Szli pełną mocą maszyn. Konstrukcja „Gryfa” ciężko pracowała na wzburzonym morzu. Kropelki wody docierały aż na pomost i osiadały na iluminatorach. Oficerowie przynajmniej stali w środku. Artylerzyści przy armatach Bofors wz. 34/36 kalibru 120 mm, osłoniętych wyłącznie tarczami przeciwołamkowymi, byli wystawieni na działanie porywistego wiatru i wciskającej się wszędzie mokrej mgiełki.

Właściwie mogli już strzelać. Idąca na samym końcu jednostka, bez wątpienia niszczyciel, znajdowała się w zasięgu ognia. Sunące przed nim transportowce rozpoczęły manewr rozproszenia. Ich kapitanowie doskonale wiedzieli, że nie niszczyciel będzie zasadniczym celem, tylko one. Komandor naliczył w sumie cztery jednostki, łącznie z osłaniającym tyły okrętem. W pobliżu być może są jeszcze inne. O tym nie wiedział, chociaż brał taką możliwość pod uwagę.

Niszczyciel w każdej chwili mógł zwaćć, pozostawiając powolne motorowce własnemu losowi. Nie zrobił tego, a to dobrze świadczyło o jego dowódcy. Widać poczucie obowiązku nie zostało jeszcze pogrzebane.

– Strzelają do nas – trzeci najszybciej zaobserwował rozbłysk z dział. Pociski potrzebowały dwunastu sekund, by dotrzeć w pobliże „Gryfa”. Dwa gejzery wykwitły dobre

trzy kable z prawej burty stawiacza min. Na razie macają. Kolejna salwa spadła o wiele bliżej. Trzeci wyczekująco spojrzął na Kwiatkowskiego.

– Pal – wydał dyspozycję.

Sekundę później rozbłysły polskie działa. Następna w szyku „Błyskawica” przyłączyła się do kanonady. Jak wszystko dobrze pójdzie, powinni przyszpilić Sowietów i roznieść kolejnymi salwami. Nie wszystko jednak musiało pójść dobrze.

Sami dochodzili sowiecki konwój z prędkością 20 węzłów. Tylko tyle wyciągały maszyny „Gryfa”, który przecież nie był niszczycielem. Reszta polskiej eskadry z konieczności dostosowała się do najwolniejszej jednostki, szczególnie że była okrętem flagowym. Rosjanie rozwijali początkowo nie więcej niż 12 węzłów. Każdy z kapitanów w tej sytuacji maksymalnego zagrożenia ratował się na własną rękę.

Kolejną niesprzyjającą okolicznością były dwa kolejne niszczyciele zdążające na pomoc transportowcom. Odległość od nich wynosiła ponad dziesięć mil, od osłaniającego je niszczyciela tylko pięć. Kiedy marynarze na pomoście ustawili tarczę kondżugatora – maszyny liczącej zbierającej informacje o prędkości i kątach naprowadzania – a celowniczy przy działach nakierowali lufy na cel, ustawiając ich położenia w pionie i poziomie, nic jeszcze nie wiedzano o nowych przeciwnikach.

Oslaniający niszczyciel należał do starego typu Nowik. Cztery działa 102 mm, z których ogień w tej chwili mogły prowadzić tylko dwa w baterii rufowej, nie stanowiły takiego zagrożenia jak zbliżające się kontrtorpedowce typu Gniewnyj. Cięży wody Bałtyku

z desperacką stanowczością, z prędkością dochodzącą już do 36 węzłów. Ich atutem był nieco większy kaliber armat –130 mm – jak „Wichra”. Pięć polskich okrętów kontra trzy sowieckie. Mimo wszystko przelicznik nie wyglądał najgorzej. Sunące eskadry weszły w kontakt bojowy bardzo szybko.

– Prawo 120 dwa niszczyciele. Odległość osiemnaście tysięcy pięćset metrów – wachtowy podał pierwsze namiary.

Komandorowi pozostawało jeszcze jedno wyjście – do walki z bojowymi jednostkami Floty Bałtyckiej mógł spuścić ze smyczy własne niszczyciele, które poradziłyby sobie równie dobrze i bez niego, a samemu pognać za uchodzącymi motorowcami. Jednocześnie wiedział, że w nadchodzącym starciu liczyć się będzie każde działo.

Tymczasem osłaniający okręt został trafiony. Zwolnił, ale nie zaprzestał ostrzału.

– Odległość osiem tysięcy pięćset metrów – dalmierzysta rzucił kolejny namiar.

Teraz już dopadnie sowieckiego Nowika, to tylko kwestia czasu – pomyślał Kwiatkowski.

Pociski wystrzelone dwanaście sekund wcześniej przeleciały nad „Gryfem” i wyrznęły w „Błyskawicę”, która wypadła z szyku. Jakoś załoga tego okrętu nie miała szczęścia. Już raz ucierpieli po bombardowaniu, a teraz jeszcze to.

– Nowy namiar prawo sto. Odległość siedemnaście tysięcy metrów.

Lukę za „Gryfem” wypełnił ORP „Wicher”. „Błyskawica” odeszła w bok. Komandor bardzo chciał wiedzieć, jak poważne są zniszczenia, jednak bitwa rządziła się własnymi prawami.

Kolejna salwa grzmotnęła w upatrzony cel, który zwalniał coraz bardziej. Jednak to wcale jeszcze nie oznaczało zwycięstwa. Oni i „Wicher” bili teraz równo w obiekt przy wciąż spadającej odległości. Nowik przestał strzelać na dłuższą chwilę. Kwiatkowski obserwował go przez cały czas. W końcu nad rufą rozkwitł biały obłok wystrzału. Komandor wyobraził sobie zmierzający ku nim ładunek. Prawie trafili. Fontanna wykwitła tuż przy burcie.

Odetchnął z ulgą, jednak nie na długo. Rosyjscy artylerzyści pracowali niezmiernie. Odnosił wrażenie, że rufę zalewają coraz większe fale, a ci wysyłali w powietrze wciąż nowe pociski.

– Pięć stopni na sterburłę.

– Jest pięć stopni na sterburłę.

Dziób „Gryfa” zaczął zataczać łuk, a odpowiedni sygnał popłynął do pozostałych jednostek eskadry.

Artylerzyści wprowadzili nowe namiary.

Jak zwykle w takich sytuacjach bywa, dowódcy okrętów i oficerowie wachtowi widzieli tylko najbliższy wycinek otaczającej ich przestrzeni. Wszystko, co za horyzontem, pozostawało niewiadomą. Przy panującej pogodzie nie liczone na żaden rozpoznawczy samolot mogący rozwiązać tajemnicę.

Dla tak doświadczonego oficera, jakim był Kwiatkowski, ta niewiedza stanowiła istotny czynnik. „Błyskawica” już wypadła z linii. Jeden z przeciwników pogrążył się w falach, a Polacy wciąż dysponowali przygniatającą przewagą w artylerii. To wciąż było w sumie osiem armat 130 mm i dwadzieścia armat 120 mm przeciw sowieckim ośmiu działom 130 mm i czterem kalibru 102 mm. Niemniej to wcale nie oznaczało, że miał ochotę stoczyć z nimi bitwę. Na pewno byłby

zdecydowanie jeszcze mniej chętny, gdyby wiedział o kolejnym sowieckim niszczycielu nadciągającym z południowego zachodu. Transportowce, jego główny cel, rozplywały się we mgle, stanowiąc wyzwanie dla komandora.

– Zmieniają kurs na zero-cztery-pięć.

To oznaczało, że będą teraz płynąć obrócenie sterburką do nich.

– Jaka odległość?

– Piętnaście tysięcy pięćset.

Kwiatkowski spojrział na pokładowy zegar. 10.37. Oba zespoły szły teraz prawie równolegle do siebie. Przy takim kursie bez możliwości przecięcia torów wodnych rozbicie przeciwnika i dopadnięcie motorowców wydawało się niemożliwe. Każda chwila zwłoki oddalała ten moment, czyniąc całą wyprawę wręcz bezsensowną. Te dwa niszczyciele wciąż ich będą spychać na północ, nie dopuszczając w pobliże transportowców. Możliwości nie pozostawało wiele – najpierw musi rozbić ich zespół, dopiero później dobrać się do nagrody.

– Zwrot na kurs zero-trzy-zero.

Walkę z nowym przeciwnikiem na pewno okupią większymi stratami. Z jego prędkości już wcześniej wywnioskował, że ma do czynienia z okrętami nowego rodzaju – typu Gniewnyj czy, jak mówili Sowieci, „projektu 7” – bez porównania lepszymi od carskiego jeszcze Nowika. Pod odpowiednim dowództwem mogą stanowić spore zagrożenie.

Właściwie już teraz sowiecka grupa była w zasięgu skutecznego strzału. Odległość zaczęła gwałtownie maleć, kiedy obrali kurs na zbliżenie. Jeżeli jednak nieprawidłowo oszacują pozycje, stracą bezcenne sekundy na wstrzelenie.

Teraz najważniejszy jest podział celów. To należało do jego obowiązków jako starszego oficera. Wydał polecenie i odpowiedni sygnał powędrował na maszt. Jako prowadzący ostrzela pierwszego w szyku, a ORP „Wicher”. „Grom” i „Burza” zajmą się następnym.

– Odległość?

– Trzynaście tysięcy metrów – minuty podczas walki upływały błyskawicznie. Przecież dopiero co o to właśnie pytał.

– Pal.

Pociski z dział pomknęły z prędkością 860 metrów na sekundę. Niecierpliwie popędzał je w myślach.

– Tysiąc metrów za krótkie – zameldował sygnalista.

Wprowadzono poprawki i czynność tę będą powtarzać aż do osiągnięcia celu. Rosjanie rozpoczęli kanonadę prawie równocześnie. Teraz liczyły się sekundy.

– Pięćset metrów za krótkie.

Cholera, był zdenerwowany jak nigdy. Kadłub okrętu drżał przy każdym wystrzale. Najbliższe otoczenie dział zaśmiecały mosiężne łuski. Pełen ładunek trafił do czeluści komór, gdzie proch nadawał energię wyrzucanym pociskom.

– Dwieście metrów za długie.

Kwiatkowski stalowym wzrokiem obrzucił trzeciego oficera, jakby to on był wszystkim winien.

Działa polskiej eskadry ziały teraz ogniem bezustannie. W zależności od wyszkolenia obsługi w ciągu minuty udawało się oddać do dwunastu salw. Przeciętnie od ośmiu do dziesięciu. Z wnętrza okrętu podajniki dostarczały kolejne naboje odbierane przez trzech zmieniających się ładowniczych. Zamkowy zatrząskiwiał

zamek. Wystrzał i wszystko powtarzało się od początku. Tyle razy przetrenowali to na ćwiczeniach, że teraz działali jak automaty. Każdy działon starał się, jak mógł. Im więcej wystrzelonych pocisków, tym większa szansa trafienia przeciwnika. Jak szacowano, jeden na trzy osiągał cel. Liczba czynników wpływających na celność była duża – prędkość własna i przeciwnika, stan morza, widoczność, siła i kierunek wiatru, wilgotność i temperatura powietrza, temperatura nabojów i jeszcze kilka innych. Emocji, jakich doświadczali marynarze i oficerowie na pomoście, z niczym nie dało się porównać. Może tylko z doznaniem nacierającego piechura czy załogi czołgu lub samolotu mających to samo zadanie co oni – zniszczyć wroga za wszelką cenę.

Tuż za lewą burtą „Gryfa” wykwitł słup wody. Rosyjski pocisk przeleciał ponad okrętem i eksplodował zaraz za nim. Bitwa z każdą salwą zyskiwała na zaciętości.

Kwiatkowski zdjął na chwilę spojrzenie z ostrzeliwanych okrętów i przeniósł je na wciąż płynącego Nowika. Jednostka, mimo ciężkich uszkodzeń i wyraźnego przechyłu na sterburtę, nadal im dogryzała. Jedno z dział prowadziło ogień, najwyraźniej nie chcąc umilknąć. Komandor ocenił odległość na pięć i pół do sześciu tysięcy metrów od niszczyciela. Nie chciał zmieniać poleceń. Grupa ogniowa miała większe znaczenie od i tak już uszkodzonej jednostki.

– Jest trafienie – obwieścił trzeci oficer.

Nareszcie. Że też to przeoczył! Szybko wyregulował ostrość szkieł. Faktycznie, za idącym jako drugi w szyku okrętem ciągnął się dym. Zacisnął mocniej szczęki, zupełnie tego nieświadomy. Tymczasem „Gryf” nawet nie zwolnił. Trzydziestokilogramowy pocisk detonował

za nadbudówką, tuż przy przeciwlotniczym dziale kalibru 45 mm. Parę następnych fontann wody wkoło kadłuba oznaczające nakrycie obiektu i kolejne trafienie prosto w komin.

Na pomoście „Gryfa” nikt nie wiwatował, chociaż były po temu powody. Ostatecznie zwycięstwo wciąż jeszcze było przed nimi. Tym bardziej że armaty niszczycieli pracowały wciąż tym samym równym tempem. Sporo ich pocisków wybuchało opodal polskich okrętów. Najbardziej brakowało komandorowi „Błyskawicy”. Jej siedem dział miało w tym starciu moc rozstrzygającą.

Tymczasem jednostka pod dowództwem komandora porucznika Włodzimierza Kodrębskiego pozostawała w tyle, ledwo nadążając za zespołem, a to znaczyło, że z ledwością rozwijała połowę swej maksymalnej prędkości. Jeżeli uszkodzona została turbina parowa, to naprawdę nie było dobrze. Co prawda trzy przednie działa strzelały, jednak nie tak koncertowo jak zwykle.

Przestał interesować się „Błyskawicą”, koncentrując uwagę na Sowietach. Teraz wyraźnie zobaczył, jak jeden z niszczycieli odchodzi na południe, stawiając zasłonę dymną. Poczuł satysfakcję. Może nie pełną, ale jednak.

Za to drugi kontrtorpedowiec zaczął odskakiwać do przodu, goniony paroma kolejnymi salwami. Zdaje się, że wyłączyli z walki jedno z jego dział, ale tego nie był pewny, bo tryskające gejzery wody znacznie ograniczyły widoczność.

Lornetkę ścisnął tak mocno, że zbieły mu kłykie palców. Za wolno, za wolno.... Bardzo żałował, że „Gryf” nie potrafi dać z siebie więcej. Kwestia dodatkowych dziesięciu węzłów już rozstrzygnęłaby bitwę, a tak muszą jeszcze dogonić transportowce, które tymczasem zdążyły

odejść na znaczną odległość.

– Przerwać ogień – nie chciał tracić cennych sekund na uciekiniera, tym bardziej że „Wicher” dysponował doskonałym zespołem artylerzystów wciąż nakrywających niszczyciel kolejnymi salwami.

Uszkodzony Nowik aż się prosił o dobiecie. Okręt dryfował jakieś cztery tysiące metrów od nich, zaprzestawszy ostrzału. Przejdą bardzo blisko, w odległości nieprzekraczającej tysiąca metrów, otwarcie ognia będzie równało się rozstrzelaniu jednostki.

– Co mamy robić, panie komandorze? – trzeci, wyraźnie zdenerwowany, czekał na odpowiedź.

– Proszę mi podać odległość od najbliższego transportowca.

– Siedemnaście tysięcy metrów.

– Obie maszyny cała naprzód.

– Tak jest.

– Ster zero.

Każde pół węzła liczyło się w tej rozgrywce.

Z tonącego niszczyciela spuszczone w końcu szalupy. Małeńkie postacie marynarzy tłoczyły się przy nich, zajmując wszelkie dostępne miejsca. Rufę już zalewały co wyższe fale. Jednak cała reszta okrętu wciąż trzymała się na powierzchni. Wysoko uniesiony dziób i śródokręcie z masztem, na którym łopotał proporzec, nie zwiastowały rychłego końca dumnej jednostki.

Mijając ją, Kwiatkowski miał poczucie wstydu. Nie potrafił wyjaśnić jego pochodzenia. W końcu zrobił swoje. Podobnie jak sowieccy marynarze wypełniał obowiązki. Na pewno łączyło ich jedno – wszyscy byli ludźmi morza. W normalnych warunkach nie wahałby się pomóc. Tylko tyle, że teraz toczyli bitwę.

Wyminęli wrak, pozostawiając go własnemu losowi.
– Pięć stopni na bakburkę.

Zasadnicza część misji ciągle była przed nim. Pomysł zatopienia nieuzbrojonych statków pełnych ludzi średnio przypadła mu do gustu. Od biedy można je uznać za wojskowe desantowce, lecz nie zmieniało to istoty sprawy. Teraz to jak strzelanie do bezbronnego przeciwnika. Z drugiej jednak strony Kwiatkowskiego gnębiła możliwość, że któryś z motorowców zwieje, rozplywając się we mgle i deszczu. Teraz miał opory natury moralnej, ale przecież od początku chciał utłuc tego draństwa jak najwięcej. I od początku jakoś to nie szło.

Był tak skoncentrowany na misji, że zapomniał o reszcie zespołu. Już chciał zapytać o odległość, kiedy trzeci wpadł mu w słowo.

– Niszczyciel prawo piętnaście stopni.

Ostatni z sowieckich okrętów, do tej pory niebiorący udziału w starciu, wyłonił się spomiędzy pasm deszczu i rozpoczął kanonadę. Już pierwsza salwa spadła blisko trzeciego w szyku „Groma”. Tego nie spodziewał się nikt. Bitwę uważali już za zakończoną. Piąta z kolei salwa trafiła niszczyciel, rozbijając dwulufowe działo na górnym pokładzie. Przez stalowe poszycie przeszło drzenie jak przez ranne zwierzę. Zabitych zostało piętnastu marynarzy i chociaż najważniejsze instalacje pozostawały sprawne, to dla wszystkich od razu stało się jasne – „Grom” został poważnie uszkodzony. Okręt dowodzony przez komandora podporucznika Hulewicza postawił zasłonę dymną, starając się zamaskować własną pozycję.

Wprowadzenie nowych parametrów do dział trwało tylko chwilę. Pozostałe trzy sprawne jednostki, nie mając na podorędziu innych celów, dosłownie rozniosły

niszczyciel na strzępy. Jako pierwsi wycelowali artylerzyści zamykającej szyk „Burzy”. Omdlałe ręce podawały wciąż nowe ładunki. Nienasycone gardziele komór nabojoych połykały pociski i wyrzucały je ku odległemu wrogowi.

Ową niespodziankę zgotował im ostatni pozostający w dyspozycji Floty Bałtyckiej niszczyciel „Karl Marx”. Podejmując artyleryjski pojedynek z Polakami, załoga wykazała się sporą odwagą. Plan, jaki wymyślili, był prosty – gwałtowny atak i równie szybki odskok. Może uda się narobić szkód, a jeśli nawet nie, to uchodzące transportowce zyskają jeszcze parę minut. Pod osłoną burzowych chmur „Karl Marx” zbliży się na tyle, by otworzyć celny ogień, jednocześnie kompletnie zaskakując mający przewagę zespół bojowy. Parę salw i na pełnej prędkości zwrot o czterdzieści stopni na południe.

Nie wszystko poszło zgodnie z planem. Do ostatecznego triumfu zabrakło dosłownie sekund. Jako wyraźny cel pozostawała już tylko rufa napastnika, kiedy seria pocisków z „Burzy” detonowała na jego śródokręciu. Pół minuty później w oddalający się okręt wycelowali artylerzyści „Gryfa” i „Wichra”. Dosłownie co parę sekund kolejne ładunki obramowywały niszczyciel lub dziurawiły go jak sito. Agonia trwała nieco dłużej. Komenda do opuszczenia pokładu zginęła w ogólnym chaosie po zniszczeniu pomostu bojowego, na którym zginęli kapitan i komisarz. Wszystkie szalupy zostały potrzaskane, sytuacja marynarzy stawała się tragiczna. Po dziesięciu minutach od wejścia do akcji okręt przewrócił się do góry dnem i poszedł na dno wraz z całą załogą.

Ten epizod, chociaż dramatyczny, dla jednego

z transportowców okazał się zbawienny. „Staliniec”, bo o niego chodziło, wymknął się chyłkiem, pozostawiając pobożowisko daleko za sobą. Dla „Newy” i „Andrejewa”, także gnających pełną mocą na południe, los nie okazał się tak łaskawy. Próby postawienia zasłony z generatorów dymu nie powiodły się. Obie jednostki, mające już najlepsze lata dawno za sobą, były po prostu zbyt wolne. Do tego wszystkiego dochodził jeszcze jeden problem – marynarze, wiedząc, co zajdzie, chcieli ewakuować wszystkich i próbowali zawczasu spuścić szalupy. Komisarze polityczni jak zwykle mieli własne rozkazy, co w rezultacie doprowadziło do decyzyjnego pata. Po pierwszych ostrzegawczych strzałach, które zostały zignorowane, na dalsze ceregiele zabrakło czasu.

Z odległości pięciu tysięcy metrów polskie niszczyciele rozpoczęły demolowanie transportowców. Paniki, jaka wybuchła na przeładowanych pokładach, nie potrafili okiełznać ani oficerowie marynarki, ani oficerowie polityczni. Zaokrętowany na dwóch statkach pułk w zasadzie przestał istnieć. Morze pochłonęło przeszło trzy tysiące istnień ludzkich.

W sumie nieplanowane starcie dwóch zespołów okazało się brzemienne w skutkach dla jednej i drugiej strony. Choć Kwiatkowski nie stracił ani jednego niszczyciela, dwa były poważnie uszkodzone. Z pewnością czekało je co najmniej kilka tygodni w stoczniovym doku. Siły nawodne Floty Bałtyckiej natomiast właściwie przestały się liczyć. Jej straty były tak ogromne, że porównanie z pogromem pod Cuszimą nasuwało się samo.

Rozdział 32

Po emocjonujących dniach ostatnie godziny stanowiły dla Marka istną torturę. Właściwie nikt nic od niego nie chciał. Z samego rana pod czujnym spojrzeniem podporucznika napisał pełny raport, później pozostawało mu jedno – oczekiwanie.

Umieszczono go w osobnym pokoju z widokiem na obskurne podwórko. Przyniesiono parę książek do czytania, i to wszystko. Wychodzenie z pomieszczeń ataszatu uznano za niewskazane. Tak bardzo chciał zobaczyć Katię, że na myśl o tym zakazie szlag go trafiał. Zostawił ją pod opieką Konstantina. Adres kontaktowy i numer telefonu wyrzył w pamięci, przechowując jak cenny skarb. Najbardziej gnębił go brak wiedzy, co się z nim stanie. Po raz pierwszy od dawna czuł się rozdarty pomiędzy poczuciem obowiązku, oznaczającym szybki powrót do kraju, a chęcią zatroszczenia się o dziewczynę. Konflikt wyglądał na nie do rozwiązania. Nie chciał zostawać na miejscu, chociaż wiedział, że jak się uprze i postawi na swoim, zostanie przyjęty do tutejszych sił powietrznych. Właściwie to również było jakieś rozwiązanie, jednak pachniało nielojalnością wobec kolegów.

Poczeka i zobaczy, co wymyślą mądrzejsi od niego.

Bardzo chciał wiedzieć, czy informacje o nim dotarły do Urbanowicza. Pewnie zdejmie to z barków dowódcy eskadry spory ciężar. Żyje i jest gotowy

do działania. Kolejny zainteresowany – generał Pełczyński – z racji pełnionych obowiązków pewnie drży z niecierpliwości, by się dowiedzieć, co się z nim stało.

Ciągle paradował w tych samych rzeczach od Aarnego. W tych okolicznościach na mundur nie miał co liczyć. Pozostawała mu mocno sfatygowana marynarka i nie najczystsze spodnie. Vis został skonfiskowany, kiedy tylko przed sporządzeniem raportu wyjął go z kieszeni i położył na stoliku. Podporucznik przechwycił broń niemal natychmiast i pistolet znikł w przepastnej szufladzie służbowego biurka.

Przez ostatnią godzinę placówka tonęła w ciszy. Słyszał kroki na korytarzu, jak się domyślał, albo podpułkownika, albo młodego podporucznika. Gdzieś daleko w tle dzwonił telefon. Niestety, rozmowy już nie zdołał usłyszeć. Po paru minutach ktoś zbliżył się do drzwi i otworzył je bez pukania.

– Proszę za mną.

Wyszedł, poprawiając włosy.

Korytarz, główny hol i skręt do gabinetu majora. Więc jednak.

Ekiert stał przy regale, obrócony w stronę własnego biurka. Z tej niezbyt wygodnej pozycji wskazał telefon i odłożoną słuchawkę.

– Ktoś chce z panem rozmawiać.

Zupełnie swobodnie skierował kroki do aparatu.

– Podporucznik Marek Bagiński.

– Jak ten czas szybko leci.

Marek nie skojarzył głosu.

– Słucham? – powiedział do mikrofonu. Attaché ciekawie zerkał na niego przez ramię.

– Tak szybko zapominacie, a jeszcze parę miesięcy

temu byliście prawdziwą gwiazdą sportu.

– Pan major?...

– No nie, podciągnęli mnie trochę do góry.

Twarz Henryka Dobrzańskiego wypłynęła z zakamarków pamięci z całą wyrazistością.

– Kazali mi sprawdzić, czy to aby na pewno chodzi o pewnego sportowca ze spłaszczonym nosem i czy przypadkiem kumple z Łubianki nie podstawili nam figuranta, ale jak ciebie słyszę, to nie mam wątpliwości – usłyszał śmiech moskiewskiego opiekuna.

– Co tu dużo mówić, dorwali mnie z opuszczonymi spodniami.

– Kiedy pracowaliśmy razem – to słowo Dobrzański podkreślił wyjątkowo mocno – szło ci o wiele lepiej.

– Nie zawsze jest się zwycięzcą.

– Takich pierdół nawet nie chcę słyszeć. Jesteś lepszym pięścierzem czy pilotem?

– Bo ja wiem... – bąknął Marek.

– I w tym tkwi problem. Sami nie wiecie, czego chcecie.

– A pan podpułkownik tak w sztabie, nie na...
Hmm...

– Kto wam powiedział, że w sztabie? – tym razem Dobrzański ryknął pełnym śmiechem. – Ale macie rację. Za parę godzin wyjeżdżam z Warszawy. Pułk już czeka. Mamy spore straty.

– Cieszę się, że w końcu wynaleźli coś dla pana – Bagiński przyciskał słuchawkę tak mocno, że aż ucho nu poczerwieniało. – Pewnie niedługo usłyszemy o jakimś zagonie kawaleryjskim rozbijającym tyły czerwonych.

Zamiast spodziewanej aprobaty usłyszał ciszę. Cholera, czy powiedział coś niewłaściwego?

– Halo, pułkowniku, jest pan tam?

– Posłuchaj, Mareczku – tym razem w głosie Dobrzańskiego zabrzmiała autentyczna troska. – Tak po starej znajomości powiem, że wiele spraw mocno się komplikuje.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że nie rozumiesz. Ja też nie jestem alfą i omegą i nie wiem, jakie otrzymasz rozkazy, ale może się okazać, że tam, gdzie jesteś, jest o wiele bezpieczniej niż tutaj.

Bagiński zdębiał.

– Pan nie mówi poważnie.

– Jak najbardziej. Muszę kończyć. Życzę powodzenia i obyśmy mogli się spotkać w lepszych czasach.

– Ja również.

– Daj mi jeszcze Ekierta.

Marek wyciągnął słuchawkę przed siebie.

– Do pana.

– Ekiert, słucham – oficer szybko ją przejął. – Tak.

Aha... Jasne. Dziękuję za informacje. Tak, żegnam.

W końcu bakelitowa słuchawka opadła na widełki. Zabrzmiało to jak memento.

– W paru sprawach mamy jasność – major popatrzył Bagińskiemu prosto w oczy. – Od teraz jest pan wolny. Nie widzę potrzeby trzymania pana na miejscu. Może pan wychodzić, tylko proszę o tym każdorazowo informować.

– Oczywiście.

– W Warszawie nie podjęto ostatecznej decyzji co do pana osoby – ciągnął dalej Ekiert. – Kiedy takowa zapadnie, nie mam pojęcia. Być może wyruszy pan w drogę niespodziewanie, choć znając naszych

decydentów...

– No tak.

– Podporucznik Tomczyk przygotowuje nowy zestaw dokumentów.

– Będę zobowiązany.

– Proszę nie przesadzać – oficer zbagatelizował sprawę. – Niestety, nasze finanse są skromne, więc sam pan rozumie, że w tej materii liczymy na wyrozumiałość.

A to pech – właśnie mając na względzie tak dobrze rozpoczętą rozmowę, chciał poprosić o parę marek fińskich. Jakaś niezobowiązująca pożyczka. Ale właściwie czego się spodziewał? Podjęcia z honorami przynależnymi głowie państwa? W ostateczności pozostawał mu sygnet, a jak to też nie wypali, to Mayer i jego kontakty. Że też początek ich znajomości ułożył się tak niefortunnie...

Tak często w życiu bywa – osoba działająca nam na nerwy zostaje dobrym druhem. Na odwrót też, niestety, bywało tak samo.

•

Poranek, przedpołudnie i wczesne popołudnie upłynęły Markowi jako nieprzerwany ciąg rozmów, wyjaśnień i dodatkowych raportów. Godziną przerwę spędził w osobnym pokoju. Teraz był już „swój” na tyle, na ile się dało. Tomczyk w sumie okazał się równym gościem. Przy okazji sprzedał mu parę informacji o Ekiercie – jest w porządku, chociaż bywa do bólu upierdliwy, dobrze zna tutejsze układy, jest wybitnym fachowcem i ma słabość do pewnej damy z tutejszego towarzystwa.

To ostatnie było dla Bagińskiego w pełni zrozumiałe

i sprawiło, że Ekiert w jego oczach stał się normalnym człowiekiem.

– Długo tu jesteś? – zapytał Tomczyka.

– Długo. Ponad trzy miesiące – odpowiedział podporucznik z kwaśną miną. – Przyjechałem jeszcze w kwietniu na, jak to nazwali, staż. Prosta robota, mówili. Pierwsza placówka dla niewymagających.

– Już to kiedyś słyszałem – Bagiński wspomniał własne moskiewskie peregrynacje. Ciekawe, kto go tutaj skierował, może pewien bardzo miły urzędas, ten sam co w jego przypadku?

– Znasz temat?

– O, tak.

– Wyhaczyli mnie jeszcze w szkole oficerów kawalerii i zamiast do jednostki w Wilnie, wysłali tutaj.

– Ale przyznasz, że ma to i dobre strony.

– Sam nie wiem. Z jednej to ciepła posadka, nie przeczę. Tylko czy o to chodzi? Kumple tam, a ja tu.

Bagiński doskonale znał to uczucie. Kto przy zdrowych zmysłach lubił narażać się na utratę życia lub zdrowia. No, dobrze – paru takich znał, to fakt. Większa część znajomych jednak preferowała zupełnie inne rozrywki. A on żył w dwóch światach i miał o tym wyrobione zdanie. W końcu, co warte życie bez ryzyka?

– Jest jeszcze jeden porucznik od piechoty. Walczy na froncie i w ogóle rzadko tutaj zagląda. Zdaje się, że woli przebywać w sztabach i okopach.

– Nie lubi Ekierta?

– Zupełnie nie o to chodzi. Jak już przyjedzie, zamykają się z majorem na osobności i rozmawiają. Mnie nie dopuszczają – Tomczyk poskładał kancelaryjne przybory walające się po biurku.

- Muszą mieć powody.
- Być może, nie mam pretensji.

Kawalerzysta i dwójkarz w jednym nie wyglądał na takiego, co żywi urazę. Robił swoje najlepiej, jak potrafił, i wszystko wskazywało na to, że praca w wywiadzie nie skrzywiła mu kręgosłupa.

Bagiński powoli wstał i westchnął. Ogarniała go czysta schizofrenia. Jak to określił Dobrzański: sam nie wiedział, czego tak naprawdę chce – być tu czy tam. Jeżeli to potrwa dłużej, oszaleje.

- Mogę zadzwonić?
- Pewnie.
- Na miasto...
- Przez dziewięć.

Tomczyk dyskretnie wyszedł, nie chcąc przeszkadzać.

Na okrągłej tarczy szybko wybrał odpowiedni ciąg cyfr.

– Halo... – Konstantin nie był w najlepszej formie. Mówił przez nos, przeciągając.

– To ja.
– Wszystko gra? – Estończyk szybko doszedł do siebie.

– Jak najbardziej. A u was?
– Szczerze mówiąc, jest tu jedna osoba, która aż drży z niecierpliwości, by z tobą porozmawiać.

– Mogę ją poprosić?
– Właśnie wyszła. Wróci za moment.
Akurat takiej informacji się nie spodziewał.

– Żartowałem. Zaraz podejdzie – Konstantin przekazał słuchawkę.

- Słucham.

– Katiu... – miał tyle do powiedzenia, ale jak to ująć w krótkich słowach? – Nie wiem, kiedy się zobaczymy.

Czy nie był zbyt natarczywy?

– Mark, jesteś bezpieczny? Kiedy cię zabrali, myślałam o najgorszym.

– Jestem w ataszacie.

– Konstantin mi powiedział, skąd pochodzisz.

To jedna z tych spraw, o których musieli porozmawiać.

– Nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym w ten sposób.

– Wiem, Mark.

– Gdy tylko... – nie dokończył, bo za jego plecami stanął Tomczyk.

– Major wzywa. Mówi, że to pilne.

Bagiński przysłonił dłonią mikrofon.

– Dobra, już idę – skinął głową podporucznikowi. – Posłuchaj, wzywają mnie. Obiecuję, jak dostanę trochę wolnego, zaraz się zjawię.

– Marek, szybciej!

Struktura armii ma to do siebie, że niestety nie jest się panem własnego czasu. Ile to razy chciał zrobić jedno, a musiał zupełnie co innego. Gdyby nie lotnicza pasja, zmieniłby zawód. W zanadrzu miał sport. Pięściarski mistrz wagi średniej Marek Bagiński. Jak nabierze masy, to kto wie...

Ekiert niespokojnie krążył po własnym gabinecie.

– Panowie... – powiedział na widok wchodzących.

Oficjalne zachowanie nie wróżyło niczego dobrego.

– Na mocy decyzji naczelnego wodza nasza placówka się rozbudowuje. Podporucznik Bagiński zostaje z nami i obejmuje kierownictwo sekcji lotniczej.

Widząc zdumienie na twarzy pilota, wyjaśnił:

– Proszę się nie dziwić, takie polecenia przekazał generał Pełczyński.

– Mam pytanie, panie majorze – tym razem wyskoczył Tomczyk.

– Proszę.

– Czy to oznacza więcej ludzi do poszczególnych zadań?

– Jak najbardziej. Na razie kilku, a jak to się skończy, nie mam pojęcia.

Rozdział 33

WARSZAWA

Naczelnny wódz Edward Śmigły-Rydz, skoncentrowany na przeglądaniu dokumentów, mimowolnie poluzował kołnierzyk i upił łyk wody. Nieprzyjemny trzepot serca w piersi jednak nie chciał ustąpić. Dolegliwości to nasilały się, to słabły wraz z napływającymi doniesieniami nie tylko z frontu, ale także, a może przede wszystkim, z gabinetów polityków: sojusznicznych i nie tylko.

– Jestem zdumiony. Jeszcze dziś poproszę ministra Becka...

– Obawiam się, że to nic nie da – szef II Oddziału Sztabu Głównego generał brygady Tadeusz Pełczyński wiedział, że od tej rozmowy będzie wiele zależeć.

Wolałby spotkanie sam na sam. Niestety, szef sztabu Waław Stachewicz „całkiem przypadkiem” został umówiony na tę samą godzinę.

– Dlaczego?

– Sprawy zaszły za daleko. Porozumienie już funkcjonuje i Niemcy wprowadzają je w życie. Wszystko wygląda tak jak w ostatnich dniach czerwca i na początku lipca, tuż przed sowiecką inwazją.

– Moim zdaniem to dezinformacja – wtrącił szef sztabu.

– Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

- Przeczucie.
- Sam pan przyzna, że to trochę mało.
- Chcą, byśmy rozproszyli siły. Zdejmujemy z frontu parę dywizji i skierujemy na zachód. W tym czasie...
- To nieważne. Takich ruchów nie wykonuje się tylko po to, by postraszyć przeciwnika. W tym wypadku nas.

Generał Stachiewicz już tak twardo nie obstawał przy swoim zdaniu jak kiedyś. Parę ostatnich tygodni dało mu do myślenia, a koncepcja wzajemnego porozumienia Niemców i Sowietów stawała się całkiem prawdopodobna.

– Muszę zadać to pytanie – marszałek zmarszczył czoło. – Proszę mi powiedzieć, jak oceniacie panowie szansę na... obronę. Ma to jakikolwiek sens czy będzie wyłącznie pustym gestem?

Stachiewicz spojrział na Pełczyńskiego, zaciskając usta, i pokręcił głową.

– To ponad nasze możliwości. Nie widzę wyjścia. Możemy negocjować warunki zawieszenia broni... Sam nie wiem.

– Rozejm? – zapytał Śmigły.

– Starannie badam wszelkie sygnały i muszę powiedzieć o braku woli przywódców sowieckich w tej materii. Przy każdej okazji jednoznacznie dają do zrozumienia jedno: nie po to rozpętywali wojnę, by ulegać słabszemu.

– Jak na razie mało idzie po ich myśli – powiedział Stachiewicz. – Dwa najważniejsze kawałki tego tortu wciąż pozostają poza ich zasięgiem.

– A skąd pan wie, że najważniejsze? – odparł szef II Oddziału. – Zwykliśmy brać wszystko do siebie. To błąd. Ja twierdzę inaczej. Wcale nie o nas ani nie o Finów

chodzi. To przygrywka. Zwyczajne interludium przed czymś o wiele ważniejszym. Stalin całkiem mądrze postąpił, proponując układ Göringowi. Ma współnika w zbrodni. Nie jest sam, a Niemcy to potężny partner.

– Anglia i Francja... – zająknął się szef sztabu.

– Czyżby? Na jakiej podstawie wyciąga pan takie wnioski? Ja wiem... – Pełczyński wykonał uspokajający gest – wszyscy mamy doświadczenia z poprzedniej wojny. Problem nie w doświadczeniu, a w przywódcach.

– Przecież generałowie Gamelin i Giraud są jak najbardziej kompetentni.

– Są starzy – obcesowo zauważył Pełczyński. – Działają tak, jak ich nauczono w młodości. Nie widzę tam wielkiej inwencji. Są konserwatywni aż do bólu. Będą się tylko bronić, i to wyłącznie przyparci do muru lub w obronie własnych interesów.

– W pana słowach nie słyszę zbytniego zachwytu dla naszych przyjaciół – sapnął Śmigły, zaskoczony niespodziewanym obrotem rozmowy.

– Nie mamy im nic ciekawego do zaofiarowania. Chyba że chodzi o naszą krew. Wszyscy inni są w dużo lepszej sytuacji. Nawet Holandia i Belgia, bo mają kolonie z surowcami strategicznymi i tanią siłą roboczą.

– Norwegia nie ma nic.

– Pozornie. Marynarka handlowa to prawie tysiąc statków na mazut, nie na węgiel. Wszystko do wzięcia od zaraz. Nawet Finowie mają kopalnie niklu w Petsamo. Sami panowie widzą – jest o co się szarpać. My mamy tylko korzystne położenie.

– Niby wszystko jasne, ale jak pan to mówi, to aż ciarki po plecach przechodzą.

– Prawda bywa okrutna, panie marszałku.

– To oznacza koniec z niepodległością i kolejny rozbiór. Taka konkluzja sama się nasuwa po pańskich słowach – skwitował Stachewicz.

– Panowie, jestem tylko szefem wywiadu, nie wróżką. Nie wiem, jaki obrót przybiorą sprawy. Już raz w 1939 roku wyglądało, że jesteśmy blisko konfliktu na podobną skalę. Wtedy wszystko rozeszło się po kościach, a poprzedni kanclerz... No... – Pełczyńskiemu zabrakło nazwiska.

– Hitler – odpowiedział Śmigły.

– Tak. Hitler pozował na o wiele bardziej nieustępliwego i wojowniczego od obecnego.

– Pozostaje ubolewać, że podobna przygoda nie spotkała Stalina.

– O ile do wojny z Niemcami zaczęliśmy się przygotowywać dopiero w marcu, o tyle Sowieci absorbowali nas od początku.

– Pamiętam plan kordonowy generała Kutrzeby, jak o nim mówiono.

– Właśnie. Tylko tym razem jesteśmy w dużo gorszej sytuacji.

– Zostaniemy zmiażdżeni przez dwa walce – naczelny wódz popadł w przygnębienie.

– Spokojnie. Po pierwsze, jeszcze nie zaatakowali, po drugie – walczymy i mamy w pełni zmobilizowaną armię. To daje atuty.

– Niby jakie?

– Dopóki nas nie rozbiją, możemy się bronić, chociażby cofając się na przedmoście rumuńskie. Moim zdaniem to jedyna szansa.

– Oddamy Warszawę.

– Ważniejsze od tego jest ocalenie wojska –

Pełczyński pochylił się w przód, chcąc być lepiej zrozumianym. – O ile dobrze sobie przypominam, coś podobnego zrobili Serbowie, wycofując się do Grecji. Niech Rumunia stanie się naszą Grecją.

Stachiewicz nie wyglądał na przekonanego.

– Taka operacja jest bardzo skomplikowana. Oddalenie niektórych jednostek prawie ją uniemożliwia.

– Ale nic nie stoi na przeszkodzie, by wzmocnić prawe skrzydło.

– Oddziały Armii „Podole” Fabrycego są i tak silne. Kumulują gros sił mobilnych.

– To bardzo dobrze, bo właśnie na nich spadnie większość zadań.

– Wiem, do czego pan zdąża. Nawet jestem w stanie zgodzić się na taką operację – Stachiewicz splótł dłonie przed sobą na kolanach. – Tylko co zrobimy, gdy padnie Rumunia? Przecież sam pan przekazywał informacje o potężnym zgrupowaniu sowieckim tuż nad granicą. Jak do tej pory te siły nie zostały wprowadzone do walki. Mało tego, wzmocniono je dodatkowo. W tej sytuacji to jak proszenie się o kolejne nieszczęście. Nie dość, że nie obronimy własnego terytorium, to wyprowadzając armię na przedmoście, zostaniemy wtłoczeni w wąską gardziel. Wszystkie istotne tereny przemysłowe, zaplecze i ośrodki miejskie w zasadzie przepadną. Do tego to doprowadzi?

Po wyrazie twarzy Śmigłego widział, że ten przychyliła się do zdania szefa sztabu. Rumuńska awantura była mu najwyraźniej nie w smak. Tyle że nikt nie miał lepszej propozycji rozwiązania problemu. Właściwie takiego nie było.

Ostatnim razem do wojny przystępowali jako sojusznik Niemiec. Co zrobi tym razem Śmigły – wyda

dyrektywę, rozkaz, sugestię w rodzaju: „z Niemcami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony albo przy próbie rozbrojenia oddziałów”?

Dla Pełczyńskiego akurat w tej materii wszystko było jasne – muszą postarać się wymanewrować obu przeciwników i walczyć tak długo, jak się da, a później ratować jak największą część sił zbrojnych. Marynarkę wojenną wysłać do Anglii. Bez niej próby wpływania na sojuszników spełzną na niczym. Stanowiła ważny argument. Z tym musieli zgodzić się wszyscy. Lotnictwo również da sobie radę. O ile nie zostanie zniszczone w prowadzonych starciach. Część wojsk lądowych trzeba będzie poświęcić. Niektóre oddziały dzieliła znaczna odległość od przedmościa. Przez chwilę rozważał pomysł obrony korytarza pomorskiego. W nadbałtyckich portach można załadować cześć formacji i odesłać... No właśnie, dokąd? Czerwona flota już im nie zagrażała. Pozostawała Kriegsmarine. Jeżeli działać, to już teraz. Stąd plan wzmocnienia placówek wywiadowczych w Skandynawii i na Bałkanach.

– Panie generale, nie po to historia postawiła mnie na czele państwa, bym z niego uciekał.

– Nie lepiej wykonać odwrót i potem uderzyć na nowo, panie marszałku? Wojna nie skończy się tak szybko. To dopiero pierwsze rozdanie.

Sens słów szefa II Oddziału dotarł do Śmigłego dopiero po chwili. Zniechęcenie i marazm ogarniające Naczelnego Wodza zaczęły przechodzić, przegnane przez nową myśl przewodnią. Twarz nabrała barw, których wcześniej jej brakowało.

– Porozumienie...

– Pakt, panie marszałku – podpowiedział

Pełczyński.

– Tak, oczywiście, pakt – poprawił się Śmigły. – Na początku sądziłem, że jest nieodwracalny. W końcu z inicjatywą wystąpił Stalin.

– To nie ma nic do rzeczy. Nie wiemy, co się wydarzy za miesiąc, dwa. O dłuższej perspektywie nie warto wspominać.

– Może i ma pan rację. Nie wszystko stracone. A pan jak się zapatruje na projekt?

Wobec zmiany postawy Stachiewicz pozostał sam.

– Jest w tym sporo racji.

– Nie musimy decyzji podejmować już dziś. Sytuacja wyklaruje się za parę dni. Dopiero gdy zyskamy jasność, przyjdzie pora na ostateczne rozwiązanie.

Rozdział 34

ABBEVILLE

Mała przechadzka przed obiadem pozwalała zebrać myśl i wyciągnąć wnioski. Poza tym lubił zaostriżyć apetyt nie tylko małym kieliszkiem grappy. Czasami należało też zrobić coś dla zdrowia.

Lakierowany daszek kepi chronił twarz przed nadmiarem słonecznych promieni. Właściwie to było gorąco. Paradny granatowy mundur grzał, a najmniejszy wietrzyk nie chłodził spoconego ciała pod białą koszulą.

Szybko przeciął ścieżkę i z ulgą wszedł w cień rzucany przez kamienny mur pałacu stanowiącego siedzibę Najwyższej Rady Wojennej. Tu usiadł na ławce ustawionej dla jego wygody i podparł się laską. Liczba problemów, którym musiał znaleźć rozwiązanie, przekraczała jego zdolności pojmwania. Ktoś mniejszego formatu na pewno by sobie z nimi kompletnie nie poradził. W sumie, mimo trudnych zadań, lubił swoje stanowisko: Naczelnny Dowódca Sił Sojuszniczych. Generał Maurice Gamelin. To brzmiało dumnie. Tyle że duma i władza nie zwalniały go z konieczności tłumaczenia się przed premierem i gabinetem z podjętych decyzji. Wszyscy na niego naciskali, a tego nie lubił. I to bardzo. Choćby dzisiaj rano generał Ironside – szef Generalnego Sztabu Imperialnego – koniecznie chciał poznać przybliżony skład zespołu bojowego, który siły sojusznicze mają wyekspediować

do Skandynawii oraz ewentualnie do Polski.

Skład składem, to tylko taki przytyk – chodziło o datę. Tej również nie potrafił w miarę precyzyjnie określić. Dopóki Finowie i Polacy prowadzili walkę, nie było powodu do obaw. Tymczasem marszałek Mannerheim robił się wręcz natarczywy. Żeby wszystko dobrze wyglądało, wyekspediuje się zatem w najbliższym czasie na północ parę eskadr lotniczych. Trochę Amiotów czy Dewoitinów pewnie niewiele załatwi, wszelako nie ma wyjścia – na konkretną pomoc będą musieli poczekać.

Jak zbierze się siły, przyjdzie pora i na korpus ekspedycyjny, i na akcję bombardowania Sowietów. Przygotowania już zostały podjęte. Armia Lewantu w Syrii przegrupowuje siły, podobnie jak wojska w brytyjskim Iraku. W bazie lotniczej pod Mosulem koncentruje się powoli eskadry wyznaczone do bombardowania roponośnych pól wkoło Baku, Batumi i Groznego. To po pierwsze. Po drugie, idąc za niedawnym polskim przykładem, sporządzają plany przejścia Bosforu i rozgromienia Floty Czarnomorskiej. Jeśliby wszystko poszło bez nadmiernych komplikacji, odciągnęliby w ten sposób sporo jednostek z frontu polskiego. Warszawa przestałaby w końcu głądzić o zobowiązaniach, bo należy tak pokierować wydarzeniami, aby to oni zrobili jakiś ruch na tym obszarze. Już sprawdzał, samoloty tak daleko na wschód nie dolecą. To może kontrofensywa na południe? Przecież tak dobrze im szło. Podobno na Bałtyku radzili sobie całkiem, całkiem, zapędzając flotę czerwonych w kozi róg, a właściwie spuszczać na dno. Jakiś korpusik do Finlandii, i już. Szkoda, że to nie działało w ten sposób.

Niepotrzebnie Vuillemin, dowódca sił powietrznych,

naobiecował im aż tyle. Tu należało działać z głową. Dlatego to on, a nie tamten stał na czele najpotężniejszej armii od czasów Cesarza. Że też nie wpadł na to wcześniej. Napoleon dotarł do Moskwy. Gdyby tak jemu udał się podobny wyczyn... Rozmarzył się na chwilę, wyobrażając sobie te tłumy na ulicach Paryża rzucające mu pod nogi kwiaty, kiedy odbierałby honory od zgromadzonych wiernych żołnierzy. Scena była naprawdę wzruszająca. Palcem otarł łzę, która zakręciła mu się w oku. Te jego portrety, stojącego w dumnej pozie, to uwielbienie, te liściki od spragnionych kontaktu z nim kobiet, eee... W tym względzie wszystko już za nim. Żaden Francuz nie zrobił dla kraju i sojuszników tak wiele.

Plany psuły tylko otrzymane liczby. Czy jest możliwe zmobilizowanie przez Stalina tak wielkich sił i wyprodukowanie aż takiej ilości sprzętu? Raporty, które otrzymał, wyraźnie wskazywały na nieprawdopodobną wprost liczbę czołgów i samolotów. Gdyby mówili o tym sami Polacy, palicho. Gorzej, że podobne dane napływały też pozostałymi kanałami. Jakby tego było mało, dochodził jeszcze nowy kamrat Stalina – Göring. Nie ma co, warte siebie towarzystwo. Rosja była daleko, a Niemcy blisko. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że nie usiedzą spokojnie. Koncentracja przebiegała z isticie pruską dokładnością i precyzją, a to oznaczało, że sprawa polska przynajmniej na jakiś czas zostanie pogrzebana pod lawiną stali. Żadna, ale to absolutnie żadna pomoc nie ma sensu. To jak wyrzucić wszystko w błoto. Niedługo jeden wspólny euroazjatycki moloch rozciągać się będzie od Renu po Chiny. Na południu Włosi, na północy Niemcy, na wschodzie – wiadomo co. Tych parę atutów, jakie posiadali, muszą dobrze wykorzystać. Zła wiadomość

dla Warszawy jest taka, że w jej sprawie niewiele może zrobić. Jedyne sensowne rozwiązanie to ratowanie z tej zawieruchy czego się tylko da.

Przejąć flotę – niewiele tego, w porównaniu z francuską to jakiś mało istotny drobiazg, ale jest, i na dodatek operuje na Bałtyku. Na zasadnicze pytanie – pozostawić tam sojuszniczą eskadrę czy próbować wyprowadzić na Morze Północne – nie znalazł odpowiedzi.

Lotnictwo przebazować na południe – to dobre – przez Rumunię i Turcję, z którą prowadzono zaawansowane rozmowy, do Syrii lub Iraku. Skoro zatopili „Oktybrską Rewolucję”, „Marata” i „Kirowa”, to są coś warci. Może nie tyle co zuchy z Armée de l’Air czy RAF-u, ale zawsze. W końcu jako skażeni jakąś tam domieszką wschodniego absolutyzmu nie są pełnowartościowymi spadkobiercami cywilizacji zachodniej. Niemniej gdy ich dobrze pokierować, bić się potrafią. Weygand coś powinien o tym wiedzieć. Przy okazji musi zapytać.

Co dalej... Aha, zwykła piechota też się przyda. W końcu nawet strzelcy marokańscy czy senegalscy pod odpowiednim dowództwem potrafią dokonywać niebywałych rzeczy. Ze stu tysięcy uformują pięć dywizji i dadzą im ciężką broń. Trochę czasu zajmie szkolenie. Trzeba tylko przekonać marszałka Śmigłego do tej koncepcji. Tak zorganizowana armia, wsparta Legią Cudzoziemską, to doskonały atut. Już słyszał projekty zaatakowania Krymu i południowej Ukrainy. Na Kaukazie i w Azji Środkowej wzniesi się bunt mułmanów. Brytyjczycy mają w tym doświadczenie. Przez Iran i Afganistan na północ... Na północ...

Niepostrzeżenie zaczął zapadać w drzemkę. Upał potrafił okrutnie zmęczyć. Oczy przymykały się same,

a myśl odbiegła daleko. Oparł brodę na dłoniach trzymających ozdobną laseczkę.

Przy wjeździe zatrąbił automobilowy klakson, wyrywając Maurice'a Gamelina z letargu. Marszałek szybko sprawdził, czy nikt go nie obserwuje. Gotowi pomyśleć, że zbija bąki. Zamiast ciągnąć rozważania o zawłościach polityki, jego umysł płynnie przeszedł do kolejnego ważkiego tematu – jakie wino zaserwują tym razem do obiadu i czy kucharz stanie na wysokości zadania.

Trudno żyć z takim natłokiem problemów, oj, trudno.

Rozdział 35

Tak namacalnego szczęścia nie zaznał od dawna. Po tym, co przeszli, dziwne, że jeszcze żyli.

Jako zatwardziały bolszewik i zwolennik tradycji Lenina-Stalina kapitan Anatolij Kajukow pokładał nadzieję wyłącznie w dialektyce materialistycznej, lecz tak na zdrowy rozum wykładnia WKP(b) na niewiele się zdała. Gdzieś tam w głębi umysłu zaczynała mu się tlić iskierka... Może nie wiary w cuda, ale przynajmniej w zwykłe ludzkie szczęście, które – jak do tej pory uważał – nie istniało.

Niedługo będą bezpieczni, pozostawiają za sobą całą koszmarną wyprawę, w której od początku wszystko sprzysięgło się przeciwko nim. W zasadzie nie schodził z mostka transportowca, który stanowił dumę i chlębę floty handlowej. „Staliniec”, 17 000 ton wyporności, przetrwał wszystko i spokojnie wracał do domu. Co nadzwyczajne, nie odniósł najmniejszych uszkodzeń – bomby, torpedy i okrętowe pociski się go nie imaly. Ta nadzwyczajna przychylność losu zaczynała już obrastać legendą. Ostatnim razem niewiele brakowało, nie ma co. Lecz także ostatnia bitwa morska, podczas której zatopiono wszystkie pozostałe motorowce i okręty eskorty, okazała się dla nich łaskawa. Kluczając i manewrując, znowu uszli – jako jedyni.

– Maszyny pół naprzód.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie, maszyny pół naprzód – odpowiedział wachtowy.

Na pomoście Kajukow nie przebywał sam. Obok

niego stał dowódca brygady wraz z komisarzem politycznym.

– Jak obiecałem, towarzysze, ze mną nie zginiecie.

Dotarli dopiero do Tallina, ale już nie miało to znaczenia. Wyładunek zostanie dokonany tutaj. Nie było sensu wieźć wojska z powrotem do Leningradu.

– Nie pozostaje nic innego, jak podziękować – powiedział komisarz.

– Nie mnie dziękujcie, tylko załodze i temu sztandarowi – Kajukow wskazał na powiewającą na maszcie czerwoną banderę.

– Co racja, to racja – komisarz przyznał się do błędu. Swoją drogą, skąd miał przypuszczać, że z kapitana taki ortodoksyjny działacz?

– Jednak i tak spisaliście się na medal – dorzucił wojskowy.

Kajukow nic nie powiedział. I tak widać było po nim zadowolenie.

Dalsze zachwyty przerwał wstrząs, który dobiegł ich z głębi statku. Spojrzeli po sobie. Nie takiej końcówki się spodziewali. Przy kolejnym, dużo silniejszym, złapali się stalowych barierek.

Kajukow zrazu pomyślał, że nadziali się na jakąś skałę, jednak natychmiast z błędu wyprowadził go huk detonacji. Tego dźwięku nie dawało się pomylić z niczym innym. Wszyscy na mostku zamarli, nie wiedząc, co robić, podobnie jak setki żołnierzy zgromadzonych na pokładzie i tęsknie wypatrujących lądu.

Podejście do Tallina nie zostało należycie wytrałowane. W pośpiechu nikt o to nie zadbał. Flota miała swoje zadania, a przed wznowieniem ruchu statków komendantura portu wzięła za dobrą monetę sygnał, że

marynarka wcześniej sprawdziła portowe baseny. Było to prawdą, ale już w odległości mili od brzegu nikt niczego nie szukał.

Dno „Stalińca” zostało rozerwane przez dryfującą minę. Do ogromnej ładowni wdarły się kaskady zimnej wody, momentalnie ją zalewając. Przebywający tam ludzie nie mieli najmniejszych szans na ucieczkę. Paru próbowało wypełznąć na wyższe poziomy, na próżno. Woda napływała błyskawicznie. Wszelkie rozkazy wydawane przez Kajukowa ginęły w ogólnym chaosie. Żołnierze przeszkadzali marynarzom próbującym odciąć feralną ładownię od reszty pomieszczeń. W ciągu niecałych dziesięciu minut „Staliniec” wywrócił się stępką do góry. Odwrócony kadłub, podobny do wieloryba, unosił się jeszcze na powierzchni kilkanaście minut, po czym zatonął cicho i spokojnie jak człowiek, który ma dość życia.

Do brzegu nie było zbyt daleko, niecała mila, co dawało złudne poczucie bezpieczeństwa. Przecież ratunek był tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki. Ponieważ na wodzie i tak kołysała się tylko jedna przeciążona szalupa, co śmielsi próbowali płynąć wplaw – w umundurowaniu i przy dość niskiej jak na lipiec temperaturze. Nieliczni dotarli na brzeg. Reszta oplótła szalupę jak ludzka girlanda, nie pozwalając zanurzyć wiosła. Ratunek dotarł do nich po czterdziestu minutach. Z wody podjęto kilkuset rozbitków. Po przetransportowaniu na ląd stanowili grupę tak zdemoralizowaną, że wszyscy szybko zostali odesłani do Leningradu, gdzie utworzono z nich batalion budowlany.

I tak oto zakończyła się operacja, w której pokładano tyle nadziei.



Rozdział 36

Postanowił skorzystać z otrzymanej wolności. Od Tomczyka otrzymał skromną dietę, reszta uposażenia poszła na obstalowanie nowego munduru. Tak postanowiono, i basta. W końcu jako polski oficer bez względu na okoliczności reprezentował majestat Rzeczypospolitej. Na razie i tak paradował w starym ubraniu, jako że szyku miał zadawać dopiero od jutra.

Helsinki wywarły na nim korzystne wrażenie, niczym nie ustępując jego wyobrażeniom o europejskich stolicach. Może brakowało im elegancji Wiednia czy Paryża, za to z powodzeniem mogły konkurować z Budapesztem lub Pragą.

Na ulicy zapytał o drogę. Okazało się, że dom, do którego zmierzał, podobno jest całkiem niedaleko, dwa, trzy kilometry. To żadna odległość, lecz objaśnienia, jakie usłyszał, były tak zawikłane, że wolał nie ryzykować pieszej wycieczki. Nie chciał też wydać wszystkich pieniędzy na taksówkę. Pozostał mu więc tramwaj.

Kupił bilet, ciekawie rozglądając się, gdzie też zaprowadziły go wojenne losy. Wsiadł na wskazanym przez konduktora przystanku i właściwie był na miejscu.

Drzwi otworzył mu Konstantin.

– Nareszcie jesteś.

– Coś nie tak?

– Bardzo nie tak. No, wchodź szybciej.

Jeszcze na korytarzu rozejrzał się na wszystkie

strony.

– Katia jest?

– Tamten pokój. Tylko przyjdź szybko.

Zapukał, bojąc się reakcji dziewczyny.

– Taka niespodzianka – wyszeptła na jego widok.

– Nie mogłem wcześniej.

– Ja to rozumiem, nie musisz się tłumaczyć – wciągnęła Marka do środka.

Kolejny kwadrans upłynął dwojgu na zapewnieniach i czułych słówkach. Tyle musieli sobie wyjaśnić, a właściwie dopiero bliżej się poznać. Najbardziej oczywiście ucieszył Katię fakt pozostania Marka w Helsinkach. Odesłanie go do kraju położyłoby kres tej znajomości. Tak przynajmniej mieli szansę na spotkania. Może nie codzienne, ale co parę dni.

Dawno piersi Bagińskiego nie rozpiełała taka duma i zadowolenie. Przedziwnym zrzędzeniem losu przeżywał przygodę życia. To wszystko był podobne do oblatania zupełnie nowego typu samolotu – ekscytujące i na swój sposób niebezpieczne, bo nic go nie chroniło przed upadkiem w otchłań.

Właśnie zbierał się do ostatecznego oświadczenia, kiedy usłyszał pukanie i głos carskiego sztabskapitana.

– Mark, musimy porozmawiać. Ja wcale nie żartuję.

Słowa uwięzły lotnikowi w gardle. Misternie zbudowana logiczno-emocjonalna układanka rozsypała się w proch. Już nie potrafił uchwycić wszystkich wątków. Nie wybuchnął tylko dlatego, że Katia tak namiętnie popatrzyła mu w oczy. Zacisnął zęby i przelknął wściekłość.

– Już idziemy.

– Wczoraj był u nas Mayer – oświadczyła. – Długo rozmawiali w kuchni. Pułkownik wyszedł wzburzony.

Konstantin też w złym humorze, trochę łąził po mieszkaniu i w końcu wyszedł. Wrócił późno. Słyszałam, jak trzaskają drzwi.

– Rano wspominał, co zaszło?

– Nic a nic.

– Nie każmy mu dłużej czekać, bo jeszcze wejdzie nieproszony.

Wyszli z pokoju i udali się do saloniku.

– Chcesz mówić tylko ze mną czy Katia też może przy tym być? – zapytał dla zasady.

– Poniekąd jej też to dotyczy.

Nawet na kutrze Konstantin zachowywał pozory spokoju. Wyglądał na opanowanego, bez mała pozbawionego nerwów, zawsze trzymającego dystans.

– Nie wiem, czy wiesz, rozmawiałem z Mayerem.

– Coś mi się obilo o uszy.

– Otóż przyniósł wiadomość o aresztowaniach dokonanych przez czerwonych.

– Zaraz, zaraz. Wiedział o tym wcześniej od ciebie.

– Nie musisz wiedzieć o wszystkim – zripostował Konstantin.

– Prosisz mnie o pomoc, a z drugiej strony odmawiasz podstawowych informacji – siedzieli z Katią tak blisko siebie, że o mało nie chwycił jej dłoni. – Tak nie będziemy rozmawiać. To bez sensu.

– Parę dni wcześniej w nic nie wnikałeś.

– Posłuchaj, przyjacielu. Mogę więcej, niż ci się wydaje. Jeśli cię to interesuje, zostaję tutaj na miejscu.

– Miałeś lecieć do kraju. Taki był plan.

– Nie tylko pilotuję samoloty. Właściwie to głównie tak, ale... Bez obaw – uspokoił Konstantina. – To, że się spotkaliśmy, to przypadek, czysty przypadek, nic więcej.

Już bardziej nie mógł się zdekonspirować. Pewne fakty musiały zostać niedopowiedziane. I tak to, co powiedział, stawiało go w zupełnie odmiennym świetle.

Musiało to dotrzeć do Estończyka. Objawy zdenerwowania zastąpił teraz wymuszony spokój. Coś tam poukładał sobie w głowie, sortując nowe fakty i wyrzucając stereotypy. Walka, jaką toczył w sobie, była doskonale widoczna na jego twarzy – zmrużone oczy, zmarszczone czoło. Przecież niecodziennie mamy okazję doświadczyć, że to, co braliśmy za niepodważalny aksjomat, okazuje się nic niewartym wyobrażeniem.

Najwyraźniej jednak proces weryfikacji i analizy przyniósł pozytywny rezultat, gdyż po chwili Konstantin zupełnie się uspokoił, a na jego ustach zagościł nawet delikatny uśmiech.

– Dobra. Dysponujemy łącznością radiową. To znacznie ułatwia działanie.

– Niewątpliwie.

– Po naszej ucieczce zatrzymano generała Tiurina. Splądrowano pałac...

– Przecież miał zejść do podziemia. Od początku było jasne, że Czeka dotrze tam w pierwszej kolejności.

– Skąd mam wiedzieć, co się stało? – Konstantin podniósł głos. – Nie byłem tam, nie widziałem. Właściwie cała siatka przestała istnieć, oprócz paru mniej ważnych działaczy. To nie przegrana, to klęska.

– Posłuchaj, kolego, siatki nie da rady rozwalić tak szybko bez odpowiedniego przygotowania lub wtyki.

Cholera, myśli obu pomknęły w tym samym kierunku. Marek nie chciał wyciągać pochopnych wniosków. Poza podejrzeniem nie mieli właściwie żadnych dowodów. Z nielubienia kogoś nic jeszcze nie wynikało.

Wszystkim rządził przypadek. Siatka działała tuż pod bokiem Sowietów. Jej infiltracja wydawała się niemal pewna. Wiedząc o jej obecności i szkodliwym wpływie, przecież nie pozostawiono jej samej sobie. Słabo znał się na tych sprawach, niemniej miał ogólne pojęcie. A może wcale nie chodziło o wyspę, być może aparat śledczy, jakim dysponowali Sowieci, był o wiele sprawniejszy, niż zakładał Marek i ci kontrrewolucjoniści. Zwykła policyjna robota prowadzi do takich samych rezultatów. I tak doszło do najgorszego.

– Franz zawsze bał się zdrady – Katia odezwała się pierwsza po dłuższej chwili ciszy.

– Wtajemniczył cię w szczegóły? – zapytał Estończyk.

– Nie – pokręciła głową. – Sporo czytał. Głównie ekonomię.

– To znaczy nie przechodził przez granicę, nie strzelał z pogranicznikami i nie wykradał dokumentów?

– Raczej nie.

– Wiem, że nie. Wiedziałbym o tym – Konstantina nie interesowały dalsze wyjaśnienia Katii. Irytacja ponownie zaczęła dominować w jego zachowaniu. Wstał i przeszedł parę kroków. Niby zrobił to, co do niego należało, mimo to czuł, że został zapędzony w kozi róg. Wywiózł paru ludzi, a jednocześnie organizacja przestała istnieć. Trudno się z tym pogodzić. W dodatku miał związane ręce. Bo co teraz mógł? Na dobrą sprawę nic. Jego możliwości zostały ograniczone do minimum.

– Twoje zachowanie źle wpływa na trawienie – usłyszał od Polaka.

– Nie wiem, no nie wiem, co robić – rozłożył ręce.

– Spokojnie. Nerwy nic nie pomogą – Bagiński

do wszystkiego podchodził z rezerwą.

– Łatwo ci mówić.

– Nie zapominaj, że ja też w tym siedzę.

Usłyszeli donośne pukanie do drzwi wejściowych.

– Zaprosiłeś jeszcze kogoś?

– Katiu, idź otwórz.

Dziewczyna posłusznie wstała i wyszła.

– Na ilu ludzi możemy liczyć? – chciał wiedzieć Bagiński.

– Bo ja wiem. Wszyscy się porozłazili.

– Nie wszyscy, moi kochani – dudniący bas należał do Mayera.

Pułkownik wszedł, przyglądając włosy na skroniach. Przywitał się.

– Znasz sprawę?

– Konstantin był łaskaw mnie poinformować.

– To wiesz, że nie jest dobrze – Mayer wygodnie się rozsiadł, układając potężne ciało na fotelu. – Podobno jesteś w posiadaniu wyjątkowo ciekawego przedmiotu. Mogę go zobaczyć?

Marek wysuwał sygnet i wyciągnął rękę w stronę Mayera. Ten tylko raz rzucił okiem. Znał kształt i grawerunek równie dobrze jak oni. Przytrzymał cacko w zamkniętej pięści.

– Bagatirom graždanskoj wajny... – energia uleciała z pułkownika gdzieś w powietrze i wydawało się, że on sam podąży zaraz za nią.

– To absolutnie jedyny ślad, jakim dysponujemy, i lepiej, jak nie spieprzymy sprawy.

„Meduza” wyglądała na osamotnioną przy prawie pustej kei. Może nawet nie tyle na samotną co martwą, jak przedmiot pozostawiony na zmarnowanie.

Stali we trzech niczym rewolwerowcy zmierzający do miasta bezprawia. Mayer w środku, z Bagińskim po prawej i Denisowem po lewej stronie.

– A jak go nie będzie? – chciał wiedzieć Konstantin.

– To poczekamy – odpowiedział pułkownik. Jakoś samoistnie przejął dowodzenie, a oni się podporządkowali.

Ruszył zresztą pierwszy, chrzęszcząc zelówkami biało-czarnych lakierów.

Markowi cała sytuacja kojarzyła się nie z westernem, tylko z gangsterką. Chicago, lata dwudzieste i te klimaty. Brakowało tylko Tommy gunów z bębnowymi magazynkami i limuzyn, jakimi poruszali się zabójcy. To niestety Helsinki 1941 roku, środek cholernego lata z pogodą tak paskudną, że chciało się płakać. Deszcz ponownie zaczął siąpić, a od morza zawiewał przenikliwy wiatr.

Z zewnątrz krypta wyglądała na pustą. Dopiero on zobaczył otwarte zejście do przedziału silnikowego.

– Hej, Żigariw, jesteś tam? – zawołał Estończyk.

Stali jak idioci na widoku. W promieniu pół kilometra nie widział nikogo.

– A kto pyta?

– Przyjaciele.

Brudna od smarów twarz przemytnika ukazała się w prześwicie.

– To wy – przemytnik wylazł na zewnątrz powoli, w dłoniach ścisnął klucz wielkości połowy ramienia. – Nie

zwracam za kurs. Nie ten adres. Już i tak jestem w plecy. Gdybym wiedział, jak to się skończy...

– Gdyby człowiek wiedział, co go spotka, nie wstawałby rano z łóżka – Mayer nie wyglądał na szczególnie rozczarowanego postawą szypra.

Żigariw wyszedł w końcu z ciasnego wnętrza i wycierał upaprane smarem ręce w brudną szmatę.

– Mówcie, o co chodzi. Jestem zajęty – wskazał miejsce, skąd wyszedł.

– Wyglądasz na bardzo pewnego siebie.

– A co? Mam trząść portkami na wasz widok?

– Trochę szacunku nie zaszkodzi.

– W dupie mam wasz... – nie dokończył, bo w tym momencie Marek przeskoczył przez nadburcie i zbliżył się na półtora metra.

Oddech przemytnika cuchnął gorzałą i nie do końca strawionym śledziem.

– Nikt cię tutaj nie prosił, przybłądo.

Bagiński zignorował zaczepkę.

– Gdzie znalazłeś sygnet? – dopytywał Marka pułkownik.

– Na dole, ukryty w skrzyni.

– Idź z Konstantinem, może ukrył coś jeszcze.

– Eee... Dokąd? – przemytnik wytrzeźwiał błyskawicznie, zagradzając przejście w głąb przedziału silnikowego.

– Zejdź mi z drogi.

– A ty wypierdalaj z mojej łajby.

Tymczasem z drugiej strony podskoczył sztabkapitan, ale stanął w pół kroku.

– Co to za najście?

– Wyjaśnisz parę spraw i jesteś wolny – Mayer,

wciąż stojący na nabrzeżu, wyglądał jak Al Capone. – Na przykład... Ej, o ile pamiętam, zostałeś zaprzysiężony.

– Może tak, a może nie. Nie pamiętam.

– Wiecie co, w ładowni jest dość miejsca na pogawędkę – odpowiedział Konstantin. – Nie będziemy się przecież tłoczyć w tej śmierdzącej dziurze.

– Słyszałeś – rozkazał pułkownik. – Ruszaj przodem.

– A jak nie?

– Pan porucznik ci pomoże.

Przez ułamek sekundy wyglądało, że przemytnik chciał potraktować lotnika niespodziewanym ciosem w nos. W końcu przemyślał wszystko i sam ruszył ku części transportowej kutra.

Na dole było dość jasno. Nie zapalali więc lamp, ograniczając się do samej rozmowy. Szyper siedział, a oni stali nad nim, zaciągając się papierosami.

– Nie podoba mi się to.

– Nam również – Mayer przejął na siebie prowadzenie przesłuchania. – Od kiedy pracujesz dla czerwonych?

Żigariw wytrzymał spojrzenie pułkownika, przy okazji lekko się uśmiechając.

– Nie mam zamiaru odpowiadać na takie brednie.

– A to skąd masz? – złoty sygnet zabłyszczał przed oczami szypra.

Nic na niego nie mieli. To był strzał w ciemno. Jak się roześmieje, zostaną z niczym. Zeklnie ich i wywali na zbity pysk. Ale nie, przez jego twarz przebiegł cień niepokoju. Tyle wystarczyło Mayerowi.

– Posłuchaj, takich sygnetów zostało wykonane dziesięć. Rozumiesz? Dziesięć, nie więcej. Wiem, bo sam

nadzorowałem robotę i grawerunek. Dostali je wyłącznie najbliżsi współpracownicy Judenicza. Nikt postronny nie mógł wejść w ich posiadanie, chyba że skradł sygnet albo zabił właściciela.

Żigariew zaczął wstawać.

– Siadaj – warknął Mayer.

– Wy... – szukał tego parszywego sygnetu od pamiętnej nocy w Tallinie. Wiedział, że gdzieś go zapodział. Już pogodził się ze stratą, ale w najczarniejszych snach nie przewidywał takiej wpadki. Który z nich powiązał fakty? Ten parszywy polaczek? Nie siedział w tym dostatecznie długo. Konstantin? Za głupi. Mayer w końcu robił w wywiadzie Judenicza. Jak oni wszyscy działali mu na nerwy! Przecież nie tak to miało wyglądać.

– To żaden dowód.

– Mylisz się. I to bardzo – pułkownik pochylił się i przybliżył do niego. – Ten kocioł u mojego człowieka. Powiedz, jak to było? Przyszedłeś ze swoimi kolegami z Czeki i go zaszlachtowałeś? Nic ci się oczywiście nie stało.

– Nic nie wiesz.

– To mi powiedz.

Z NKWD współpracował okazjonalnie. Czasami on im, czasami oni jemu... W Tallinie to był przypadek. Wcale tego nie chciał. Wyszło jak zwykle przy tego typu okazjach. Samo. Od słowa do słowa. Wybebeszył w końcu starego dziada z jego frazesami pełnymi obłudy i zacofania. Zawiadomił miejscowy oddział Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, nie czekając na efekt. Przy okazji przejrzał kąty w mieszkaniu. A nuż uda się znaleźć coś godnego uwagi lub do wymiany. No i znalazł. Sygnet, pieniądze i trochę papierów. Karta przetargowa, jakby

przyszło do najgorszego. Późniejsze wydarzenia go przerosły. Zdziwił się, widząc Konstantina i tę całą bandę na przystani. Wszyscy powinni siedzieć, a już zwłaszcza sztabkapitan i ten typek, jego pomocnik. Kto mógł przypuszczać, że wyjdą z kotła obronną ręką.

Ten przemądrzały polaczek coraz mniej mu się podobał. A już szczególnie od czasu potyczki w zatoce. Wspólnie z Konstantinem kosili marynarzy jak zboże. Żeby było śmieszniej, on nie miał z tym nic wspólnego. Wszystko działo się przypadkiem. Nie skoordynowali akcji. Zagrał tak, jak potrafił – nie zrobił nic, zdając się na okoliczności. Obserwował wszystko ze sterówki. Poszło im lepiej, niż się spodziewał. W rezultacie zostało do zrobienia jedno – pełen gaz i bezpieczne schronienie w Helsinkach. Kiedy przemyślał, co począć dalej, przyszła właśnie ta trójka bohaterów.

– Będziesz tak siedział i milczał? – zapytał pułkownik.

– Idź w cholerę.

Bagińskiego drażniło zachowanie Żigariewa. Tak nie zachowuje się ktoś z czystym sumieniem. Tylko czy przemytnik kiedykolwiek miał czyste sumienie? Z taką postawą życiową – chyba nie. Cwaniak i złodziej, w końcu i morderca. Podręczą szypra jeszcze trochę, i w końcu oddadzą policji.

Mayer ze swoją sylwetką poczciwca nie wyglądał na szczególnie skorego do przemocy, toteż uderzenie pięścią w nos zaskoczyło wszystkich, a już najbardziej samego Żigariewa.

– O, żesz...

Palce chwyciły za siwą czuprynę i odgięły głowę do tyłu.

– Wykańczałem lepszych od ciebie.

Pułkownik przestał przypominać sympatycznego misia. Znowu było widać, kim jest w istocie – żołnierzem tajnego frontu. Papierosa, który palił, zbliżył do gałki ocznej przemytnika na zaledwie parę centymetrów.

Marek odstąpił, ale nic nie powiedział. Podczas wojny domowej obie strony uciekały się do takich okrucieństw, że jeszcze dziś na ich wspomnienie cierpła mu skóra. Nikt nie przebierał w środkach. Wroga likwidowano na sto najróżniejszych sposobów. Niekoniecznie zresztą likwidowano. Niejednokrotnie wystarczyło go pozostawić okaleczonym.

Mayer pacnął szyprą w ucho. Nie dla bólu, wystarczyło upokorzenie. Odsunął czerwony ognek sprzed oczu ofiary, ale niewiele, pozostawiając ją w niepewności.

– Doskonale wiesz, jaka jest kara za zdradę.

– Głupi jesteś, myśląc, że mnie złamiesz.

Wystarczył ułamek sekundy i nos pułkownika zamienił się w krwawą miazgę, kiedy więzień uderzył czołem. Dłonie przemytnika chwyciły kark Mayera i przyciągnęły go ku sobie, jednocześnie wbijając kolano w spłot słoneczny. Pułkownik stęknął i odtoczył się do tyłu. Żigariów już wstawał, gotów rozprawić się z kolejnym przeciwnikiem. Wyglądał na o wiele silniejszego od pozostałej dwójki. Zupełnie się ich nie bał. Nie widział powodu. Załatwi obu jedną ręką, jak będzie chciał. Który pierwszy?

Polak wyglądał na groźniejszego. Kątem oka śledził jego poczynania, teraz jednak gdzieś znikł. Obrócił głowę w bok, zdezorientowany. Zanim zobaczył wroga, jakieś ramię oplotło mu szyję i pociągnęło do tyłu. Przeleciał przez skrzynki, na których chwilę temu siedział i plecami

gruchnął o pokład. Od uderzenia w płucach zabrakło mu tlenu. Walczył spazmatycznie o oddech. Chciał obrócić się na lewy bok, kiedy oberwał kopniakiem w żebra. Ta odrobina powietrza, jaką jeszcze dysponował, uleciała ze świstem.

– A to skur... Hmm – wysapał Mayer, wycierając krew z twarzy.

Wyglądał teraz jak żądny zemsty demon.

– Pan pułkownik wyszedł z wprawy – skwitował Konstantin. – Za długo to trwało. Najlepiej od razu.

– Poczekajmy, może teraz zrobi się bardziej rozmowny.

Mayer tanecznym krokiem podszedł, lekko uginając kolana i skoczył obiema nogami na piszczele powalonego zdrajcy. Kość nie wytrzymała obciążenia. Pękła, a z ust rannego wydobył się skowyt.

– Krzycz, krzycz.

Marek wycofał się za plecy kolegów. Nie chciał się do tego mieszać. Widok masakrowanego nie brzydził go jakoś szczególnie. Jak każdy, oburzał się na przemoc pod warunkiem, że nie dotyczyła go osobiście, ale wiedząc, ile złego uczynił sam Żigariw, nie miał żadnych oporów.

Opuścił ładownię i przysiadł na pokładzie. Słońce nieśmiało wyszło spoza chmur. Już nie mógł doczekać się następnego lotu. Obojętnie na czym – na desce, drzwiach czy perskim latającym dywanie. Właśnie po to się urodził. Nie znał nic lepszego.

„Szef sekcji lotniczej” – ciekawe, co z tego wyniknie. Doświadczenie wskazywało na niekończące się sprawozdania, opinie i zestawienia. Ale też wizyty na lotniskach i w tutejszym departamencie lotnictwa. Nawiąże nowe kontakty. To zawsze procentowało. Jakoś

sobie poradzi. Byle pozwolili mu wejść do kabiny.

Suchy strzał obwieścił koniec przesłuchania. Nawet szczególnie się nie zdziwił. Pierwszy wyszedł Konstantin, za nim Mayer. Obaj przystanęli przy Bagińskim. Pułkownik z chusteczką przyłożoną do rozbitego nosa i głową odchyloną do tyłu robił przygnębiające wrażenie.

– Ktoś to musi obejrzeć.

– Niewątpliwie. Zaraz pojedę do szpitala.

– A ten? – Marek wskazał na ładownię.

– Niektóre sprawy dobiegają kresu. Tak już jest natura rzeczy.

– Ktoś się w końcu nim zainteresuje.

– Pewnie tak, ale nie dzisiaj. Inni to posprzątają.

Marek nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Zgłoszą to gdzie trzeba czy załatwią we własnym zakresie?

W końcu solidnie zmęczony zszedł z pokładu i ruszył za współnikami.

Rozdział 37

MOSKWA

Ogólna sytuacja doprowadzała marszałka Siemiona Timoszenkę do rozpacz. Zajęcie Litwy i wyjście nad polską granicę po drugiej stronie występu litewskiego tak naprawdę nic nie zmieniało. Armia „Wilno” wykonała odwrót i skróciła front, co tylko polepszyło jej sytuację. Część dywizji Armii „Baranowicze” zwróciła się obecnie na północ, trzymając mocno styk pomiędzy obu zgrupowaniami.

Z jednej strony podchodzili pod Wilno stanowiące zdecydowanie najmocniejszy punkt oporu, z drugiej mocno wbili klin w środek polskich pozycji, wprowadzając do działania rzeczną Flotyllę Dnieprzańską. Z tą akcją wiązał szczególne nadzieje. Zamiast wiązać walką okręty przeciwnika na kolejnych dopływach, nakazał zdecydowany rajd na zaplecze. Po wielce obiecującym początku flotylla jednak wdała się w przewlekłe walki i nic nie wskazywało na ich szybkie zakończenie. W paru miejscach na południu udawało się przełamać front, jednak wyłomy były szybko likwidowane, a starcia przeradzały się w ciężkie bitwy o poszczególne miasteczka bądź miejsca przepraw przez rzeki.

Właśnie z tym rejonem mogło wiązać się kolejne niebezpieczeństwo. W strukturach Armii „Podole” rozpoznano jednostki do tej pory operujące na innych

odcinkach. Albo był to błąd wywiadu, albo organizowano nową akcję. Wbiął wzrok w mapę aż do bólu i nic. Żadne logiczne rozwiązanie tej zagadki nie przychodziło mu do głowy. Próbował porozmawiać na ten temat z Żukowem, ale ten nabrał wody w usta, jakby rozważania w tym względzie były poniżej jego poziomu. Nie to nie. I tak pożytek z niego marny.

Właściwie wszystkie te działania i tak nie miały wielkiego znaczenia. W ciągu najwyżej 72 godzin niemiecki Wehrmacht ruszy do ofensywy, goniąc przed sobą resztki rozbitych oddziałów. Wystarczy, że zdobędą się na ostateczny wysiłek, i dopną swego. Bał się tylko, że Niemcy wytną jakiś numer. Zamiast stanąć na planowanej linii demarkacyjnej, zagarną coś jeszcze. Politycy jak zwykle umyją ręce, zrzucając niedociągnięcia na gorącogłowych wojskowych.

Przez następne parę minut przeglądał depeche. Większość wywoływała w nim uczucie smutku i przygnębienia. Zwłaszcza te dotyczące strat wśród kadry partyjnej i komsomolców. Było też parę takich o naruszeniu dyscypliny. Na przykład komkor jednej z dywizji donosił oględnie o aktywnej pracy jednostek NKWD na polu wyłapywania dezertorów. Zapomniał tylko dodać, jakich zbiegów z szeregów to dotyczyło – Polaków czy Rosjan, a może Ukraińców, Białorusinów, Kazachów, Turkmenów, Kałmuków, Żydów lub Jakutów? Gruzinów czy Azerów? Cała Armia Czerwona to zbieranina z setek narodów zamieszkujących największe państwo na świecie. Lojalność tego towarzystwa od zawsze była problematyczna i podlegała szczególnej trosce organów bezpieczeństwa. Dopiero teraz doszedł do wniosku, że RKKK została stworzona na pokojowe czasy. Póki

znajdowali się pod ścisłą kontrolą państwa i do ich głów włączano partyjną ideologię, wszystko trzymało się kupy. Wystarczyło jednak poluzować smycz i większość armii kadrowej z trudem była w stanie podolać podstawowym zadaniom.

Timoszenko w końcu odwrócił spojrzenie od mapy i dostrzegł portret wodza. Bez niego nie przetrwaliby nawet nędznych paru miesięcy. Potrafił w porę dostrzec własne błędy i tak pokierować wydarzeniami, by zachować gotowość do dalszych zmagania, zwyciężyć, a nie wyjść przy okazji na jedyne agresora. Niech będzie wieczna chwała towarzyszowi Stalinowi! Gdy jego zabraknie, kto poprowadzi ich do zwycięstwa?

Wszyscy wiedzieli, że władza opiera się na trzech podstawowych filarach. Pierwszy i najważniejszy to partia, drugi – armia, trzeci to struktury bezpieczeństwa. Bez któregoś z nich nie było szansy na przetrwanie. Partia bez armii, sami rozumiecie ten nonsens. Podobnie jak sojusz wojska z bezpieczeństwem, ale bez spinającej wszystko klamry ideologicznej. Największe szanse na samodzielne przetrwanie miała struktura, jaką dowodził. Armia sobie poradzi. Ktoś gotowy wziąć na siebie rolę Bonapartego na pewno też się znajdzie. Żukow w tym względzie miał niejaki ambicje, tyle że był zbyt głupi. Sama prostacka siła wystarcza na krótką metę.

Złapał siebie na niebezpiecznych myślach. Przecież to on sam dysponował wszystkim, co potrzebne – siłą, autorytetem i mądrością. Paru stronników też się znajdzie. Zagryzł wargi niczym ucniak złapany na ściąganiu. Co on sobie wyobraża? Przy pierwszej próbie zasugerowania czegoś podobnego zostanie postawiony przed sądem za kontrrewolucyjną agitację. Już same myśli budziły lęk.

Otrząsnął się jak pies wychodzący z wody.

– Towarzyszu marszałku, może wody?

– Jegor, co ja bym bez ciebie zrobił.

Młody lejtnant przez ostatnie miesiące spisywał się bez zarzutu. Zawsze pod ręką, trzeźwy i uczynny.

– A wy co byście zrobili na moim miejscu?

Zdziwienie na twarzy pomocnika rozśmieszyło Timoszenkę.

– Nie rozumiem.

– Już nic. Tak tylko żartowałem. To nie na waszą głowę – taki chłystek na czele RKKK. Te cienkie ramionka i patykowate nogi. W okopach zginie marnie. Przynajmniej tutaj na coś się przyda. Gdzie takie chuchro byłoby zdolne odwrócić bieg zdarzeń. Powiedzmy to wyraźnie – nigdzie.

Rozdział 38

WARSZAWA

W przeciwieństwie do Timoszenki naczelny wódz Edward Śmigły-Rydz po raz pierwszy od dłuższego czasu zyskał bodziec do działania.

– Panowie – głos marszałka skierowany do zebranych zabrzmiał donośnie i stanowczo. – Po konsultacjach z szefem sztabu i generałem Pełczyńskim – skinął głową w stronę obu – postanowiłem przegrupować nasze siły na południe.

Nikt nie wydawał się szczególnie zdziwiony. Pogłoski o przegrupowaniu krążyły od paru dni. Impas w końcu musiał zostać przełamany w ten czy inny sposób.

– Działając na prośbę sojuszniczej Najwyższej Rady Wojennej, zdecydowałem się odblokować połączenie z Rumunią i utrzymać je za wszelką cenę. W razie konieczności... – Śmigły przerwał wywód, czekając na reakcje. – Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, ale musimy przygotować się na wszystko.

Na wszystko, czyli na najgorsze. O tym wiedzieli najbliżsi współpracownicy. Lada chwila spodziewano się blokady wybrzeża przez Kriegsmarine. Dla zespołu bojowego Kwiatkowskiego nagle zabrakło miejsca, a Bałtyk stał śmiertelną pułapką. W końcu po kilku dramatycznych godzinach Kierownictwo Marynarki Wojennej zdecydowało się odesłać eskadrę do fińskiego

portu w Turku. Wszystko ku zadowoleniu miejscowych, a niezadowoleniu marynarzy. Dla większości dowódców przebazowanie stanowiło zły znak. Opór w kraju wciąż trwał, jednak wyglądało na to, że koniec jest nieuchronny. Jedno, co napawało nadzieją, to fakt, że ruszyła w końcu większa pomoc. Do portów w Rumuni i Norwegii już płynęły konwoje. Koło historii zatoczyło pełen obrót i znów jak w 1914 zaczynają wszystko od początku.

– Jakież pytania?

Nikt nie chciał wyrwać się pierwszy. Decyzje już i tak zostały podjęte. Pozostając, staliby na straconych pozycjach. Przepadłoby wszystko. Zanim zorganizują się ponownie, miną miesiące, jak nie lata.

Nie brakowało w tym krytycznym momencie i takich, którzy gotowi zrzucić wszystko na nieudolnych sanacyjnych oficerów, sami chcieliby sięgnąć po władzę. Nieopatrznie wypuszczono do Francji Sikorskiego, który teraz zupełnie poważnie przymierzał się do roli premiera. Obchodził przy okazji większość francuskich polityków i wyższych oficerów, opowiadając niestworzone historie o całkowitej indolencji władz państwowych. Nie było wiadomo, czy słowa te padały na podatny grunt. Jak do tej pory nikt nie podważał rządów sprawowanych przez Śmigłego, Składkowskiego i Mościckiego. Przynajmniej na razie. Po klęsce, bo tak należało nazwać przegraną wojnę, znajdują się w niekorzystnej sytuacji. Niby jako wybrani w powszechnych wyborach stanowili kontynuację legalnie działających władz, ale tylko naiwniak przyjąłby, że tak będzie zawsze. Paryż i Londyn rozejrzę się za alternatywą. Tak na wszelki wypadek. Jedyne szansa to rychły wyjazd do Paryża, a tam rekonstrukcja gabinetu i ucięcie wszelkich spekulacji na temat sukcesorów.

Wybory i owszem, jednak po wojnie. Sikorskiego nikt nie wybierał, niech więc siedzi cicho i nie podskakuje. Ostatecznie, żeby ukrócić jego zapędy i dać nauczkę wybujałej ambicji, wyślą go na placówkę dyplomatyczną do Tokio lub Buenos Aires.

– Mam jedno – generał Władysław Kalkus wyrwał się z pytaniem.

– Tak?

– Jak pan widzi rolę lotnictwa w nadchodzących dniach? Na razie dajemy radę. Lotniska nie są zagrożone. To ulegnie zmianie, kiedy Luftwaffe przystąpi do działania. Wszystkie bazy znajdują się w zasięgu bombowców.

– Jak najwięcej eskadr musi przetrwać.

– Rozumiem, że to oznacza przelot do Rumunii.

Tak?

Śmigły powoli skinął głową.

– W takim razie jednostki naziemne pozostaną bez wsparcia powietrznego. Ich opór zostanie ograniczony do paru dni. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Przyszło nam prowadzić wojnę w specyficznych warunkach, więc im szybciej zaczniemy, tym lepsze osiągniemy rezultaty. A pana proszę o przygotowanie odpowiedniego harmonogramu.

– Pójdzie szybciej, niż się wszyscy spodziewają. Obecnie dysponujemy ledwie połową tego, z czym zaczynaliśmy. Bezpowrotnie straciliśmy ponad dwieście maszyn, sporo jest w remontach.

– Co pan nie powie – zdziwił się Śmigły. Wiedział o tym, ale jedno przeczytać, a drugie usłyszeć z ust siedzącego w temacie generała. – A jak na tym tle wyglądają straty Sowietów?

– Trudno mówić o konkretnych liczbach. Spora

część maszyn spadła na terytorium zajęte przez bolszewików, stąd kłopoty z weryfikacją. Ostrożnie należy mówić o siedmiuset do tysiąca samolotów.

– Coś podobnego.

– Jak powiedziałem, to najniższe szacunki. Prawdopodobnie utłukliśmy ich więcej – rozpromienił się Kalkus. W końcu zabłysnął. Przestał wyłącznie mówić o problemach, zaczął o sukcesach, co jednak wcale nie zmniejszało ogromu pracy, jaki przed nim stanął. Do tej pory Sowieci nie zyskali panowania w powietrzu. To szybko ulegnie zmianie, kiedy tylko rozpocznie przebazowanie. Kiedy do akcji wejdzie Luftwaffe, pozostanie mu wyłącznie lotnicza partyzantka.

– Panowie, czeka nas najtrudniejszy egzamin... – Śmigły powrócił do zasadniczej kwestii.

– Panie marszałku, jak zareaguje ludność cywilna na wieść o naszym wyjeździe i wyprowadzeniu armii? – premiera Składkowskiego w przeciwieństwie do naczelnego wodza trapiły wątpliwości. – Nastąpi zamieszanie, jakiego świat nie widział. Kompletnie rozprężenie. Po władzę sięgną socjaliści.

– Garnizon pozostanie na miejscu – Śmigły uciął dalsze wywody. – Doskonale wiem, że nie ewakuujemy wszystkich. Jest to niemożliwe. Nie zrobimy tego, broniąc linii Bugu czy Wisły. Dlatego proszę i apeluję: w tej trudnej sytuacji musimy zdobyć się na nieugiętość i zdecydowanie.

Implikacje były jasne dla wszystkich. Na miejscu czeka ich klęska. Ci, którzy pozostaną, pójdą do niewoli lub – co bardziej możliwe – zginą. Z kolei wyjazd to postawienie wszystkiego na głowie.

I tak źle, i tak niedobrze.

Rozdział 39

Ten Dewoitine D.520 nie wyglądał najgorzej, o ile ktoś lubi takie potwoki. Długi przód i ogon zaraz za kabiną. Wszystko w specyficznym brązowo-oliwkowym francuskim kamuflażu. Jakkolwiek wyglądał, miał jedną, za to podstawową zaletę – latał! A on w końcu zasiadł w kabinie.

Właściwie nie zanosilo się na nic takiego. Pierwsze parę sztuk Dewoitine'ów z obiecaną pomocy akurat zostało poskładane przez mechaników. Ponieważ właściwie nie miał kto ich oblatywać, Marek zgłosił się na ochotnika. To jeden z tych przypadków, jakie zdarzają się od czasu do czasu, i tym razem nie była to zwichnięta noga czy niespodziewana wizyta komornika egzekwującego dawno zapomniany dług. Po prostu jako łącznik z tutejszym sztabem starał się nawiązać jak najwięcej kontaktów. Zobaczył wypucowanego Dewoitine'a i zapytał, czy możliwy jest przelot. Otrzymał zgodę, ale bardzo niechętną, w dodatku z mnóstwem zastrzeżeń. Ze wszystkich podniebnych przyjemności został mu prosty przelot od punktu do punktu. W kwadrans posadzi maszynę na lotnisku i koniec. Komendant wyraził zgodę tylko na taki podstawowy program. Zrobił to z jednego względu – lubił Polaków i chciał zadowolić podporucznika, któremu najwyraźniej brakowało emocji. Wyraził zgodę, ale też poprosił o dyskrecję, ponieważ major Ekiert specjalnie nalegał, żeby nie dopuszczać Bagińskiego do żadnych

samolotów. Na razie z Tomczykiem kryli się nawzajem, pozostawiając majora w przeświadczeniu, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Silnik prychnął i stanął. Marek ponowił próbę i znów to samo. W końcu za trzecim razem wszystko poszło bez problemów. Dodał gazu i samolot nabrał prędkości. Ściągnął drążek ku sobie. Koła oderwały się od trawiastej powierzchni. Jeszcze parę sekund utrzymywał maszynę tuż nad ziemią, by w końcu wzbić się w przestworza. Na wysokości 150 metrów zatoczył krąg nad polem wzlotów i hangarami. Później to samo w przeciwną stronę. Przesunął manetkę gazu w przód i łagodnym łukiem rozpoczął wznoszenie. Zaraz zobaczy, ile ten samolocik potrafi.

Przy trzech tysiącach metrów nastąpiło przeciągnięcie. Wyprowadził Dewoitine'a manewrem w lewo i zaczął ostro schodzić w dół. Wyrównał i wykonał pętlę. Zakaz stosowania wszelkich figur wyższego pilotażu najzwyczajniej w świecie zignorował. Z Finami się dogada. Zrozumieją. Zawisł na pasach i spojrzał w dół, łowiąc ruch od strony zatoki.

Nie wierzył własnym oczom. Trzy, pięć, siedem srebrzystych strzał mknęło w stronę lotniska. Czerwone gwiazdy lśniły na aluminiowych powierzchniach. Nic nie wskazywało, że został dostrzeżony. Bombowce za parę sekund osiągną punkt, w którym zrzucą ładunek. Jeżeli miał cokolwiek zrobić, to właśnie teraz. Poszedł ostro wprost na nadlatującą formację SB-2. O tych maszynach mówiono „skorostnoj bombardirowszczik” – szybki bombowiec. Zabierały niewiele, raptem 600 kilogramów bomb, wyposażono je za to aż w cztery karabiny maszynowe do obrony – dwa z przodu, jeden z tylnej

górną półsferę i jeden z dolnej.

Upatrzył sobie lidera i ustawił celownik. Wtedy dopiero za gardło ścisnął go niepokój, czy załadowano naboje do działka Hispano-Suiza 20 mm i czterech karabinów maszynowych MAC. Wybrał się na oblot, walki nikt nie przewidywał.

Błysk z tylnego stanowiska obwieścił, że został dostrzeżony. Pozostali strzelcy momentalnie skupili uwagę na pikującym samolocie, posyłając w jego stronę wstęgi smugaczy. Powstrzymał odruch natychmiastowego naciśnięcia spustu. Z pięciuset metrów efekt byłby mizerny. Na ile potrafił, poprawił kurs, minimalnie operując drążkiem sterowym i orczykami. Celownik wypełniał teraz kadłub bombardierszczyka. Odczekał jedno uderzenie serca i oddał pierwszą serię. SB zapadł się w sobie. Na boki poleciały elementy konstrukcji. Pociski rozorały walcowaty kształt od kabiny po przeszklone stanowisko strzelca. Jeszcze raz. Teraz to skrzydła złożyły się jak do modlitwy i bombowiec rozsypał się w powietrzu.

Mocno operował sterami, nie chcąc oberwać oderwanym kawałkiem poszycia lub wyposażenia. Przy okazji odłonił znaczną część dołu Dewoitine'a, czego mało nie przypłacił życiem. Z co najmniej z dwóch lecących najbliżej bombowców odezwały się kaemy. Wcześniej był niewielkim obiektem, teraz stał się wystarczająco duży i bliski, żeby dało się łatwo wstrzelić. Któryś z pocisków przebiłabinę na wylot. Dziesięć centymetrów bliżej i przeszłyby głowę Bagińskiego. Na rozpamiętywanie zdarzenia przyjdzie pora kiedy indziej. Był teraz trzysta metrów poniżej. Wykręcił maksymalnie kark w lewo, lokalizując eskadrę. Pozostała szóstka leciała tak jak przedtem, nie zmieniawszy kursu

o włos.

Zwrot i ponowne wznoszenie. Widział brzuchy bombowców. Przepustnica maksymalnie otworzona. Silnik wył na maksymalnych obrotach. Jeśli zaliczy serię, zostaną z niego takie same strzepy jak z wcześniej rozerwanego SB. Widzieli, że podąża za nimi. Ich taktyka sprowadzała się do trzymania go jak najdalej od własnej formacji. Mieli świadomość, jakie stanowi zagrożenie, a jego szanse na przetrwanie były jak jeden do sześciu.

I strzelcy bombowców, i on otworzyli ogień w tym samym momencie. Żadna ze stron nie miała wyraźnej przewagi. Przy wznoszeniu myśliwiec tracił swoje zalety. Rwał stromo przed siebie, chcąc znaleźć najlepszą pozycję. Z kolei strzelcy SB dysponowali ograniczonymi możliwościami przy wychylaniu swoich karabinów. Działko i MAC-i wypuły pociski, jednak bez większego efektu. Bombowiec leciał ustalonym kursem i nie zбочzył nawet o centymetr. Z tej pozycji niewiele zwojuje. Drobnymi ruchami drążka starał się wypracować jak najlepsze miejsce. Spróbował ponownie, z podobnym rezultatem. W skrzydle D.520 zauważył przestrzelinę. O nie, tak się bawić nie będą.

Odszedł w bok ciasną spiralą, nabierając wysokości. W pewnej chwili powietrze wokół niego zgęstniało od ołowiu. Niejako sam ułatwił zadanie strzelcom pokładowym, kiedy zataczając okrąg, ustawił się wprost idealnie pod ich celowniki. Wykręcił w ostatnim momencie. Niecierpliwym gestem starł krople potu zraszające czoło. Jakaś strużka przeszła koło prawego oka i zawisła mu na rzęsach. Wierzchem dłoni starł szybko ciecz, żeby go nie oślepiła.

Szałężcze manewry przyniosły wreszcie efekt –

wyszedł ponad lecącą formację. Skutkiem lotu były promieniujące bólem ramiona ściskające drążek i napięte mięśnie szyi. Ostatni skręt i naprzód. Teraz nie szukał dowódcy. Wystarczy jakikolwiek przeciwnik.

Na skrajnej lewej pozycji jeden z SB troszkę odstawał od pozostałych. Nieznacznie, zaledwie o metry, ale Bagińskiemu to wystarczyło. Pełen gaz. Zwrot w lewo. Jakaś seria bardziej starannie wymierzona od pozostałych przeszła pod myśliwcem. A to dranie. Teraz w prawo. Pochylił nos Dewoitine'a. Celownik pokazał kabinę. Musnął palcem spust na ułamek sekundy. Wystrzelił nie więcej niż dziesięć pocisków. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jeszcze w prawo. Obserwował bombowiec, z którego poszły jakieś drzazgi. Chociaż silniki SB wciąż pracowały, to cała maszyna zachowywała się jak opadający z drzewa liść.

Najpierw łagodne zejście to w jedną, to w drugą stronę. W końcu opadł na lewe skrzydło i bokiem zaczął schodzić z wysokości trzech tysięcy metrów. Nie trwało to długo. Zupełnie nieoczekiwanie wywrócił się brzuchem do góry. Niesamowite, ale wyszedł i z tego. Ranni piloci walczyli o życie, ale ich maszyna miała dosyć. Jeszcze przez chwilę wyglądało na to, że ocaleją, bo wyrównali lot. Jednak już po chwili rozpoczęli ostre pikowanie. Albo lotnicy stracili kontrolę nad sterami, albo byli zbyt poszkodowani, by ciągnąć to dalej.

Marek przestał zawracać sobie głowę uszkodzonym SB. Pozostało jeszcze pięciu.

Reszta, widząc, co zaszło, straciła ochotę na konfrontację. Zamiast lecieć dalej zwartą grupą, uciekali każdy na własną rękę. Wszystkich nie dostanie, ale jeszcze jednego... Poradzi sobie.

Wychylił się w przód w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Pryskali tak szybko, że trudno było za nimi nadażyć wzrokiem. Sprawdził stan paliwa. W porządku, wciąż był niedaleko lotniska, a bak zatankowano do pełna. Gorzej z amunicją, zostały resztki.

Seria, dwie, najwyżej trzy. Na więcej nie mógł liczyć. Zrobi, co do niego należy, i wraca do bazy.

W końcu wybrał tego, który był najbliżej. SB-2 leciał na południe nad zatokę, ponad tysiąc metrów pod nim. Niepokrytą maskującym wzorem aluminiową konstrukcją widział doskonale. Skręcił drążkiem do oporu i beczką rozpoczął wytracanie wysokości.

Leciał pięćset kilometrów na godzinę, szybko dochodząc przeciwnika i szybko też zostając dostrzeżonym. Widział ostrzegawcze błyski z kaemu. Przeszły dosyć daleko. Z takim strzelcem nic nie zwojują. Żółtodziób pruł do niego raz za razem, marnując kolejne taśmy. Czy dowodzący bombowcem nie powiedział temu matołowi, że jest za daleko? Zanim znajdzie się w dobrej pozycji, minie minuta albo i dwie.

Marek wciąż z przewagą wysokości wpasowywał SB w krąg celownika. Ten nie robił uników. Walił tylko przed siebie z maksymalną mocą obu silników Klimow M 103.

Upływające sekundy nic nie zmieniały w ich położeniu. Dystans wydawał się taki sam jak w chwili, gdy rozpoczął się pościg. Bardzo szybko ład pod skrzydłami zastąpiły sine wody zatoki. Marek dopchał manetkę maksymalnie do przodu. Więcej nie da rady. Silnik pochłaniał benzynę w przyśpieszonym tempie. Lecieli jak po sznurku. Karabin maszynowy umilkł. Świat skurczył się do niego i tego parszywego SB. Dochodził go, ale bardzo

powoli. Minęła minuta. Zeszli poniżej tysiąca metrów. Ślizg nadawał mu dodatkową prędkość.

W pewnym momencie z wnętrza bombowca posypał się ładunek bomb. Dziwne, że zorientowali się dopiero teraz. Chcieli zyskać te parę kilometrów na godzinę więcej. Wystarczyłoby im niewiele. Ciut, ciut. Widząc powiększający się dystans, musiałby zrezygnować. Właściwie wciąż trwali w takim samym układzie.

Czuł, że to nie ma sensu. Powinien odpuścić. Ma na koncie dwa dodatkowe zestrzelenia i wystarczy. Każda następna sekunda oddalała go od przyjaznego brzegu, a przybliżała do wroga. Jak pojawią się MiG-i czy Jaki, zrobi się nieciekawie. Z myśliwego stanie się ofiarą. Wiedział, czym to grozi, i nie potrafił przestać. Świat ograniczył się wyłącznie do srebrzystej sylwetki wroga. To już stawało się irracjonalne. Celownik niepostrzeżenie wypełnił się kształtem bombowca. W tym tempie nie tylko przekroczą linię brzegową, polecą dalej. Z pełnymi zbiornikami, to i do Kronsztadu...

W końcu sowiecki pilot popełnił błąd. Gdyby leciał dalej prosto, Bagiński w końcu by zawrócił. Pościg osiemset metrów za ogonem SB tracił sens. Tamten jednak nie wytrzymał napięcia. Zrobił unik w prawo. Wyszedł z pozycji strzeleckiej Dewoitine'a, stracił jednak dystans. Niewiele, kilkadziesiąt metrów, to jednak wystarczyło. Byle tego nie spieszyć.

Zamiast gwałtownie rzucać D.520, Marek delikatnie skorygował kurs. Poprawił się w fotelu, na ile się dało. Tamci tracili nerwy. Doskonale. Upewnił się co do własnej decyzji. Już przed nim nie ujął. SB zszedł nisko nad morze, szaleńczo rzucając się na boki. Nic z tego, kochani. On z kolei skoncentrował się na malejącym dystansie.

Przestał namierzać cel, tylko drobnymi wahnięciami drążka podążał śladem uciekiniera.

Wkrótce znalazł się pięćset metrów za nim. To wciąż jeszcze za daleko, ale jest okazja postraszyć przeciwnika. Wyliczył wyprzedzenie toru lotu pocisków i wystrzelił. Tamtych jakby trafił grom. Gwałtowne wahnięcie na skrzydło, odejście w drugą stronę i rozpaczliwa walka o życie. Czteryście metrów. Musiał rozsądnie gospodarować amunicją.

Gdzieś nad nim mignął cień. Nie miał czasu sprawdzić – ptak czy samolot? Liczyło się tylko jedno. Na kolejną serię przyszło momencik poczekać. To nieprawdopodobne, ale trafił w prawy silnik. Bombowcem zachwiało mocniej niż za poprzednim razem. Warkocz białego dymu przeszedł w szary. Prędkość wyraźnie spadła. Już nie uciekali. Ich jedną szansą na wyniesienie cało głów było nabranie wysokości i skok ze spadochronem. Pomarańczowy jęzor płomienia liznął poszycie.

Marek wyszedł na ogon. Odetchnął i nacisnął spust. Zamiast jazgotu broni usłyszał kliknięcie. Koniec amunicji. Jak pech, to pech.

Tymczasem bombowiec rozpoczął wznoszenie. Marek ustawił się za nim, obserwując, co z tego wyjdzie. SB szedł na jednym silniku niby na diabelskim młynie. Dym przybrał czarną barwę, kreśląc niebo wyraźną smugą. Na pięciuset metrach maszyna osiągnęła kres wytrzymałości. Poszła w dół łagodną parabolą, ale zamiast rozbić się o powierzchnię wody, jakimś niesamowitym zrządzeniem losu ponownie zaczęła iść w górę. Tym razem doszła do trzystu metrów. To nie była kwestia silników, raczej uszkodzonej instalacji manewrowej.

Bagiński patrzył zafascynowany na wysiłki lotników. Bombowiec zawisł nieruchomo w powietrzu. Silny wiatr od czoła niwelował pracę drugiego silnika, prawdopodobnie również uszkodzonego. Niewidoczny mur pokonał w końcu dzielną załogę. SB poleciał w tył. Pęd powietrza podbił skrzydła do góry, ogon poszedł w dół i taką przedziwną figurą przewrócił maszynę na lewe skrzydło.

Ostatni lot zajął tylko chwilę. Szczątki rozsypały się po powierzchni i nie wyglądało na to, by ktoś przeżył.

Marek już tego nie sprawdzał. Zawrócił, obserwując dramatycznie niski wskaźnik poziomu paliwa. Chyba się zagalopował. Nie chyba, tylko na pewno.

Przeszukał niebo w poszukiwaniu wrogich myśliwców. W najbliższym otoczeniu czysto. Byle tak dalej.

•

– Pańskie zachowanie jest karygodne!! – Ekiertowi mało piana nie wystąpiła na usta. Był wkurzony jak nigdy. W końcu odpowiadał głową za placówkę, a ten gówniarz, ten szczył...

Kiedy już został przywieziony przez Finów do ataszatu, nie wyglądał jak król przestworzy, raczej jak chłopak przyłapany na kradzieży jabłek z sadu księdza proboszcza. Pewnie wiedział, co go czeka. Opieprz, a nie pochwała. Samowolne, jak to nazwać, wejście do akcji, działanie? Czy on nie wie, co najlepszego narobił? Naraził cenną maszynę na zniszczenie, podobnie jak siebie na śmierć czy kalectwo. Pewnie myśli, że jest Richtofenem albo Albertem Ballem. Szlag by go.

– Co pan ma na swoje usprawiedliwienie? – major usiadł, właściwie wpadł w fotel i zadudnił palcami po biurku.

– Prawdę mówiąc, to nic.

– Tak myślałem. No właśnie, tak myślałem – Ekiert powtórzył własną opinię. – W szkole nie nauczyli pana wykonywania rozkazów?

– Nauczyli.

– Więc co ja wcześniej powiedziałem? Proszę powtórzyć. Chętnie to sobie przypomnimy – dłoń wykonała kołowrotek.

– Żadnego narażania...

– Właśnie.

– Ścisłe trzymanie się regulaminu.

– To po jaką cholere wsiadł pan do tego Dewoitine'a?! –major znów poderwał się, bo trudno wściekać się na siedząco. – Ja rozumiem. Jest pan młody. Gorąca krew. Chciał pan wykonać lot. Tak?

– Tak...

– Pytałem retorycznie. Proszę nie przerywać. Przelecieć się, że tak powiem. I co? Zwykły przelot nie wystarczył? O, nie! Pan musiał udowodnić całemu światu, ile jest wart...

– Miałem uciekać?

– Kto panu pozwolił mi przerywać! – Ekiert trzasnął pięścią w blat biurka. – Nie życzę sobie! Rozumie pan? Nie życzę sobie. O czym to ja...

Dawno nie był tak zdenerwowany. Już wiedział, że Bagiński jest pupilem szefa II Oddziału, więc w razie czego oberwie on sam. Pełczyński wypruje z niego flaki. A zamiast siedzieć na dupie, podporucznik po prostu musiał ładować się w kłopoty. Tutaj to nie przejdzie. Nie

pozwoli. Jakaś kara musi być. Zdegradować go nie zdegradowuje, ale ograniczyć wyjścia prywatne może. Przykuje Bagińskiego na tydzień do centrali telefonicznej. Głupie pomysły wyparują mu z głowy po paru godzinach przełączania wtyków i wybierania numerów.

– Tomczyk!

– Na rozkaz, panie majorze – adiutant stanął przy Bagińskim, kiedy odezwał się telefon.

– Czynimy was odpowiedzialnym za dalsze zachowanie pańskiego kolegi.

Telefon nie przestawał dzwonić.

– Przekażecie mu większość obowiązków... No, odbierzcie, bo mnie zaraz stąd wyniosą!

Tomczyk znikł.

Ekiert przewiercił pilota spojrzeniem. Co by tu jeszcze... Głośne „Tak jest!” z zewnątrz przerwało na chwilę rozmyślenia majora.

– Tomczyk, czemu się tak wydzieracie?

– Telefon do pana, majorze.

– Nie mam czasu.

– Ale to dzwonią tutejsi.

– Kto? – mimo wszystko nie chciał odbierać.

– Proszę odebrać, to się pan przekona.

Co za bezczelność. Ci młodzi ludzie zupełnie zapominają, kto tu dowodzi.

– Ekiert – mruknął. Spodziewał się jakiegoś fińskiego oficera gratulującego mu postawy podwładnego. W końcu czegoś tam dokonał. Bił się. Może to podczas wojny zwykle zachowanie, jednak chwalebne. Szkoda tylko, że zrobił to za jego plecami.

Wysłuchał pierwszego zdania. Później drugiego i całej reszty.

– Ależ oczywiście. Nie mam nic przeciwko.

•

Porucznik Marek Bagiński stał w szeregu obok dziewięciu podobnych postaci. Sami wojskowi, w tym jedna kobieta. Ze względu na trudne warunki to miała być skromna uroczystość. Wszyscy szybko musieli wrócić do zajęć, większość na front.

Burza, jaką wczoraj rozpętał, minęła na dobre. Ekiert szalał, ale szybko się uspokoił. Po telefonie spoglądał ciężko na Marka. Najwyraźniej wypadki zaczęły go przerastać. Już nie chciał egzekwować kary. O tym pomyślał ktoś inny. Trud przygotowań i tak spadł na majora. Sam wypisał wniosek o awans. Uzyskał aprobatę Warszawy i w ciągu niespełna paru godzin Bagiński został promowany, a to dopiero początek.

Niewysoki fiński przywódca w towarzystwie adiutanta i paru oficerów stanął naprzeciw szeregu. Dekoracja najwyższym odznaczeniem wojskowym, Orderem Białej Róży, zawsze była czymś szczególnym. Każdy z nich z pewnością zasłużył się wyjątkowo. Marek zauważył, że prócz niego był jeszcze jeden lotnik. Pozostali reprezentowali siły lądowe.

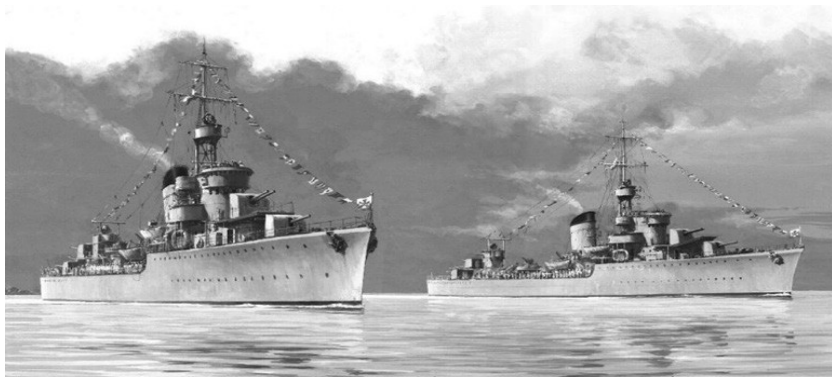
Porucznik Bagiński stał trzeci od prawej. Jak wszyscy – na baczność, ale bez szczególnego zadęcia. Już nic nikomu nie musieli udowadniać. Zamiast klepania zwyczajowych formułek parę zdań bezpośrednio rozmowy.

– Nigdy panu tego nie zapomnimy.

– Ku chwale służby.

Uścisnął twardą dłoń marszałka.

- Jest pan prawdziwą chlubą kraju.
- To dla mnie zaszczyt, że mogłem pomóc.
- Nie, to zaszczyt dla nas – marszałek przyjaźnie skinął głową Polakowi. – Być może niedługo ponownie się zobaczymy. Proszę na siebie uważać.



Rozdział 40

Przełom w dotychczasowych działaniach nastąpił 22 lipca. Całkiem przyjemny letni dzień zapadł w pamięć potomnych nie z tego powodu, że w końcu było prawie bezchmurnie i bezwietrznie. O godzinie 4.45 rano jednostki Wehrmachtu, Luftwaffe i Kriegsmarine przystąpiły do ataku na Polskę. Eskadra z 1 Pułku Bombowców Nurkujących dokonała nalotu na most kolejowy w Tczewie. Atak ten został odparty przy sporych stratach napastników. Bombardowanie dosięgło również Wojskową Składowicę Tranzytową na Westerplatte i port w Gdyni. Szczególnie ciężki nalot dotknął Warszawę. Tym razem powietrzna armada nie została rozbita na podejściach do miasta. Właściwie Luftwaffe operowała bezkarnie nad całą zachodnią częścią kraju. Podobnie na ziemi przygniatająca przewaga zarysowała się już od pierwszych chwil. Opór stawiany przez nieliczne polskie jednostki był szybko rozbijany, co nie znaczy, że w parunastu miejscach nie doszło do ciężkich walk, jak pod Jordanowem, Mokrą czy w korytarzu pomorskim. Zadanie powstrzymania nieprzyjaciela wypełniano wzorowo. Związanie przeciwnika walką, zmuszenie do rozwinięcia sił i odskok na dalsze pozycje. Wyprowadzane przez Niemców uderzenia trafiały w próżnię. Zajmowali teren, nie likwidując większych zgrupowań. W jednym przypadku flankujące uderzenie brygady kawalerii wprowadziło zamieszenie w uporządkowanej kolumnie pojazdów

i na parę godzin powstrzymało marsz XVI Korpusu Pancernego generała Hoepnera na północ. Jednak generalnie Niemcom nie zależało na toczeniu przewlekłych bojów. Zgodnie z otrzymanymi wytycznymi chcieli jak najniższym kosztem dostać to, co wytargowali od Stalina. Niejednokrotnie woleli odpuścić lub poczekać z zajęciem jakiegoś miasta, aż podciągną artylerię, zamiast pchać się na siłę. Stąd straty nieprzekraczające kilkuset zabitych i trzech tysięcy rannych. Generałowie byli ze wszech miar zadowoleni – zwyciężali, a nie musieli walczyć z trzonem polskiej armii, bo wtedy w miarę spokojny marsz szybko przerodziłby się w krwawy koszmar.

Tymczasem na południu dwie armie – „Wołyń” i „Podole” – przeszły do ofensywy w kierunku południowo-wschodnim. Od tego zależało ich być albo nie być. Dzień wcześniej władze przeniósł się ze stolicy do Lwowa, który wraz ze Stanisławowem przejął funkcję centrów administracyjnych. Powodzenie całej operacji zależało od tysięcy czynników. Maszerujący musieli torować sobie drogę, jak również osłaniać swe siły do wschodu i zachodu. Co prawda niemieckie uderzenie kierowało się na Warszawę, co jednak wcale nie oznaczało, że nie należy liczyć się z pościgiem. W każdym razie odwrotu nie przewidziano.

Idące na czele natarcia brygady pancerne – Warszawska i Lwowska – już i tak osłabione poprzednimi działaniami, musiały zdobyć się na jeszcze jeden ogromny wysiłek. Również całość ocalałego lotnictwa rzucono do tej właśnie akcji. Nie chodziło tylko o wyrąbanie przejścia, ale o utworzenie jak największego przyczółka, do którego mogły spływać wszystkie istniejące jeszcze jednostki. W założeniach Sztabu Głównego Wojska Polskiego dzięki

zaangażowaniu 350 000 żołnierzy było to trudne, ale całkiem możliwe do wykonania.

Parodniowa bitwa, jaka rozgorzała, należała do najważniejszych podczas tej wojny. Piękną kartę zapisały sobie poszczególne pułki i dywizje, co wcale nie zmieniło ogólnego położenia strony polskiej. W wywalczony korytarz zaraz wchodziły oddziały polskiej piechoty i kawalerii. Osiągnięto sukces, a straty okazały się mniejsze od zakładanych, ponieważ Sowieci w najbardziej pesymistycznym scenariuszu nie spodziewali się czegoś podobnego. Jednak stan polskich wojsk przedstawiał się dramatycznie. Wystrzelano większość amunicji i zużyto sprzęt. W składnicach uzbrojenia nie pozostało już nic. Konie jeszcze ciągnęły zaprzęgi, natomiast niestety trzeba było porzucić z braku paliwa część pojazdów silnikowych. Ostatnie dostępne rezerwy otrzymało lotnictwo i czołgi. Jediną wątlą linią zaopatrzenia i przerzutu stawały się linie kolejowe. Tam, gdzie istniała taka możliwość, ładowano poszczególne bataliony i przewożono je na południe.

W Rumunii, zgodnie z literą porozumienia i sugestiami Naczelnej Rady Wojennej, pierwsze zorganizowane grupy żołnierzy zostały odesłane do Konstancy, gdzie przejmowały partie nadesłanego wyposażenia.

Nikt nie miał poczucia klęski. Wszyscy wypełnili obowiązek, stając do walki lepiej lub gorzej, jednak zawsze z honorem. Tej wojny nie można było wygrać. Nie przy takiej dysproporcji sił i nie z takim położeniem. Działania wojenne o różnym natężeniu wciąż trwały. Broniła się Warszawa i Wilno, przyjmując na siebie kolejne ciosy. Paru starszych oficerów, jak generał Wilhelm Orlik-Rückemann dowodzący zgrupowaniem KOP czy stojący

na czele 1 Dywizji Piechoty Legionów generał Wincenty Kowalski, prowadziło swoich ludzi na południe przedziwnymi meandrami pomiędzy zwięzającymi się nieustannie frontami. Inni zapadali w leśnych kompleksach, niejako z marszu przechodząc do działań nieregularnych. Wszyscy wierzyli, że ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane.

Nota autorska

Polska Marynarka Wojenna w okresie międzywojennym stanowiła całkiem pokaźną siłę. O założeniach i planach związanych z jej przeznaczeniem podczas działań wojennych pisali przede wszystkim prof. Paweł Wieczorkiewicz i dr Tymoteusz Pawłowski. O ile starcie z Kriegsmarine z góry stawiało polskich marynarzy na straconej pozycji (stąd plan operacji „Pekin” – wyprowadzenia dywizjonu z Bałtyku), to w przypadku wojny ze Związkiem Sowieckim sytuacja wyglądałaby zdecydowanie inaczej. Oprócz tekstów dwóch wyżej wymienionych autorów i paru innych wzmianek nie natrafiłem na żadne sensowne przedstawienie celów Kierownictwa Marynarki Wojennej, stąd pomysł na operację „Pętla” i hipotetyczne przedstawienie takiego starcia. Wbrew pozorom, posiadanie silnej floty nie wynikało z fanaberii sanacyjnych władz, tylko z konieczności. Musiał być powód do utrzymywania w służbie jednego nawodnego stawiacza min („Gryf”) i trzech podwodnych („Wilk”, „Ryś” i „Żbik”) – a była nim gotowość do zagrozenia Zatoki Fińskiej i utrudnienia wyjścia Floty Bałtyckiej na otwarty akwen Bałtyku.

Do 1941 roku stan posiadania Marynarki Wojennej prawdopodobnie powiększyłby się o jeden, dwa kontrtorpedowce i także o jeden lub dwa okręty podwodne – w zależności od funduszy. By nie popaść w przesadę, wolałem się ograniczyć do stanu z września 1939 roku.

Odpowiedź na pytanie, jak przebiegałoby starcie

wojsk lądowych, daje dr hab. Grzegorz Nowik w fundamentalnych pracach na temat wojny polsko-bolszewickiej: „Zanim złamano »Enigmę«” i „Zanim złamano »Enigmę« rozszyfrowano Rewolucję”. Choć dotyczy one konfliktu o dwie dekady wcześniejszego, to większość słabości decydujących o wartości bojowej i charakterystyce RKKa utrzymywało się w niej aż do 1945 (poziom dowodzenia, wyszkolenia, stan techniczny). Wspominałem już o tym w nocie do poprzedniej części cyklu, ale każda okazja jest dobra, by złożyć wyrazy uznania wielkiemu dziełu. Przez lata żyłem w przeświadczeniu, że to tylko dzięki wytrwałości i szczęściu udało się w 1920 roku obronić naszą niepodległość. Tymczasem opasłe tomiszczą Nowika rzuciły zupełnie nowe światło na przebieg całego konfliktu. Prócz mnóstwa innych, można tam znaleźć też informacje dotyczące flotyli rzecznej. Coś bardziej drobiazgowego, a przy tym równie spójnego trudno będzie stworzyć. Dopiero na tym tle widać, jak bardzo najnowszy film Jerzego Hoffmana jest, hmm... niedopracowany w warstwie faktograficznej. Zresztą co tu mówić o popkulturze, skoro mitom i stereotypom woli hołdować nawet znany specjalista, prof. Lech Wyszczelski.

Opisy walk morskich wiele zawdzięczają książce Edmunda Kosiarsza „Od pierwszej do ostatniej salwy”. Ataki lotnicze na jednostki Floty Bałtyckiej, jak zapewne łatwo było dostrzec, to moja wizja bitwy zakończonej zatopieniem okrętów „Prince of Wales” i „Repulse” przez samoloty japońskie.

Wyczerpujący opis stanu floty sowieckiej i przygotowań wojennych znalazłem w książkach „Konflikty i zbrojenia morskie 1918–1939” Józefa

Dyskanta oraz „Labirynt dezinformacji w II wojnie światowej” Tadeusza Koneckiego.

Podobnie jak w poprzedniej części, prawie wszystkie postacie, poza zupełnymi wyjątkami, pozostają na takich samych stanowiskach i mają takie same stopnie jak w 1939 roku. Jednym z tych wyjątków jest attaché wojskowy RP w Helsinkach. W rzeczywistości był nim podpułkownik Władysław Łoś. Nie mam nic przeciwko niemu, po prostu nazwisko Ekiert brzmiało lepiej.

Przed wojną Tallin nosił nazwę Rewel. W tym przypadku starą nazwę zastąpiłem nową, znaną wszystkim.

Bardzo często nawet w poważniejszych tekstach natrafiam na frapujące zagadnienia, po których autorzy wyraźnie się prześlizgują. Dotyczy to szczególnie zagadnień polskiego prometeizmu. Tymczasem zainteresowany czytelnik wszystko na ten temat znajdzie w doskonałej książce Timothy’ego Snydera „Tajna wojna: Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę”.

Wódz naczelny marszałek Edward Śmigły-Rydz zmarł 2 grudnia 1941 roku w Warszawie. Jako przyczynę do dzisiaj podaje się atak serca, jednak okoliczności pozostają niezbyt jasne. To kwestia na zupełnie inną pracę i być może kiedyś do tego powrócę.

Podobnie działania wywiadu i organizowanie przez II Oddział działań dywersyjnych na zapleczu wroga – aż proszą się o swoją opowieść.

Chociaż „Operacja Pętla” to czysta fikcja i rozrywka, starałem się wszystko tak przedstawić, by miało solidny fundament. Jak najmniej zmyśleń, jak najwięcej oparcia w faktach.

...

Bibliografia

Dyskant J., *Konflikty i zbrojenia morskie 1918–1939*, Gdańsk 1983.

Konecki T., *Labirynt dezinformacji w drugiej wojnie światowej*, Warszawa 2007.

Kosiarz E., *Od pierwszej do ostatniej salwy*, Warszawa 1973.

Nowik G., *Zanim złamano „Enigmę”...: polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918–1920*. [Cz.] 1, Warszawa 2004.

Nowik G., *Zanim złamano „Enigmę”... rozszyfrowano Rewolucję: polski radiowywiad podczas wojny z bolszewicką Rosją 1918–1920*. 2, Warszawa 2010.

Pawłowski T., *Armia marszałka Śmigłego: idea rozbudowy Wojska Polskiego 1935–1939*, Warszawa 2009.

Pawłowski T., *Planowanie wojenne PMW w końcu lat trzydziestych XX wieku. Tajemnice archiwów*, „Morze. Statki i Okręty” 2007 nr 6.

Snyder T., *Tajna wojna: Henryk Józewski i polsko-sowiecka rozgrywka o Ukrainę*, Kraków 2008.

Wieczorkiewicz P., *Historia polityczna Polski 1935–1945*, Warszawa 2005.

Wieczorkiewicz P., *Kampania 1939 roku*, Warszawa 2001.

Spis treści

Karta tytułowa	
Karta redakcyjna	
PROLOG	
CZEŚĆ 1	
Rozdział 1	
Rozdział 2	
Rozdział 3	
Rozdział 4	
Rozdział 5	
Rozdział 6	
Rozdział 7	
Rozdział 8	
Rozdział 9	
Rozdział 10	
Rozdział 11	
Rozdział 12	
Rozdział 13	
Rozdział 14	
Rozdział 15	
CZEŚĆ 2	
Rozdział 16	
Rozdział 17	
Rozdział 18	
Rozdział 19	
Rozdział 20	
Rozdział 21	
Rozdział 22	
Rozdział 23	
Rozdział 24	

Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Nota autorska
Bibliografia



WAR BOOK

▶▶ Ebooki z serii WarBook tylko na WWW.WARBOOK.PL ◀◀





WAR BOOK

NADZIEJA JEST W ZWYCIĘSTWIE



Marcin Ciszewski
WWW.1939.COM.PL



Marcin Ciszewski
MAJOR



Marcin Ciszewski
WWW.1944.WAW.PL

Książki z serii WARBOOK dostępne w wersji audio tylko w serwisie

audioteka.pl



ORŁY I RAKIETY

EAGLES & MISSILES



„Tak naprawdę nie ma co ściemniać. Uczymy się tutaj zabijać, to nasze podstawowe zadanie. A że przy okazji latamy fajnymi furami to co innego (śmiejch)”
- z rozmowy z jednym z polskich pilotów myśliwskich

SPEŁNIŁ SIĘ NAJGORSZY KOSZMAR WSPÓŁCZESNEJ POLSKI.

Nieprzyjaciel stoi u bram, a jego samoloty już są w drodze nad najważniejsze centra przemysłowe kraju.

W nowej grze planszowej „Orły i rakiety” powstrzymaj inwazję na Rzeczpospolitą, albo stań po drugiej stronie i zmiażdż kraj nad Wisłą, wykorzystując ogromną przewagę liczebną.

Czy Polska przetrzyma pierwszy tydzień inwazji i doczeka się sił szybkiego reagowania NATO? Na Twoje rozkazy czekają eskadry rosyjskie i białoruskie, całe polskie lotnictwo bojowe, jednostki obrony przeciwlotniczej oraz eskadry wysyłane na pomoc przez Sojusz Północnoatlantycki.

Szukaj najnowszych doniesień z frontu na naszym profilu
[facebook.com/OrlyIRakiety](https://www.facebook.com/OrlyIRakiety)

MISJA W IRAKU CZY AFGANISTANIE
DLA WIELU BYŁA TĄ OSTATNIĄ.

POWRÓT DO RZECZYWISTOŚCI
JEST NIEZWYKLE TRUDNY...



Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych
w Misjach Poza Granicami Kraju
ul. Wawrzyniaka 5
70-393 SZCZECIN

www.stowarzyszenierannych.pl
email: zarzad@stowarzyszenierannych.pl

POLECAMY



Najpoczytniejsze magazyny
militarne i historyczne



KAGERO Publishing Sp. z o.o.
ul. Akacyjowa 100, Turka, 20-258 Lublin 62
tel./fax 81 501 21 05
www.kagero.pl, marketing@kagero.pl



KAGERO